

Wyd. br. Morzyński

PRZEGLĄD LWOWSKI.

Pismo dwutygodniowe

poświęcone sprawom

religijnym, naukowym, literackim i politycznym.

ROK PIERWSZY.

15. Grudnia 1871.

Poszyt dwudziesty ozwarty.

(Fide ac veritate.)

Spis rzeczy:

- | | |
|---|---|
| <p>1. Listy O. Hieronima Kaysiewicza z drugiej podróży zaatlantyckiej—List III—Część II.</p> <p>2. Czy Jezuici zgubili Polskę?
Przyczyny upadku literatury—Florydaczym—Makronizm—Literaci: Bentkowski, Szulski, Maciejowski, Mecherzyński, Wiszniewski, Krzyżanowski i panna Felicja Wasilewska.</p> <p>3. Skutki rewolucyi we Włoszech.
I. Finanse—Administracja—Szkoły.</p> <p>4. Do sprawy o przymusie w wychowaniu ludowem.</p> <p>5. Zapiski bibliograficzno-literackie.
I. Biblia Szaroszpatacka.</p> | <p>6. Korespondencya Przeglądu.
I. Z Poznania.</p> <p>7. Kronika.
I. Świat katolicki i Mowa Ojca św.
II. Z Berlina — Mowa posła Niegolewskiego.
III. Obrachunek z Rachmistrzem.
IV. Kongres antropologiczny w Bononii.
V. List do Redaktora Przeglądu p. Kazimierza Jarochońskiego i odpowiedź.
VI. Cudowne uleczenie p. Maryi S. w Krościenku.
VII. Pożary w Ameryce.
VIII. Z Rzymu.
IX. Nowe pisma.</p> |
|---|---|

L W Ó W.

NAKŁADEM REDAKCYI.

Z Drukarni Karola Budweisera
1871.

Rozpoczętą w zeszycie dziesiątym historyczną rozprawę p. t.

CZY JEZUICI ZGUBILI POLSKĘ?

będziemy bez przerwy zamieszczać w następujących numerach.

I. Opinia publiczna i Jezuici. — Kto są Jezuici. — Czy instytut uległ jakiej zmianie. — Summa czyli treść instytutu — Rząd Jezuitów jest-li despocytny. — Ślepe posłuszeństwo i kosmopolityzm zakonu. — Cele i widoki. — Zarzuty wzajemnego szpiegowania, zwolniającej nauki moralnej, niedozwolonego handlu królobójstwa.

II. Dla czego Jezuici zajmują się edukacją młodzieży. — Podwójne zadanie edukacji jezuickiej. — Jak zakon kształcił profesorów i nauczycieli. — Antynarodowość systemu jezuickiego. — Dzisiejszy system preparand nauczycielskich. — Skład szkół jezuickich. — Profesorowie, i przedmioty w nich wykładane. — Dla czego uczono tyle łaciny. — Klasycy w szkołach dzisiejszych i jezuickich. — Zarzuty względem zaniedbania historii literatury i umiejętności ścisłych. — Kilka uwag nad nowym systemem naukowym (pruskim). — Scholastycyzm i Jezuici. — Prace naukowe Jezuitów. — Strona moralna edukacji jezuickiej. — Emulacya, koncertacye i kongregacye. — Popisy, dyalogi, sądy, prawne dysputy. — Zarzuty bigoterii, szpiegowania i kar cielesnych.

III. Przyczyny upadku Polski. Pierwiastki demoralizujące w narodzie jeszcze przed wstąpieniem Jezuitów na ziemię polską. — Czy Jezuici mogli przeszkodzić rozwojowi tych pierwiastków. — Władysław IV i Jezuici. — Demoralizacya narodu przez Jezuitów — Zarzuty księcia Adama-Czartoryskiego i odpowiedź na nie — Panegiryki jezuickie pod względem moralnym — Zasługi Jezuitów na polu moralności religijnej.

IV. Uwagi nad okresem piątym literatury polskiej czyli nad epoką jezuicką. — Klótnia Jezuitów z Akademią krakowską czy może stanowić epokę — Odkąd datuje się upadek Akademii krak. i przyczyny jej upadku — Akademia Wileńska i Stefan Batory — Spór z akademią krakowską i Jezuitami o Szkołę poznańską. — Historia klótni akademii krak. z Jezuitami — Otwarcie i zamknięcie akademii lwowskiej — Przyczyny upadku literatury w XVII i XVIII wieku — Anachronizmy w sądach i krytyce literatów naszych — Jezuici i oświata na Litwie — Florydacyzm i jego przyczyny — Makaronizmy — Literatura XVII i XVIII wieku nie ma jeszcze dotąd swojej historii.

V. Wpływy Jezuitów na politykę królów i państw. — Jezuici spowiednicy panujących. — Czy Jezuici mieli jaki udział w polityce Rzeczypospolitej. — Possewin i wojny moskiewskie króla Batorego. — Jezuici i Zygmunt III. — Uwagi nad Zygmuntem III. — Jezuici w sprawie Dymitrów Samozwańców. — Polityka króla Sobieskiego. — O. Wota i król Jan. — Zasługi polityczne Jezuitów w Polsce.

VI. Nietolerancya i fanatyzm Jezuitów. — Czy w Polsce były kiedy jakie prześladowania religijne. — Zygmunt III i różnowiercy. — Władysław IV i nietolerancya narodowa. — Jan Kazimierz i wypędzenie Aryanów. — Fanatyzm narodowy — Zkąd pobożność Polaków XVII wieku. — Spalenie ateusza. — Sprawa toruńska — Uchwały sejmów z lat 1717, 1733, 1736 — 1766. — Kozackie wojny czy były owocem nietolerancyi i fanatyzmu jezuickiego.

P. MIERONIMA KAYSIEWICZA

LISTY

Z DRUGIEJ PODRÓŻY AMERYKAŃSKIEJ

DO BRACI I PRZYJACIÓŁ.

L i s t III.

CZEŚĆ II.

Chicago, 7 października.

Zdążam już ku wam i korzystam z chwili wolnej, by list ten trzeci i ostatni z tej podróży dopełnić.

Nie mogłem odmówić życzeniu braci moich w kolegium, aby z nimi dzień imienin moich przepędzić i dla tego pobyt mój tam nieco nad ścisłą potrzebę się przedłużył. Czasu wolnego użylem na przeczytanie dziejów Stanów Zjednoczonych. Podziwiać trzeba odwagę i wytrwałość właściwą plemieniu anglo-saksońskiemu, ale żadnej myśli wyższej w ich wroście historycznym nie widać; przyszli szukać ziemi i dostatku, podbili kolonie holenderskie, szwedzkie, co więcej francuzkie, zrazu daleko silniejsze, i zamiast uchrześcianić i oświecić Indyan, systematycznie ich wytępiali i tępią do reszty. Kto wie, czy zabrawszy ziemię ostatniemu człowiekowi miedzianej cery (*sed men*), nie zaczną się tępić między sobą. Odczytałem uważnie ich konstytucyą, wiele tradycyi z Angli przeniesionych, wiele praktycznego rozumu, ale wszystko jedynie do pomyślności ziemskiej skierowane. Stany zawiązały się w federacyą dla wspólnej obrony, bezpieczeństwa i dobrobytu; i gdyby na końcu nie było napisano roku pańskiego, nicby nie zdradziło, że to ustawa Stanów chrześcijańskich. A ile wtenczas mieli jeszcze więcej ducha chrześcijańskiego niż dzisiaj! Duch rewolucyi francuzkiej, dał się i tu uczuć. Wtenczas już Jefferson i inni byli republikanami *à la française* i centralistami. Stronnictwo federalistów, demokratów, zrazu

liczniejsze, dziś już w mniejszości, stara się ono bronić wolności miejscowych, osobistych, wolności sumień i moralności w urzędach publicznych; ale już bodaj za późno. Zapewne tu, jak w Europie, wezbrany potok socjalizmu zmyje dawne brudy w krwawym nowym brodzie, aż sam się nie roztrąci o niemożebność takiego ustroju społeczeństwa i zostawi *table ras* do nowej budowy, jeżeli jeszcze czasu i zasobów na to starczy.

Po odwiedzeniu kapitana Graves, deputowanego do legislatury prowincjonalnej, który się sam ofiarował wyrobić dla naszego kolegium akt inkorporacyi z prawem dawania stopni, odbyłem następnie wizyty pożegnalne w sąsiedztwie.

W dzień św. Hieronima była msza śpiewana, obiad wspólny w refektarzu z uczniami i wakacją po obiedzie dla tych ostatnich. Poleciwszy raz jeszcze Zakład Matce Boskiej Różańcowej i świętym Aniołom Stróżom, w dzień ich, a 2. października udałem się do Louis-ville w towarzystwie O. Meny prezydenta kolegium, który mię odprowadzał. Niestety! nie zastaliśmy ks. biskupa w mieście, zajętego jeszcze wizytą dyecezyi i bierzmowaniem; rozmówiliśmy się zatem z ks. wikarym generalnym O. Ellen, zaopatrzwszy się w gry różne dla uczniów na porę zimową, które chce im darować w mojem imieniu, wrócił do domu. Ja miałem całe przedpołudnie wolne do obejrzenia się po mieście.

Louis-ville po lewej stronie rzeki Ohio, leży na wysokiej kotlinie lekko pochylonej, i stoi stromo nad brzegiem rzeki o 70 stóp nad powierzchnią wód niskich. Spady (*falls*) Ohio, widziane z miasta, przedstawiają widok bardzo malowniczy, w porze letniej, gdy rzeka płytka. Wtenczas jeszcze szeroka na miłę angielską, przebija się przez zawady, które napotyka po drodze. Dzieli się na tysiąc pieniających się strumyków, które wężykują we wszystkich kierunkach i spadają na pokład kamienny, zanim dotrą do katarakt o 2 mile za miastem, gdzie właściwie żegluga się zaczyna. Znakomity kanał boczny, zastępuje niegościnną w tem miejscu rzekę, na którą ważą się puszczać statki tylko w porze wysokich wód. Dopiero pod miastem Cairo, o 397 mil poniżej, Ohio wpada do Mississipi.

Louis-ville, jak wszystkie miasta nowożytne, regularnie jest zbudowane. Liczne ma zakłady dobroczynne i kościoły; pod względem architektonicznym celują jeszcze, pałac sprawiedliwości i pałac miejski. Wiele tu fabryk i handel ożywiony; ludność dochodzi już 120 tysięcy (mnóstwo Murzynów i Niemców); i rośnie pospieszniej w ostatnich latach niż w Chicago.

Dnia 5. października zrana przybyłem do Chicago, i zastałem jeszcze ks. Barzyńskiego, wzmocnionego na zdrowiu, a zatrzymanego kwarantanną, wystawioną w Galefton przeciw żółtej febrze. Ponieważ kazanie moje było zapowiedziane na następną niedzielę, a ks. biskup z Detroit wróci dopiero 12. b. m. do miasta, zatrzymałem się tu na dni kilka. Przybyło znowu z parę rodzin polskich z Europy, inne zarabiają sobie w New-Yorku na środki do przyjechania tutaj. Świeżo przybyli, już sobie ponajmowali grunt na lat 5 i postawili domki drewniane, które przewożą, gdy sobie grunt na stałe zakupią. Tu bowiem całe kamienice z miejsca na miejsce przenoszą, i ulice całe tak rozszerzają, cofając domy w tył pod linią. Ma się rozumieć, że fundamenta na miejscu pozostają.

Dnia 22 października na Oceanie. Od wczoraj jesteśmy na morzu. Żalowałem, że nie siadł na statek 14 dni przedtem; tymczasem morze było przez ten czas niegodziwe, a obecnie takie, że i w miesiącu lipcu spokojniejszego spotkaćby nie można. Ale że to się zmienić może, korzystam z ciszy i wczasu, by zapisać co zaszło od dwóch tygodni.

Mówiłem o zręczności w przesuwaniu i przenoszeniu domów w Chicago; tymczasem pożar zniósł całe bogate miasto tak, że tylko fundamenta pozostały. Dziwne zrządzenie, bym jadąc do Ameryki widział palący się Paryż, a wracając do Europy był pośród palącego się Chicago! Nie jeden nie znający mnie, mógłby mię wziąć za jednego z tych myślicieli w ców opisujących ciekawe wypadki podróży, siedząc spokojnie przy ogniu swego kominka.

Przystąpmy do rzeczy.

Ze 7. na 8. października w nocy był pożar, który strawił domy na 20 akrach gruntu. Od kilku miesięcy nie było tu deszczu, i wszystko tak suche jak próchno; dosyć zapalkę przyłożyć, aby się zapaliło. Ale pożary są tak częste w Ameryce, że to nie zrobiło najmniejszego wrażenia. Kiedym po raz pierwszy był w Chicago, część miasta zwana Washington się spaliła; to też jedna Poleczka powiedziała: „ile razy O. Generał do nas przyjedzie, musi być pożar w mieście.“

Kazanie miałem podczas sumy; choć na wotywie poprzedniej kościół był pełny, podczas sumy był dosłownie natłoczony. Kościółek wyraźnie za mały. Mówiłem z Ewangelii niedzielnej o zaproszonych na ucztę i wyprasających się od przyjęcia, już dla kupionej wsi, już nabytych wołów itd. Zwróciłem uwagę moich rodaków, że żyją wśród ludzi oddanych wyłącznie i zbyt mocno myślom nabycia

majątku i wielkiego majątku, i to jak najprędzej, i nie zawsze przebiecują w środkach: i upominałem, aby się nie dali porwać tym wirom gorączki kupieckiej. Dalej zwróciłem uwagę, że Chicago jak wszelkie wielkie miasto handlowe, pełne jest zepsucia, i że nie trzeba szukać sposobności do złego, gdyż ona się sama nastęcza: i przeto nie można się mieć dosyć na baczności. A nadewszystko polecałem żyjącym w małżeństwie, aby się nie lękali mieć wiele dzieci, jak bogaci rodowici Amerykanie; aby ufali Opatrzności bożej itd.¹⁾

Pocziwa wiara złożyła 65 dolarów na moją podróż, choć księży nasi zapomnieli kwestować podczas wotywy.

Nazajutrz 9. t. m. miałem opuścić Chicago. Wieczorem jadąc do miasta widziałem jeszcze gorejące płomieniem ostatki domów po zesłodniowym pożarze, wracając zaś do domu, widzieliśmy łuny nowego ognia, który się zajął nie zbyt daleko od wczorajszych na ulicy Dekowen zamieszkałej przez samych Czechów. Gęsi zachowały Rzym, napisał jeden z dzienników, krowa zgubiła Chicago. Chłopak czeski doł krowę w oborze pełnej drzazek; krowa kręcąc się przewróciła lampę, i zapaliły się wiory. Drewniane domki czeskie rychło zgorzały. Wiatr się zmienił o pół do 10 i popędził płomień ku rzece, i przeniósł je za rzekę do bogatej strony miasta położonej między dwoma ramionami rzeki i jeziorem; gdyby się wiatr nie był zmienił, cała część drewniana miasta i kolonia polska z nią, w jednej chwili byłaby poszła z dymem. Co powiększyło klęskę, to przekonanie mieszkańców, że przy obfitości wody w całym mieście i dobrych pompach nie mogło być wielkiego niebezpieczeństwa; ogień był niedaleko, a ludzie kładli się spać spokojnie. Nie liczyli się z wichrem, który przez półtóry doby dął wciąż w jednym kierunku i wirując jeszcze. Gdy się nadto gaz zapalił, i polał dachy, największe kamienne gmachy jak *Corthaus*, *Post office* itd. palily się jak drewniane domki. Pozajmowały się spirytusy, kamfina itd. Z wieży na-

¹⁾ Trzeba bowiem wiedzieć, że jak Nowy-York jest ściekiem brudów Europy, tak Chicago w ostatnich czasach zastąpiło Nowy-Orlean, i stało się ściekiem zepsucia Nowego-Yorku i całych Stanów Zjednoczonych. Towarów suchych (*dry goods*) można tu było dostać taniej niż w Nowym-Yorku, bo każdy, który chciał korzystnie zbankrutować w tem ostatnim mieście, przedawał wprzód za pół ceny do Chicago wszystko co miał w sklepie. Tu tedy osiadali bankrucci, szachraje, urwipółcie wszelkiego rodzaju pod względem obyczajów: dość powiedzieć, że *fift Avenue* zajęte było prawie całe, przez domy nierządu.

szego kościoła widziałem ogień, który jak waly wzburzonego morza podnosił się wysoko w górę, a potem rozlewał się na prawo i na lewo. I ludzie i konie od służby ogniowej strudzeni nocy poprzedniej, mdły tylko opór stawiały. Konie pourywały się i pouciekały, rury się popsuły, kotły w sławnych *water-works* popeękały, maszyny nadwężone: wody nie stało, z daleka trzeba było czerpać z jeziora lub rzeki. Zaczęto minami wysadzać całe zabudowane kwadraty, by przerwać przypływ tego morza płomiennego; ale i to na próżno; wichur zapalał kilka ulic naprzód. Ztąd i trudność, niepodobieństwo ratowania rzeczy i życia. Zrywali się ludzie z łóżek na pół lub całkiem nieubrani, w którą stronę się zwrócili, wszędzie ogień spotykali, nie jednemu się zdało, że się świat cały palił. Jedni z przeobrażenia, drudzy z rozpacz, że wszystko stracili, rzucali się do rzeki lub do jeziora. Ilu tam poginęło i potonęło? Dzienniki wyraźnie kryją liczbę. Mosty się zajęły lub skręcone zostały na środek rzeki, aby się nie zajęły. Tłoczono się pociemku (bo gazu już nie było) pod tunele rzeczne. Sparły się wozy i ludzie; krzyk, płacz, złorzeczenia, kaleczono się, zadeptywano na śmierć.

Do tego przyłączyli się złodzieje i rzezimieszki. Na wiadomość o pierwszym ogniu, profusyonści z Nowego - Yorku i inszych miast wielkich przybyli pospieszni pociągami obłowić się w mętnej wodzie. Niebrak ich było i w Chicago. Do tego wypuszczono z palącego się więzienia wszystkich, wyjąwszy kilku mężobójców, których uwięziono. Wszyscy ci ludzie nie stracili czasu, i wyrwali z rąk pogorzalców co jeszcze byli zachowali, zabijając w razie potrzeby broniących się. Tak znaleziono na ulicy bankiera Ullmana; sądzono zrazu, że go płomień zadusił, przekonano się później że był uduszony. Byli i złodzieje przebrani za policmenów, czy policmeny chcący korzystać ze sposobności; brali bowiem pod straż rzeczy, których później właściciele nie znaleźli. Do tego (jakkolwiek później dla uspokojenia ludności starano się temu zaprzeczyć) rabusie czy komunści podkładali ogień, kilku ich powieszono na latarniach. Żyda, który w polskiej dzielnicy tę operację odbywał, kijami i sierkierami na miejscu zgładzono. Naczelnik policyi w drukowanym ogłoszeniu, dał na to pozwolenie, bo generał Sheridan przybyły z wojskiem ze St. Louis, stan wojenny później dopiero ogłosił

Co do naszych Polaków, na 9 członków gminy, pięciu się spaliło. P. Dziewior też p. Kielbasy pięć domów stracił; ucierpiała też pewna liczba naszych wyrobników, którzy się potem schronili do szkoły polskiej pod kościołem. P. Majewski emigrant z 1830 roku,

stracił dwoje dzieci i trzy wnuczki. Inny Polak z Warszawy dwoje dzieci, ale może później się odnalazły, bo się to nie jednemu zdarzyło. Jedna Szwedka, widząc dziecko, które już miała za stracone, omdlała, a potem zaczęła je pieścić, jak tylko matka pieścić je umie. Niemiec zaczął tańczyć z wesela, a potem podnosząc w górę maleństwo, zawołał tryumfalnie: „*Nun komm jetzt heim zu deiner Mutter.*“

Pogorzelnicy mieli powszechnie asekurowane domy, ale zdaje się, że nie jedna kompania lub częściowo tylko się uiszczi, lub całym zbankrutuje.

Katolicy stracili katedrę, dom biskupa, śliczne kościoły Redemptorystów, Benedyktynów i cztery inne; nadto kilka klasztorów żeńskich, domy sierót itd. Żaden dziennik protestancki o tem nie wspomniał, póki biskup nie ogłosił telegramu do Arcybiskupa w Baltimore. „Gdybyśmy tak ciężkich klęsk nie ponieśli, byłiby zapewne rozgłosili, że katolicy podłożyli ogień.“

Pośród tej strasznej katastrofy, pokazały się czasem piękne strony serca ludzkiego, ale brzydkich jeszcze więcej. Widziano starą żonę, dźwigającą sparaliżowanego męża na plecach, widziano poczciwe niewiasty unoszące świeżą połoźnicę, musieliśmy cieszyć młodą Francuzkę, którą rodzice powierzyli zapewne starszej siostrze a sami się spalili ratując swoją chudość itd. Ale też odsłoniły się brzydkie rany serc zepsutych. Woźnice żądali niemilosiernie 20, 30 i 50 dolarów za przewiezienie ostatków uratowanej własności. Nacoczny świadek widział jak woźnica żądał 10 dolarów za przewiezienie przez most tłumoków. Najmujący miał tylko 7, ale pomyślał sobie, niechno przewiezie, to mi potem resztę daruje, lub poczeka. Ale się omylił, bo furman odwiózł rzeczy napowrot, i wrzucił do ognia.

Znaleziono po piwnicach ludzi zapitych na śmierć, na innych odzienie się paliło a oni dolewali jeszcze. Zdarzyły się też komiczne sceny. „Miejsca, miejsca“ wołało kilku ludzi — rozstępuje się tłum a kobieta jakaś prowadzi na sznurku nierogaciznę, jedyny zapewne swój kapitał. To znów młoda Irlandka, niosła na jednym ramieniu dzieciątko, na drugim prosię. Widziano też rodzinę niemiecką ze 4 osób złożoną. Ojciec wioził na taczkach obok chudoby baryłeczkę *Lagerbier*, ale że było za ciężko, a płomień sięgał, zatrzymał się, napili się wszyscy a potem ojciec rzucił beczułkę, wołając „*lebe wohl!*“ Życie ludzkie jest melodramatem; wśród scen tragicznych zdarzają się i komiczne.

Sto tysięcy osób zostało bez dachu, najwięcej Niemców i Skandynawów zamieszkałych na *North Hight* (50.000 już się rozjechało) drogi żelazne darmo pogorzalców i pomoc dla nich przewożą. Ale mnóstwo biednych ludzi na razie koczowało na łąkach pomiędzy rzeką a nami. Niestety! w nocy z poniedziałku na wtorek spadł deszcz obfity przy zimnym wicherze; szczęśliwie dla pożaru, nieszczęśliwie dla pogorzalców; wiele bowiem osób ze czczości i zimna tej nocy pomarło; ile że tej nocy pod karą 500 dolarów nie wolno było ognia w domu nawet rozniecić. Stary jeden mason widział w tem rękę Bożą, że kto od ognia się wybiegał, od zimna i wody zginął.

Rekapitulując ten niezwykły pożar, powiemy, że się spaliło 2300 akrów zabudowanych na przestrzeni 4 i pół mil angielskich w długości, a przeszło pół mili w szerokości. Znikło 18.000 budynków rozmaitej wielkości, a z tych 15.000 handlowych i przemysłowych. Stratę obliczają na 300 milionów dolarów. (Miasto miało już 14 milionów dolarów długu.) Major miasta w pierwszej odezwie po chrześcijańsku się wyraził, uznając rękę Bożą i poddając się jej. Druga już nie była taka; widząc, że cały świat ogłosił składki, że banki uratowały po większej części swoje *sare's*, kufry żelazne zamurowane w ścianach, lub zachowane w piwnicach sklepionych, odezwał się, że Chicago zginąć nie może, choć tymczasem wicher obalał mury, które ogień był zachował. Dziwno, że tu i owdzie dom lub kościół jaki pozostał — wielkie gmachy z dymem poszły mniejsze obok pozostały — drzewa i chodniki się popaliły, a obok krzewy i trawa pozostały; wytłumaczyć to można naturalnie tylko przez wiry wichru.

Wszakże zaufanie majora ma pewną swą podstawę. Chicago przez swe położenie ze 12 drogami żelaznymi, gotowemi we wszystkich kierunkach, tak ważnem jest dla handlu, że z trudnością całkiem upaść może Ci co kapitał jakiś uratowali, odbudowują się na ciepłych jeszcze fundamentach; drugim kapitaliści z innych miast odkupują grunt i ruiny, płacąc 60 na 100 więcej nad ceny przedpożarowe. Bankierowie wynieśli się do swoich rezydencyj na Wabash Avenue i tam swoje *office's* otworzyli. Z przyjemnością później się dowiedziałem, że książęta Sapielowie bynajmniej nic nie ucierpieli; ogień zatrzymał się na kilka domów przed ich mieszkaniem. Domy Nowo-Yorskie przysyłają na kredyt nowe towary swoim korespondentom w Chicago; a ci napowrót magazyny w najętych domach albo w budach z tarcie, otwierają. I przeto za większą klęskę uwa-

zać trzeba zniszczenie powiatów całych w Wisconsin i Michigan, przez palenie się lasów; o czem dzienniki społecznie prawie donosiły; bo bogaczy, bogacze z interesu i z próżności wspierają; ale kto zajmie się biednymi *fermerami*, którzy wszystko stracili, a *sarow* i kapitałów na innych bankach nie mieli? A potem przyszli drudzy z kolei; ci którzy tylko co grubo dali na Chicago, nie mogli dać tyleż na Michigan.

Pilno mi było dostać się do Detroit dla rozmówienia się z ks. biskupem i gdzie mnie ksiądz nasz Wieczorek miał 13 dni oczekiwać.

Dnia 11 października udało mi się wyjechać z miasta jednokonką niekrytą, siedząc na moim tłumoku, i siąść do wagonu na stacyi przedmiejskiej przemienionej tymczasowo na stacyą główną. Jadąc z Monroe, gdzie obecnie ks. biskup mieszkał, widziałem palące się lasy tuż przy drodze żelaznej; a inne w głębi ogromną krwawą świecące łuną. Pociąg jeden zagrożony ogniem i z tyłu i z przodu, całą siłą pary szczęśliwie się przebił. Stałem u gościnnego proboszcza kościoła św. Józefa, gdzie ks. Wieczorek zbiera swoich Polaków, gdy do nich do Detroit dojeżdża; ale ks. Wieczorka nie było, choć trzy dni na niego czekałem. Widziałem w Monroe proboszcza, jego sąsiada, tylko co przybyłego, który mi powiadał, że Minden o 4 mile angielskie tylko od kolonii polskiej odległe, już było spalone. W N. Yorku już dowiedziałem się, że i kościół i cała kolonia zgorzała, trzech ludzi zginęło, służący ks. Wieczorka mocno się poparzył, on sam przy życiu zachowany.

O gdybyście mogli ogłosić składkę na tych biednych pogorzalców! Za przyczynę tych pożarów dają nieostrożność strzelców. Torfy podziemne się paliły, i społecznie we wszystkich kierunkach zajmowały się lasy. Miasteczka całe jak Pisthego w Wisconsin, Manastec, Holland, Torestville itd. w Michigan ze szczętem spłonęły, a kolonij bez liczby. Kolonista, który krwawą pracą wykarczował las, doczekał się przychowku; w ostatniej dopiero chwili przed ogniem się cofa, to też ścigany nieraz, dopiero w zimnych nurtach jeziora, jakiegokolwiek znajduje bezpieczeństwo. Matki stały po pas w wodzie godziny całe z dziećmi na ręku, aż nadszedł statek parowy, który je przytulił.

Dnia 14. wieczorem przybyłem do ks. Biskupa w Hamilton w Kanadzie. Jak w Detroit w czasie mego pobytu, bywało po parę pożarów co dzień; tak w Kanadzie miasteczka Windsor i London, dzięki podpalaczom, stały się pastwą płomieni, w Hamilton zaledwo

wysłem z koła ogniowego. Długi czas Towarzystwa tajne podkładały ogień rewolucji pod gmach społeczny; przyszła nareszcie Internationale, która ogniem fizycznym pali bogaczów, a tych jest najwięcej i najzamożniejszych wśród braci sprzysiężonych.

Dnia 16 i 17 odwiedziłem i pożegnałem naszych braci zgromadzonych u św. Agaty, zabierając ze sobą O. Eugeniusza Funken na kapitułę do Rzymu. Dnia 19 na noc stanęliśmy w Nowym-Yorku w gościnnych murach OO. Redemptorystów zasmuconych kłeską braci swoich w Chicago. Uwinąwszy się z paszportami etc. we 30 godzin, siadamy 21 na statek Plereiro o sile 1000 koni. Kwestya, czy tam jeszcze bezpieczni będziemy od ognia, bo statek tej kompanii Lafayette, jakoby zarażony w Ameryce, spalił się w porcie Havre wraz z rzeczami podróżnych.

Na Oceanie czas mieliśmy na tę porę roku piękny i pogodny, wiatr prawie stale pomyślny; żagle rozpięte dopomagały parze. Pod koniec żeglugi groziła burza; a że lat kilka temu huragan połamał był maszty na tym statku, oficerowie byli bardzo czynni; ale skończyło się na strachu. Długi jednak nasz parowiec ubiegając 14 węzłów (*nodes* w stylu marynarskim) t. j. 14 mil morskich na godzinę, chybał się potężnie, i wiele osób chorowało, mianowicie też niewiasty. Publikum nasze nie było zajmujące, sami kupcy, przemysłowcy, Francuzi wracający na stałe do ojczyzny, lub chwilowo dla odwiedzenia rodzin lub zakupienia nowych towarów. Ze sposobu w jaki mówili o Stanach Zjednoczonych, można się było domyśleć czy im interesa poszły pomyślnie lub nie. Jeden dawny wojskowy, który zbankrutował na fermie, psy wieszał na Amerykanach, i odgrażał się Prusakom. Kilku Amerykanów zabłąkanych w tej massie cudzoziemców, zapijało nudy w milczeniu. Jednem słowem nie było z kim o poważnych rzeczach pomówić.

Jeden jedyny wypadek ważny dla nas kapłanów, zdarzył się na statku. Dowiedziałem się, że pewien podróżny płynący z młodą żoną do Europy, znajduje się w niebezpieczeństwie życia i już sparaliżowany. Udałem się do lekarza okrętowego, prosząc go, aby się dowiedział czy jest katolikiem i czy chce widzieć kapłana. Pokręcił się, potargował pan doktor, ale w końcu obiecał. Po dwóch godzinach wrócił, zapraszając. W przekonaniu, że to Amerykanin, posłałem O. Funkena jako biegłego w języku angielskim. Niestety był już w ostatnich chwilach konania. Żona niejako spowiadała się za niego, świadcząc, że był dobrym, wprawdzie dodała, towarzyszył mi do mego kościoła, czując że to nie było w porządku. Gdy były

jeszcze poznaki jakiegokolwiek przytomności umysłu, ale pewności nie było, dał mu O. Funken rozgrzeszenie *sub conditione* i za chwilę potem podróżny skonał. Dowiedzieliśmy się później, że był Francuzem, że cierpiał na suchoty, i jechał zapewne do Europy, dla zmienienia klimatu. Grubą sumę pieniędzy miał przy sobie. Wdowa, by nie wrzucono ciała do morza, kazała je balsamować, i zamierza odwieść do Ameryki następnym statkiem. Co mię uderzyło i pocieszyło, to interesowanie się powszechnie, czy umierający miał ostatnią pomoc kapłańską. Pytał się o to wolnomularz, pytał aktor jadący ze San-Francisco do Bordeaux i błaznujący darmo przez całą drogę, pytali i inni. Świadectwo duszy w gruncie zawsze chrześcijańskiej. Wysiedliśmy na ląd w Brest 30 października przed południem po 9 dniowej okrągło żegludze. Odjeżdżając do Paryża po 7 godzinnym wypoczynku, słyszeliśmy, że statek nasz nie mógł się dostać do Havre, i wrócił napowrót. W dzień Wszystkich Świętych zrana, stanęliśmy w Paryżu, i tegoż dnia widziałem podczas nabożeństwa w Assomption przeredzone szeregi naszych rodaków. Oglądałem następnie zbliżka ruiny gmachów, które widziałem palące się przed pół rokiem ze wzgórza w Sèvres. Ministerstwo finansów, mieszkanie mamona, boga świata obecnego; Tuilleryów i teatrów, gospod zbytku, płochości i rozpusty, *Hôtel de ville*, gniazdo komuny za pierwszej i za ostatniej rewolucyi. Dziwno, że ruiny gmachów nowożytnych głupie i prozaiczne, jak gmachy same; *Hôtel de ville* tylko, dawniejsze i artystyczniejsze, i w ruinach pięknie wygląda; piękniej nawet niż dawniej, bo na zakopconych murach, linie architektoniczne lepiej się wybijają. Ale nad te ruiny zewnętrzne straszniejsze są ruiny w duszach. Paryżanie nic a nic się nie poprawili, i popsuli się raczej. Po kościołach mniej ludzi niż dawniej. Kto im mówi o karach bożych, otrzymuje bluźnierczą odpowiedź: „Tą drogą Bóg nas nie pozyska, musi się brać inaczej do rzeczy.“ Słowem, mieszkańcy chcą tak żyć i tak być jak dawniej, gniewają się tylko że mniej dostatku; władzom pilno jedynie o naprawienie śladów pożaru i wojny, a gangrenę społeczną kataplazmami okładają. *Ipsi viderint*, przechodzę do moich rodaków.

W Niedzielę d. 5. listopada miałem kazanie w l'Assomption, zgromadzono się dość licznie jak na obecne czasy. Wypadala ewangelia na niedzielę XXIII po Świątkach o Hemorroissie. Gdy o podróży dalszej przez Francją i Włochy nie warto pisać, postanowiłem zakończyć moje listy spisaniem domówienia dzisiejszego kazania; brzmiało ono mniej więcej jak następuje:

„Mili Bracia! Na początku dzisiejszej nauki, przedstawiłem wam stan naszego wychodźstwa w Ameryce, który g ł o d o w y m n a z w a ł e m ; wychodźstwa za chlebem, głównie z pod zaboru pruskiego. Na zakończenie chcę powiedzieć do was wychodźców politycznych słowo, które może będzie nie miłym, komu chcącemu się jeszcze ludzi, ale słowo, zdaniem mojem potrzebne. Bóg wie, czy was jeszcze kiedy zobaczę. Kapłan winien obecnie mieć duszę swoją jak na dłoni, na każde zawołanie; ile że wracam do Rzymu, gdzie szatan od roku karnawał swój wyprawia. Nie jedna prawda, bracia mili, jest już w poczuciu powszechnem, a jednak nie przechodzi w przekonanie, aż ją głośno kto wypowie; to tedy winienem i chcę dziś uczynić. Proszę was o pilną uwagę, i wzywam na świadków, gdyby, jak mi się często zdarzyło, słowa moje przekreślić chciano.

Mówiłem dziś do was o Hemoroissie ewangelicznej wycieńczonej krwotokami, która na leki i lekarzów majątek swój strwońska, a jak św. Marek świadczy, coraz gorzej się miała. Mogę powiedzieć, że i Polska jest taką Hemoroissą i to nie od lat dwunastu, ale od wieku całego, krwotokami wycieńczoną a pomimo i w skutek raczej lekarstw, dawanych jej przez empiryków politycznych, coraz niebezpieczniej chorą. Polska traciła krew swoją w tylu wojnach o niepodległość, traciła przez mordowanie się przymusowe synów jej w pułkach różnych mocarstw ze sobą walczących, traciła przez więzienie po warowniach, i w zaprowadzeniu sybirskiem, traciła narazie przez wychodźstwo na zachód, po każdym niefortunnym wysiłku.

„Najpoważniejszą z tych emigracyj, była niewątpliwie nasza z r. 1831, która obejmowała czoło narodu. Nie brakowało jej mężów zdolnych i czynnych w służbie sprawy narodowej; była też wtenczas opinia publiczna pewną siłą na świecie; były jeszcze ostatki organizmu Europy; kraj nasz we wszystkich trzech podziałach długo był pozbawiony wszelkiej reprezentacji i wolności druku, emigracya więc nasza miała niewątpliwą użyteczność: czy jednak tyle dokonała, by powetować stratę, jaką kraj poniósł z ubytku takiej masy sił umysłowych i moralnych? Jabym nie śmiał zatwierdzić. W każdym razie miała tę wielką niedogodność, że była za liczną. Emigracya nie może stworzyć dostatecznej siły fizycznej do podźwignienia kraju; a liczba zawadza jej wpływowi moralnemu. Na wiadomość o sympatyach francuzkich, i jakimkolwiek wsparciu pieniężnem od rządu (któreśmy żoldem nazwali) nie jeden, by się nie przespać w więzieniu, lub dla tego, że nie miał co robić

w kraju, puszczał się za granicę na męczennika tanim kosztem. Cała ta rzesza jęczała, zebrała przez lat 40, i w końcu sprzykrzyła się Francuzom. Do tego walka garstki emigrantów w Rzymie, przeciw wojskom francuzkim broniącym Papieża, i mieszanie się do ruchów rewolucyjnych w Paryżu, oddawna już były osłabiły wielce sympatyje ku nam; a świeża służba komunie przemieniła je w odrazę, a często w nienawiść i pogardę. Wiem ci dobrze, że nasi nie palili i nie rabowali, wiem że powszechnie głodem przyciśnięci zaciągali się w niepoczciwe szeregi; ale koniec końców walczyli za tych, którzy palili i rabowali własną stolicę i nie dziwnego, że Francya dziś o Polakach i słyszeć nie chce. Wiem, że odraza do wszystkich, za część winnych, jest niesprawiedliwą, ale powiedzcie bracia, gdyby znaczna część emigrantów rojalistów z pierwszej rewolucyi francuzkiej, goszczonych po dworach polskich na Rusi, przyłączyła się była do hajdamaków palących i rabujących te dwory, powiedzcie, mówię, czyby ówczesni Polacy nie byli ich zarówno hurttem potępili? Darmo, w moc prawa solidarności, musimy jedni za winy drugich cierpieć; i od lat czterdziestu wciąż tego doświadczamy.

„Emigracya nie tylko się sprzykrzyła Francuzom, ale i krajowi samemu. Nieszczęsna propaganda, i inicjatywa lub udział w kilku powstaniach skrajnej jej części, sprawiły, że poważniejsza część obywatelstwa polskiego wpływu emigracyi się boi, posługi jej nie przyjmuje, choć gotowa przytulić jej członków na własnej ziemi.

„A zatem, wychodźstwo jako korporacya polityczna istnieć przestała.

„Zdaniem mojem nastąpiło to już w skutek ostatniego naszego powstania, ale wielu ludziły jeszcze ostatki sympatyj, ostatki wpływu Francyi Napoleońskiej; ale dzisiaj tego blichtru nie ma. Mówiąc tak, stwierdzam fakt, programatów żadnych nie stawiam. Nie ma w tem nic z naszej strony osobistego; od posługi pobożnej względem was się nie usuwamy, i prawdopodobnie my ostatni plac ostrzeżemy; wskazuję tylko to, co jest, a czego wyznać przed sobą, nie jeden nie śmiał jeszcze.

„A następnie życzę i proszę Boga, by nowych emigracyj już nie było i by ekspijacya tego rodzaju na nas się skończyła. Życzę i proszę Boga, by już odtąd reszta sił narodu, była używana na miejscu, do pracy organicznej na jaką stać jeszcze. Zadanie to stało zawsze przed nami od upadku kraju; ale niecierpliwosć młodych pokoleń, nigdy na to przystać nie chciała. O bracia moi! oby po

wieku klęsk i zawodów wszyscy się na to, zgodzili że lepiej walczyć, cierpieć i umrzeć w kraju, bo ztąd idzie nauka i pokrzepienie dla innych. Lepszy powiem Sybir sam, bo ztamtąd więcej wróciło do kraju niż z Zachodu a wróciło oczyszczonych i poważniejszych; gdy ztąd, z małym wyjątkiem, złe tylko, płochość i zepsucie wynosić umiemy.

„Mówiąc to wszystko, nie myślę stanąć przeciw słowom Zbawiciela: „Gdy was w jednym mieście prześladują, uciekajcie do innego,“ nie myślę narzucać męczeństwa przymusowego na tych, którzy się doń nie poczuwają: wiem że będą indywidua wynoszące się za granicę z Polski jak z innych krajów, ale niech już ustanie ono epidemiczne uciekinierstwo, jak lud nasz bez złości nazywa, niech już nie będzie profesyi przystawania do winigrantów; niech ustanie pretensya rządu krajem zdaleka; niech ustanie ta szkoła, nie już wzajemnego uczenia ale wzajemnego łudzenia się i oszukiwania, emigracyi przez kraj, kraju przez emigracyę

„Zresztą, gdyby się komu zdawało, że reprezentacya polityczna narodu za granicą może być jeszcze użyteczną, niech nie tai sobie drugiego bolesnego faktu: że gdyby dwóch tylko wychodźców pracowało w tym celu, jedenby przeszkadzał drugiemu; a gdyby jeden tylko pozostał, to drugi przybyłby choć z końca świata, byle mu tylko przeszkadzać. Nie, nie ma błogosławieństwa bożego na tej drodze; długie bolesne doświadczenie aż nadto tego dowiodło. Pracujmy nad wyleczeniem się z wad narodowych, które nas o ziemię powaliły, pracujmy nad nabyciem zdrowia moralnego, za którem i siła społeczna przychodzi. Nie liczymy już, jak biedna Hemoroissa, na szarlatanów i środki empiryczne. Prośmy Boga o żywą wiarę i nadzieję i miłość, i za ich pomocą dotknijmy się Zbawiciela naszego, a siła Jego wstąpi w nas, a otrzymamy, choć na innych drogach, to czego pragniemy, a nadto żywot wieczny, i do nas też powie Dawca życia: „Ufaj córko, wiara cię twoja uzdrowiła“.

CZY JEZUICI ZGUBILI POLSKĘ?

IV.

Uwagi nad okresem piątym literatury polskiej, czyli nad epoką jezuicką. — Kłótnia Jezuitów z Akademią Krakowską czy może stanowić epokę. — Odkąd datuje się upadek Akademii Krakowskiej i przyczyny jej upadku. — Akademia Wileńska i Stefan Batory. — Spór z Akademią Krakowską i Jezuitami o Szkołę Poznańską. — Historia kłótni Akademii Krakowskiej z Jezuitami. — Otwarcie i zamknięcie Akademii Lwowskiej. — Przyczyny upadku literatury w XVII i XVIII wieku. — Anachronizmy w sądach i krytyce literatów naszych. — Jezuita i oświata na Litwie. — Florydacyzm i jego przyczyny. — Makaronizmy. — Literatura XVII i XVIII wieku nie ma jeszcze dotąd swojej historii.

(Dokończenie).

Przystępuję już do wykazania przyczyn upadku literatury w Polsce. Leży to w naturze świata fizycznego jak moralnego, że po każdym gwałtownym wstrząśnieniu, po każdym wyteżeniu sił, następuje chwilowy pokój, bezczynność i otrętwienie. To, co widzimy jawnie i namacalnie w życiu roślinnym, w pewnych epokach życia człowieka pojedynczego — to samo spostrzedz się daje w życiu narodów. Po chwilach wielkich, świetnych, uroczystych, następują chwile jakowegoś przesytu i zniechęcenia. Dzieła i czyny w owej pełni i świeżości życia dokonane, wydają się generacyom późniejszym olbrzymiami a nawet pamięć ich nie obudzi chęci naśladowania. Nie wynika ztąd, że naród postarzał, przeżył się — wszak i w młodzieńczych latach człowieka po dniach zapalu, szlachetnych uniesień i wyteżeń umysłowych, następują dni zubożenia na wszystko i rozstroju wewnętrznego — usposobienie to wnet przemija i znów wraca młodzieńczy zapal. Aby mieć podobny przykład w narodach, które jeszcze nie stały się starcami, proszę zastanowić się nad Francją w dwu ostatnich wiekach.

Pod Ludwikiem XIV rozwinęło się tam życie wojenne, naukowe, polityczne, na rozmiary, którym podobnych nie może wykazać historia. Armie francuzkie zdobywały obszerne ziemie jak za czasów rzymskich legionów, staczały równocześnie na kilku miejscach krwawe a zwycięzkie boje, straszyły dotąd nieuleknioną Turcyę, a cały ten rycerski wojowniczy duch zaczerpnął swą siłę z jednego nezcucia „chwaly“. Tenże sam ruch, pelen życia i siły, objawia się w naukach i literaturze, ta sama tęgosc i konsekwentność jest charakterystyką całej maszyny rządowej w najdrobniejszych jej kółkach. Teraz przypatrzmy się tej samej Francji pod Ludwikiem XV i XVI, armie bez wodzów bite i seigane — życie naukowe błyska ostatnim promykem światła epoki przeszłej — w rządzie przedajność, niesprawiedliwość i nieład. Zepsucie i zniechęcenie ogarnia właśnie tę klasę narodu, która przed-

tem takie wszechstronne rozwinęła życie. Potrzeba było rewolucyi i Napoleona, ażeby Francją wydobyć z otrętwienia; jakoż wyszła nową i świeżą, ale już przekształconą w pojęciach i całym składzie wewnętrznym. A znów po wstrząśnieniach rewolucyi, po dniach Asperny, Jeny i Lipska, następuje restauracya powolna, leniwa, niezręczna: stagnacye polityczną i umysłową ponad całą Francją rozpościerająca. Wyrwała ją z tego stanu znova rewolucya lipcowa.

Podobne przejście z gwałtownego podrywu w osłabienie, z pełni życia i ruchu w stan wegetacyi i spokoju, napotykamy u wszystkich narodów, a wydatność tych przemian stoi w prostym stosunku do temperamentu i żywości narodowego charakteru.

Ktokolwiek choćby powierzchownie tylko zna dzieje powszechne, przyznać bezwątpienia musi, że wiek XVI i pierwsze dziesiątki XVII wieku dla całej zachodniej Europy były epoką wstrząśnień gwałtownych, religijnych i politycznych reform i przeobrażeń wewnętrznych, w samo jądro narodu godzących prób i ciężkich doświadczeń. Wypadki tak nagle następują po sobie, tak jest ścisła, konieczna spójnia między niemi, że porwane w ich wezbrane koryto króle i ludy, niewiadome ani celów ani obowiązków swoich, nie znalazły przedź punktu wyjścia z tego strasznego zamieszania, aż po okropnościach 30-letniej wojny.

Wojna ta, w którą wciągnięta została zachodnia Europa, walcząc bądź orężem na polach bitew, bądź dyplomacyą w gabinetach — uważaną być może za kryzys, za ostatnie wysilenie, a oraz za najwyższe spotęgowanie tego powszechnego, wszechstronnego a namietnego i gorączkowego ruchu, który od stu przeszło lat owładnął Europą. To też po wytrzymaniu tej straszonej kryzys, ludy i narody ułożyły się do spoczynku; nad śpiącymi zawładnęli despotycznie monarchowie, a mając na posługi, przebiegłość ministrów i bagnety armij, nie dozwolili obudzającym się ani więcej życia ani więcej samodzielnego ruchu, jak tylko tyle, ile całość i bezpieczeństwo systemu monarchicznego zcierpieć i znieść potrafi. I dwa całe wieki trwało to dzieciństwo i prowadzenie ludów na pasku — a proszę dobrze uważać, wszystka działalność historyczna na zewnątrz, cały ruch przemysłowy i umysłowy wewnątrz — wszystko to miało jedyne źródło w gabinecie i w dworze monarszym. Niema też w tych dwu wiekach literatury narodowej. Owa błyszcząca literatura francuzka XVII wieku, jest literaturą nie Francyi, ale Ludwika XIV, jest dworską i dworaczą a nie narodową. Dopiero w ostatnich dwu dziesiątkach XVIII wieku, kiedy spruchniały gmach monarchizmu już miał runąć, zjawily się genjusze i te rzucily na nowe drogi nie tylko literaturę ale i losy całych narodów.

Polska nigdy nie była obcą sprawom zachodu. Ogromny a gorączkowy ruch XVI wieku zaelektryzował i u nas serca i rozumy — a 30-letniej wojnie odpowiadają współczesne, pełne chrześcijańskiego namaszczenia i poświęcenia wojny z Turcyą, Tatarami i barbarzyństwem Moskwy i kozactwa.

Owszem, jak przewyższaliśmy świetnością prowadzonych wojen, znakomitością talentów wojennych i biegleścią rycerskiego rzemiosła zachód cały; jak obok Gustawa, Wallensteina i Tyllego postawić mo-

zemy postacię Firlejów, Kamienieckich, Jazłowieckich, Zamojskich, Chodkiewiczów i Żółkiewskich, równych tamtym w sztuce wojowania, ale większych zanością charakteru i silniejszych wiarą: tak potęgą życia duchowego, ruch wszechstronny naukowy, nierównie silniej i świetniej rozwinał się u nas niż w innych państwach zachodu, dla tego, że była u nas najwyższa wolność myślenia, mówienia i nauczania, co się komu żywnie spodoba, podczas gdy na zachodzie srożyła się nienawiść religijna torturą, ogniem i szubienicą.

Rzuciliśmy się więc z całym właściwym nam gorączkowym zapalem w ów wir pojęć, zasad, dogmatów, usiłowań, prób i doświadczeń, tak, żeśmy na chwilę zapomnieli o szabli, aby tem swobodniej i namiętniej szermierzyć piórem.

Istotnie, jakież jest pole umiejętności, którego byśmy w tych kilkudziesięciu latach nie uprawili; — pole kwestyj religijnych i politycznych, powiem, żeśmy przewrócili, przesiali do ziarnka. Obok tego wyteżenia ducha w przedmiotach wiary i nauki, nie zapomnijmy, że rozwinęło się do najwyższej potęgi życie polityczne, które się da streścić w dwóch słowach: unii lubelskiej i elekcyi viritim. Dodajmy teraz czyny zapalu wojennego, których pamflet przywiązana zostanie na zawsze do nazwisk Połocka, Pskowa, Kircholmu, Kluszyna i Chocima — a wyznać musimy, żeśmy rozwinęli tak wszechstronne życie, w takiej pełni czynu, zapalu i żywotności sił, że w tej mierze nie ustapiliśmy żadnemu narodowi, żadnemu państwu na zachodzie. Ale jak Polska uczestniczyła w powszechnym ruchu Europy w XVI i w początkach XVII wieku, tak popadła wraz z nią w osłabienie, znękanie i bezczynność, naturalne skutki gwałtownych wysileń, a nie było w niej tęgiego rządu i wszechwładnego wpływu dworu, któryby choć sztuczne życie wywołał — i w tej to prawdzie szukać należy jednej z przyczyn upadku literatury naszej.

Pan Szujski skarży się na „polityczną otyłość“ narodu, powiada, że „ocięzały, spokoju i dobrego bytu pragnący, ciężał kamieniem na usiłowania“ Władysława IV. (Dzieje Polski stronica 259). „Otyłość ta polityczna“, ociężałość i żądza dobrego bytu, czego przecie według p. Szujskiego, Jezuitom przypisać nie można, bo „Jezuici XVI i pierwszej połowy XVII wieku różnią się stanowczo od późniejszej zdegenerowanej braci... są Polakami“ (III. 88) — jest właśnie tem naturalnem następstwem wielkiego ruchu, którym naród żył przez wiek jeden cały — owem osłabieniem, zniedołężnieniem i spoczynkiem na laurach. A jeżeli takie naturalne następstwa przypuszczamy w życiu politycznem, tedy przypuścić je musimy i w życiu ducha, w naukach i w oświacie, bo i na tem polu pracowano z większem może wyteżeniem, jak w polityce i wojaczce.

Przyjawszy tedy za zasadę, co koniecznie przyjąć należy, że literatura jest odbłaskiem wewnętrznego życia, jest wiernym odciskiem wrażeń, pojęć, szlachetnych zachceń, zapalu i szalu: koniecznie ten wniosek uczynić wypadnie, że skoro to wewnętrzne życie w ciasniejszych zamknęło się granicach, skoro potęga uczuć zmalała a ów szal i zapal do czynów wielkich ostygł: literatura także coś, a nawet

wiele z swej dawnej świetności stracić musiała. Owa „otyłość polityczna“ stała się niebawem przywarą i w życiu ducha. Już senatorowie polscy nie piszą rozpraw klasycznych, jak owe dzieło *De senatu Romano* Zamojskiego, nie rozmyślają nad sztuką wojowania i nie przekazują potomności swych uwag długiem doświadczeniem zebranych, jak hetman Tarnowski. „Szkrupul bez szkrupulu“ pod wrażeniem zgorzelenia publicznego napisany, prócz skargi i surowego sądu nie ma innej pisarskiej zalety i nie ważył się nawet wystąpić publicznie, aż siódme pokolenie wydobyło go z pyłu bibliotek. Rozprawy polityczno-obyczajowe na wzór Modrzewskiego „o poprawie Rzpltej“ i „Dworzanina“ Gornieckiego rzadko bardzo pojawiają się — leniono się do podobnych dysertacyj na nic nieprzydatnych, a rozmiłowanie w złotej wolności i *liberum veto*, bezmyślność o jutrze, uczyniło je nawet niepodobnemi. Ledwo tak krwawe wypadki jak bunt kozackie, tak hazardowne wyprawy i bitwy, jak Czarnieckiego, zdołały stworzyć kilku pamiętnikarzy, których reprezentantem Pasek. Chociaż potęga Turcyi groziła straszniej niż kiedykolwiek — nikt jednak nie pisze „Turcyki“ Orzechowskiego prócz pieśni Kochowskiego i głosów z ambony, nie odezwały się żadne głosy wzywające naród do wojny świętej. Epoka tak obfita w dziejowe wypadki, jak panowanie Jana Kazimierza i króla Jana, nie znalazła historyka, bo przeciw Klimakterów Kochowskiego lub Janiny Rubinowskiego historyą nie nazwiemy¹⁾. Widoczna więc, namacalna jest ociężałość ducha, wstręt do myślenia, słowem, niechęć do umysłowej pracy. Panowie literaci podnosząc usterki naszego piśmiennictwa tych czasów, wskazują na Jezuitów, i tylko na nich, jako na sprawców złego, a tymczasem rzecz się ma zupełnie przeciwnie. Opuszczenie sił ducha, rodzaj bezmyślności i zniechęcenia, to konieczne następstwo wyteżenia duchowego ubiegłego stulecia. Jezuiti, którzy w tamtym wieku rozwinęli największą czynność i działalność, teraz wychodząc z łona narodu, wnosili z sobą do zakonu te przyzwary narodowe, o których oni sami ani współcześni nie wiedzieli, lub chociaż je odgadywali, uwolnić się z nich nie byli w stanie. Jest-to tajemnicą ducha czasu, że ludzie, którzy w wieku żyją, wiedząc lub nie wiedząc o tem, przyczyniają się do spełnienia idei tego wieku, w którym żyją i sami nie wiedzą jak wciągani bywają w koło pojęć i przymiotów dobrych lub złych, które są cechami wieku²⁾, a tylko „nie wielom“ dano jest, wynieść się myślą, uczuciem i czynem po nad wiek swój.

¹⁾ O poezji tu nie czynię wzmianki, bo inna była przyczyna jej upadku.

²⁾ *On n'échappe pas à la mission propre et caractéristique de son temps; on la subit soi-même, et on y prend part, soit de plein gré, soit à son insu. Par les vérités et les erreurs, les biens et les maux, le mérite et les fautes, les conquêtes et les revers des siècles qui l'ont précédé, le XIX siècle est appelé à une oeuvre spéciale, qui fait son labeur et fera, je l'espère sa gloire. Médit. sur l'état actuel de la religion chrétienne par Guizot p. 100.*
To samo powtórzyć można dosłownie o każdym minionym wieku.

Owoż Jezuici żyjąc w wieku „otyłości politycznej“ i duchowego zniedołężnienia, nie podobna ażeby coś nie zaczerpnęli z owej atmosfery, w której żyli, --- jeżeli więc pracom ich naukowym z tej epoki zarzucamy płytkość i plaskość, nie przypisujemy tego ich winie, ale winie wieku, w którym żyli, a którego oni nie stworzyli, i nie nazywajmy ich „zabójcami myśli, tamą oświaty i cywilizacyi“. Owszem, w tym okresie snu duchowego i bezczynności, Jezuici okazali jeszcze największej życia, rozwinęli większą energię, większą moc i działalność ducha, jak jakiegokolwiek inne zgromadzenie naukowe czy zakonne, jak ministrowie, senat i sama Rzplta. Nieprzyjaciele ich przyznają sami, że stali najwyżżej pod względem naukowości, tłumacząc złośliwie, że to stało się w skutek zabójstwa myśli i ducha, jakie ten zakon popełnił na narodzie. Jezuitów widzimy na katedrach akademickich, w obozach i szpitalach, na polu bitwy i w mieście zadżumionem — poświęcających się pracom apostołskim zarówno w Warszawie stolicy państwa, jak w błotnistym Pińsku, pełniących usługi duchowne z równem poświęceniem na zamkach królewskich i magnackich dworach jak wpośród słobód napół dzikiego kozactwa i chałup jeszcze w XVII w. pogańskich Żmudzinów. Obok ich kolegów dźwigają się drukarnie a nawet rękodzielnie i fabryki, jak to było później w Połocku.

Taką samą niezmordowaną wytrwałość i ruchliwość rozwinęli Jezuici na polu piśmiennictwa. Niemasz gałęzi nauk, w którejby nie pracowali. Oni pierwsi napisali gramatykę litewską i żmudzką¹⁾ i katechizmy w tych językach: Knapski wydaje ogromny słownik łacińsko-polski, który dzisiaj jeszcze filologom walne świadczy przysługi. Smiglecki pisze trzy-tomowe dzieło filozoficzne, które długie lata służyło za podstawę wykładów na akademii w Oxfordzie. Sarbiewskiego poezye Anglię wykładają z katedry miasto ód Horacyusza. Kojalowicz ogłasza drukiem dwutomową historią Litwy, która obok historii Kromera postawioną być może²⁾ — zostawia w rękopisach historią kozackich wojen, monografią domu Sapiechów i klótnie Radziwiłłów z Chodkiewiczami — heraldykę rodzin litewskich i inne. Niesiecki przedsiębierze olbrzymią heraldyczną pracę, w nagrodę której staje się ofiarą gniewu współczesnych i złośliwych przyeinków krytyki. Solski wydaje w polskim języku jedyną w swoim rodzaju geometryą in folio, podzie-

¹⁾ Konstanty Szyrwid, Jezuita litewski, wydał: *Clavis linguae lituicae* i słownik polsko-litewski i kazania na niedziele i święta w języku litewskim.

To samo zrobił dla Estończyków Jezuita Boyer w języku łotewskim — w tymże języku napisali ewangelią, katechizm i kazania Jezuici Togliadorf i Elger. (Krzyżan. Dawna Polska str. 126).

²⁾ Historyk Szlecer, gdy z kolei swej pracy przyszedł na historię Litwy, znalazł dzieło Kojalowicza tak wykończone, tak odpowiednie wymaganiom dzisiejszej krytyki, że je dosłownie niemal przetłumaczył i jako 33 tom swej historii ogłosił. Pisze o tem Bentkowski w swej historii literatury tom II. str. 729.

loną na trzy księgi. Młodzianowski i Wojciech Cieciszewski¹⁾ przypominają wymową i patryotyzmem złotoustego Skargę. Bystrzycki w swojej geometrii gospodarskiej wyczerpuje całą ówczesną wiedzę ekonomii ziemiańskiej. Raczyński ogłasza światu „*Curiosa historiae naturalis Regni Poloniae*“, (ciekawości historii przyrody Królestwa Polskiego), dzieło, za które sam Bentkowski, idąc za Diuklosem, osądził autora godnym posągu. Rogaliński wydaje pierwszy „w języku polskim“ fizykę właściwą, pięciotomowe dzieło, a tom ostatni liczy 910 str. in quarto. Nawet budownictwo znalazło w Jezuitach zdolnych uprawiaczy, jakimi byli Solski i Tylkowski, a w przededniu kasaty Jezuita Wyrwicz pisze swoją geografią powszechną. Jezuita Poczobut nabywa sławy europejskiej; astronom ostatniego króla, ozdobiony orderem św. Stanisława, wraca do swego zakonu i umiera wśród braci w Duneburgu 1809 roku²⁾.

¹⁾ O tym kapłanie, patryocie, kaznodzieju, teologu i kapelanie obozym króla Jana Kazimierza nic nie wspominają literaci — a jednak potęgą wymowy i duchem patryotycznym dorównywa Skardze i Młodzianowskiemu. Jest w Bibl. Ossol. pod l. 2477 kazanie jego, miane w Katedrze lwowskiej po wyprawie Zbarańskiej r. 1648. Ileż tam humoru i dowcipu, ileż przytem namaszczenia i godności kaznodziejskiej. Powiedziawszy w pierwszej części, że „Polska ojczyzna nasza z natury swej *suspicionibus laborat*, co wielkim dowodem jest, że w niej melancholiczny humor panuje“ — porównywa mowca potrzebę Zbarazką z wyprawą Chocimską i mówi: „Blisko 30 lat temu, jako na Cecorskich polach wojsko nasze zniesione, hetman jeden zabity, drugi żywcem wzięty; Królestwo Polskie tak się było zachwiało, że sam cesarz turecki w wielkim orszaku na pogrzeb był przyjechał. Że Bóg dobrotliwy przy zdrowiu i całości Królestwo Polskie natenczas zachował, tak się w tem bożem dobrodziejstwie Polacy zakochali, że na pamiątkę wieczną *nemine contradicente*, ów dzień, tj. dzień 10 oktobra za pozwoleniem Stolicy św. kanonizowali i świętym nazwali.“

Wykazuje dalej, w czem ważniejsza i świetniejsza ekspedycja Zbarazka od Cocińskiej — usuwa zřęcznie wszelkie uprzedzenia i podejrzenia od króla i tych, co pacta zbarazkie podpisali, a świetną swą mowę kończy: „Kto się Boga boisz, za dobrodziejstwo to chwal go, a kto, Boże nasz, patrząc w tej sprawie na miłosierdzie i dobroć Twoją, Tobie nie dziękuje ani Cię chwali, zestaw go na świecie nikczemnym i bez wszelkiej chwały.“ (Ekspedycja Zbarazka szczęśliwie dokończona. Warszawa 1649).

Ilużby tu takich Cieciszewskich odszukać się dało nawet w najsmutniejszych czasach dla literatury, gdyby panowie literaci miasto pisać inwektywy lub treny na Jezuitów, zadali sobie pracę przeczytania choćby połowy tego, co wtenczas pisano.

²⁾ Oto jeszcze kilka imion zasłużonych w literaturze: Krüger Oswald matematyk i astronom; Tylkowski Wojciech, filozof, historyk, matematyk i teolog; Perkowski Tomasz i Pękowski Gaspar, historycy kościelni; Morawski Jan, filozof i teolog; Rogaliński Józef, matematyk i fizyk; Bohomolec, historyk i geograf; Puzyna Szczepan, historyk, geograf i publicysta; Gergel, Grzegorz, filozof i teolog sławny.

Pomnijmy, że tym ludziom zbywało na wszelkiej zachęcie lub inicjatywie ze strony narodu, że owszem pokonywać im pierw trzeba było zapory, jakie postawiła o ciężałość polityczna narodu i skostnienie ducha i myśli a przyznamy im prawdziwą zasługę, miasto miotać na nich potwarze i kłam. Gdyby więc żadnych innych nie było przeszkód dla literatury i piśmiennictwa, to już ta naturalna prawie konieczność spokoju i bezczynności po wielkich wyężeniach i wszechstronnych usiłowaniach, jest walną i sama przez się dostateczną przyczyną wstecznego zwrotu i niedopisania wymaganom późniejszych pokoleń. Tymczasem obok owej w naturze rzeczy leżącej obojętności i bezczynności, występują mnogie inne czynniki, które najniekorzystniej na umysłowy rozwój i pielęgowanie pięknej literatury wpłynąć musiały.

Taką, nierównie może ważniejszą od pierwszej przyczyną upadku literatury jest widoczny upadek polityczny; to upośledzenie narodu wobec państw ościennych, które wynikło w skutek najnieszcześniejszej prowadzonych wojen, braku wszelkiego rządu i zdrowej polityki, a w części w skutek niedołęztwa króla i zdrady niektórych rodzin polskich. Literaci, którzy w każdej innej epoce tak uwzględniają polityczne stosunki, którzy umieją ocenić, ile szkodliwemi dla piśmiennictwa stały się wojny domowe Piastowiczów i najazdy Tatarów lub Litwy, ile znow przyczyniła blasku i życia literaturze Zygmunto-wskiej polityczna świetność Rzpltej, rozprawiając o epoce upadku, nie umieją czy nie chcą uwydatnić tego ujemnego wpływu, jaki wyrzecz musiały na usposobienie duchowe narodu kłęski Kazimierowskie, hańba pokoju buczackiego, krwawe zamieszki szwedzko-saskie, a w końcu tyrania Moskwy. Czyż więc natura rzeczy się zmieniła? Zawsze polityczne wydarzenia nadawały prąd literaturze i tylko w XVII i XVIII wieku nie? Albo może wszystkie nieszczęścia i upokorzenia i srogie zawody, złożymy niedorzecznie na upadek literatury? Pewną jest rzeczą, że piśmiennictwo przygotowuje umysły do nowych przedsięwzięć politycznych, ale to wtenczas tylko, kiedy piśmiennictwo stało się potęgą, kiedy, jak za dni naszych, ma swoją prasę i swoich publicystów, pisarzy z powołania i rzemiosła, i kiedy — jeszcze jeden warunek najważniejszy — grunt jest po temu, tj. naród jest przystępny i wrażliwy na wszystko to, co mu owa literatura dziennikarska podsunie, jak to np. miało miejsce we Francyi, przed rewolucją lipcową

Jako teologów i kaznodziei sławnych wymieniają panowie literaci: Bem-busa, Hinczę, Kojałowicza, Leśniowskiego, Lorencowicza, Makowskiego, Olszewskiego, Przyborowskiego, Szyrwida, Sufczyńskiego itd. itd. Są to ludzie z drugiej połowy XVII wieku i dalej. A więc i pod względem naukowym nie można Jezuitów z tej epoki nazwać „zdegenerowaną bracią“, jak to uczynił pan Szujski. Wspomniałem też tylko najbardziej zasłużone imiona. Jezuitci polscy niezmiernie wiele pisali, a w tym ogromie ich pracy jest nie mała liczba dzieł dobrych i godnych uznania potomności. Wyznają to nieraz jeden panowie literaci, mimo to przezwali Jezuitów obskurantami i nienkami, chociaż wątpię czy dziesiątą przynajmniej część ich prac przeczytali. Sołskiego np., Szyrwida i innych nachwalić się nie może Krzyżanowski i Łukaszewicz.

lub wojną pruską. Ale w tamtych wiekach tak nie było. Nie znano literatów z profesyi, nie znano opinii publicznej, stworzonej i karmionej gazetami lub broszurą. Polacy, i dzisiaj nie jesteśmy tegimi ryccerzami książkowymi. Literatura była wówczas zabawą, krotoczwilą dla umysłów poetyckiego natchnienia, lub pokresowanych w bojach starców. Duchowni z powołania swego zajmowali się pracą poważną, chociaż może nie genialną, lub pisali dzieła w przedmiotach czysto religijnych, które nie potrącając o życie polityczne, uchodziły tem samem uwagi publiczności.

Nie można więc bez popełnienia historycznego fałszu naznaczać piśmiennictwu przeszłych wieków takiej potęgi i doniosłości, jaką posiada ono dzisiaj, a tem samem nie godzi się upadku politycznego kłaść na karb upadku literatury. Rzecz w wiekach przeszłych miała się przeciwnie. Wpływ politycznych zdarzeń był silniejszym, raz dla tego, że ludzie zajmujący się piśmiennictwem, wchodzili w życie publiczne, a często byli częstką administracyjnej władzy; powtóre dla tego, że koleje i zmiany polityczne nie mogły być obojętne narodowi, który się sam rzadził. Dzisiaj, kiedy los państwa zwykle mało obchodzi opanowane ludy, nie można przecie twierdzić, że pomysłności lub kłęski państwowe przechodzą bez żadnego wrażenia na umysły. Już tem samem, że pociągają zmiany materyalne, nie mogą pozostać bez wrażenia. O ileż więcej miejsce to mieć musiało w Rzpltej, gdzie każdy szlachcic należał do tych, na których polega całość Rzpltej? Kochanowski nie mógłby się oddać swej muzie pod lipą czarnoleską, gdyby blyszczał po nad głową jego miecz Szweda lub lanca Kozaka, ani Piasecki kreśliłby piórem historyka współczesne dzieje Europy w pośród kłesk domowych i powszechnego zamętu Kazimierza lub Augusta — ani Modrzewski lub Górnicki pisaliby swoje uczone rozprawy wtenczas, kiedy plan rozbioru Polski układano, a dwór króla wygnańca tulal się na obczyźnie. Są to prawdy proste i jawne, a przecie całą winę zwalamy na Jezuitów. Czasy Jana Kazimierza, Korybuta lub Augusta II nie były zaiste chwilami, które zdolają nastroić umysł do pięknej poezyi, wlać natchnienie i zapal piewcy narodu. *Silent musae inter arma!* To też skoro oręż Jana III przywrócił chwilowo blask Polski Zygmuntozkiej, występują z lutnią w rękę, z pieśnią na ustach dwaj poeci, „cisi ziemianie, spadkobiercy starej Kochanowskiego lutni“ ¹⁾ — i opiewają zasługi, boje i czyny zbawcy chrześcijaństwa.

W tym to zbiegu wydarzeń politycznych, tyle nieprzyjaznych, bo burzliwych i pełnych zamieszek, należy upatrywać przeważnie jedną z przyczyn upadku nauk, a mianowicie poezyi, która przedewszystkiem swobody ducha i milego spokoju wymaga. Jezuiti, jak wspomniałem wyżej, w tej epoce nieraz z siedzib swoich wypłoszeni, lub odrywani do posług obozowych i zadżumionym, nie mogli się oddawać z całym wyteżeniem sił naukowym pracom. Trzydzieści kilka lat spokoju po

¹⁾ Szujski. t. IV. 132.

tarnogrodzkiej konfederacji, przerwanej tylko dwuletnią burzą elekcji Sasa II, mogło posłużyć wiele do podniesienia nauk i oświaty, gdyby inne okoliczności sprzyjały. Długie a bezowocne walki domowe znekały do tego stopnia umysły, żelazna ręka caratu ciężąca nad Rzpltą, zabiła tak wszelką swobodę myśli i ducha, że naród kontent z chwili spokojnej, zdawał się szukać powetowania doznanych cierpień i zapomnienia obecnej hańby przy biesiadzie i kielichu. Wyrobił się w narodzie dziwny jakiś instykt hulaszczy, któremu towarzyszyła bezmyślność i zostawianie losów Rzpltej na Opatrzność Boską i sąsiadów uczynność. Przy rozlicznych festynach i uroczystościach kościelnych wystrzelano tyle prochu, ile w całej siedmioletniej wojnie z obu stron nie wypotrzebowano — bo też działa i artylerya Rzpltej w tym jedynie celu zdawała się być zoldem Rzpltej optacaną — równie jak mieliczne pułki wojskowe jedynie dla przydania świetności i bezpieczeństwa podobnym obchodom, służbę swą pełniły. Polska stała się domem godowym. Jezuici w takim składzie rzeczy cóż mieli czynić? Niepodobna, aby polityczne wypadki i obecny ustrój społeczeństwa, z którego łona wyszli i które ich otaczało, nie zostawił żadnych wrażeń na ich umyśle, nie paraliżował ich wzniosłych usiłowań, a słabszym na duchu nie odbierał otuchy i ochoty do dalszych prac i wysień. Kto raz doświadczył na sobie, jaka bezsilność owładnia duszę, kiedy się widzi bezskuteczność swego poświęcenia, kiedy mimo najszczerzych i najszlachetniejszych intencji i usiłowań, napotyka się tylko nieuczulłość, wstręt lub obojętność, ten dziwić i dumieć się będzie nad energią i wytrwalością Jezuitów XVIII wieku. Działalność ich, i że tak powiem, wywnętrzenie wszelkiej żywotnej siły nie była mniejszą w XVIII jak w XVI wieku — tylko że ta siła trawiła się na walkach i zapasach wewnętrznych. Jezuici XVIII wieku musieli walczyć z ociążalnością i zobojętnieniem swego czasu, podczas gdy Jezuici XVI wieku zastali życie i ruch prawie wirowaty, który ich z sobą porywał i ułatwiał nad miarę wszelką pracę.

Tych uwag panowie literaci nie raczą mieć na względzie, a jednak jeżeli kiedy, to dzisiaj, gdzie „duchowi czasu“ taką ważną rolę w historii odgrywać słusznie rozkazujemy, okoliczności czasowe, miejscowe otoczenie i nastrój społecznego ducha uwzględnićby należało. Rozwodząc się nad moralną i polityczną nędzą Polski XVIII wieku, wskazujemy jako na jedynych winowajców na Jezuitów, i wmawiamy w siebie i w drugich, że oni „Alwarem i Scholastyką“ zabili ducha, że edukacją płytką a demoralizującą przygotowali pokolenia, których niedoleżność i ograniczenie wywołało katastrofy upadku. Po tem, co już powiedziałem, nie widzę żadnej potrzeby wykazania niedorzeczności i niesprawiedliwości podobnych sądów czy przekonań.

Za ostatnią przyczynę upadku nauk, ale równej doniosłości jak dwie pierwsze, uważam dobrowolną emigrację magnackiej młodzieży i zmarnowanie złotych lat młodości na podróżach bez celu i pożytku. Chronić tu się należy dwu ostateczności: domatorstwa i ślepego wielbienia zagranicy. Domatorstwo, jeżeli jest powszechne, wydaje

idiotów, ale znów długi a bezczynny pobyt za granicą rodzi śmiesznych dziwaków i nikczemników.

Już w XI i XII w. znajdujemy młodzież polską na wszechnicach zagranicznych. Św. Stanisław Szczepanowski i następca jego na biskupstwie krakowskim, Iwo, pobierali nauki na akademii paryzkiej. Niejaki Mikołaj, archidyakon krakowski, był nawet rektorem sławnej podówczas akademii bonońskiej. Następnie prawie wszyscy biskupi polscy aż do XV wieku, i cokolwiek było u nas uczzonego — kształcili się za granicą; niektórzy z nich, jak Ciolek i Marcin Strępa, dominikanin, nie powrócili więcej do kraju. Ale wtenczas taki wyjazd za granicę był koniecznością, bo nie istniała w Polsce żadna szkoła teologii lub prawa, chcący więc nabyć tych nauk, musieli ich szukać po za krajem.

Skoro akademія krakowska zaraz na początku XV w. zakwitła, wyjazd za granicę przestał być koniecznością. Najznakomitsze w literaturze postacie z tej epoki wyszły z akademii krakowskiej, która zdobywszy sobie stanowisko głośnie na całą Europę, nadawała razem z stopniami akademickimi tę sławę i ten urok, jaki zwykle przywiązany był do najslawniejszych uczelni Wioch albo Paryża. Ale właśnie pod ten czas wyrabiał się i rozwijał potężnie żywioł szlachecki. Synowie majątniejszych rodzin, po ukończeniu nauk domowych, udawali się na lat kilka na wojaże, ażeby poznać zwyczaje i obyczaje ludzi, wprawić się w rycerskie rzemiosło, a jeżeli na której wszechnicy zagranicznej pojawił się geniusz, prawnik czy teolog, filozof czy filolog, zostawali trzy i cztery lata w tem mieście, aby słuchać wykładów.

Wycieczek tych kosztownych, pełnych trudności i niebezpieczeństw, nie przedsiębrano plocho i dla zabicia czasu, nie puszczano młodzika samopas, z trzosem złota i listem rekomendacyjnym, ale szukano w nich prawdziwego wykształcenia umysłu, bogactwa wiedzy i doświadczenia, ażeby je za powrotem użyć na posługi ojczyzny. Nie mył się, jeżeli twierdzę, że Jan Tarnowski, postać najznakomitsza pod koniec XV wieku, zawdzięcza i wielką buławę i pieczęć koronną swej siedmioletniej podróży po całym zachodzie. Zupełnie w innem przeznaczeniu odbywały się podróże za granicę w chwilach reformacyjnego szalu. Nie troszczono się wiele o zasoby nauki i doświadczenia, o spożytkowanie ich dla dobra Rzpltej; niespokojne umysły, głodne nowej nauki i nowej wiary, chwytaly się najśmielszych doktryn, przywiązywały się do mistrzów w wynajdywaniu teoryj najgenialniejszych i najzuchwalszych. Wnet Witemberga i Genewa stały się ogniskiem uczonej emigracyi polskiej, Melanchton ulubionym i popularnym mistrzem. Na wzór owych swych mistrzów objechano nieraz Niemcy, Włochy i Francją i znów wracano do Niemiec, aż po 10-letniej emigracyi przypomniano sobie nareszcie na ojczystą Polskę. Wszystko w niej już nie podobało się, przedewszystkiem wiara ojców. Z głową brzemioną doktrynami i dziwaczniemi pomysły, z sercem pełnem tej dumy, jaką rodzi przesvědzenie o wzniosłem powołaniu reformatora, rzucili się ci ludzie namiętnie w życie publiczne i straszne sprawili zamieszanie. Godzili przedewszystkiem w wiarę katolicką i w resztki władzy królew-

skiej, tę rozbili w puch, tamtą podkopali. Ale w dziedzinie nauk i rozwoju ducha, emigracja XVI wieku nie była bez korzyści; wykazałem to wyżej.

Z upadkiem różnowierstwa kończy się epoka wychodźstwa i podróźowania w celu zbierania nowinek. Tylko tak zamożne rodziny jak Radziwiłłowie, wysyłały jeszcze synów swoich za granicę dla nabycia poloru, nauki i poznania ludzi. Były to wszelako tylko wyjątki. Niespokojne i zawichrzenia krwawe na zachodzie nie dozwalały podróźować swobodnie, w kraju znalazła młodzież odpowiednie zatrudnienie w urzędach Rzpltej, które nie obarczając bynajmniej pracą, przynosiły w dom, zaszczyty i dostatek; a ustawicznie ciężkie, ale pełne namaszczenia religijnego wojny z Turcyą i Tatarami, boje z Kozactwem i Szwecyą, nareszcie awanturnicze wyprawy na Moskwę, porywały tysiące młodych Polaków na pole Marsa.

Po ostatniej świetnej na Moskwę roku 1634 wyprawie, naród ułożył się do spoczynku.

Obok przesadnej troskliwości o zachowanie pokoju, obok niepomiarowanej żądzy dochodów i posażnych dygnitarstw występuje domatorstwo. Wyjazd za granicę nie miał żadnego celu, żadnej nie przynosił korzyści; dostatek, opływanie w swobody i rozkosze, przywiązywało potężnie do domu. Rozmiłowano się w wygodnej, lubej, beczynności ¹⁾. Po tym wycieczniku na laurach nastąpiła burza panowania Jana Kazimierza. Wyrzuciła ona na obcą ziemię nie tylko obywateli Rzpltej, ale i senat i samego króla, o podróźach jednak i uczonej emigracji mowa tu być nie może, raz że ratunek rzpltej wymagał tysiąca rąk zaprzęgniętych rycerskiem rzemiosłem, powtóre że fortuny wielu zamożnych domów niszczyły srogością prowadzonych wojen.

¹⁾ Jak sprzeczne są zarzuty, które zadają Jezuitom — tutaj także każdy przekonać się może. Podczas kiedy jedni zarzucają im, że oni trzymając monopol wychowania a nie dając rękami prawdziwej nauki, zmuszali młodzież do wojażów, a nawet sami takowe wojaże pochwalali — inni obwiniają ich o poruszenie wszelkich sprzężyn, byleby tylko przeszkodzić wojażom, z obawy, ażeby wojażerowie owi, wróciwszy mędrsi i oświeceni od nich, nie wykazali narodowi całej niedostateczności jezuickiej edukacji. Takie anty - postępowe usiłowania Jezuitów uwieńczone zostały naturalnym skutkiem: głupotą społeczeństwa, w którym mniej głupi Jezuiti rej wodzili. Niech mi wolno będzie wypowiedzieć przekonanie zakonu w tej mierze. Jezuiti nie są przeciwni kształceniu się za granicą tak dalece, że w myśl instytutu jezuickiego z każdej prowincji wysyła prowincyał kilku zdolniejszych zakonników do Rzymu dla studyów teologicznych a nawet każe im słuchać wykładów w innych gałęziach nauk na wszechnicy paryskiej, jeżeli wykłady te są prawdziwie godne słuchania. Zwyczaj ten praktykuje się u nich po dziś dzień. Ale przeciwni są i muszą być przeciwnymi wojażom takim, jakie weszły w zwyczaj za dwu ostatnich królów, które nie tylko że nie kształciły umysłów i serc, ale niszczyły wszelki zaród cnoty i uniemożliwiały prawdziwe wykształcenie, oparte na zasadach moralności.

Nastaly pomyślniejsze czasy, skoro na tronie rycerskiego narodu zasiadł król rycerz. Odtąd datuje się nowy rodzaj emigracji dobrowolnej, zupełnie różny od tamtych, chociaż właściwy jej początek dopiero na ostatni lat dziesiątek panowania Sasa I. położyc należy. — Jędrzej Morsztyn podskarbi W. Koronny jest pierwszym emigrantem zupełnie nowego posiewu. Zawiedziony w dumnych rachubach, przekonany o zdradę i tylko wspaniałomyślnością Sobieskiego uratowany od hańby, nie widział dla siebie w Polsce żadnego pola; postanowił więc szukać na obcym niebie przyjaźniejszej gwiazdy.

Jasniał natenczas dwór Ludwika XIV całym blaskiem pożyczonego światła; w rękach francuzkiego monarchy ważyły się losy Europy, z nich jak z rogu obfitości płynęły zaszczyty i bogactwa na wszystkich tych, którzy chcieli się zniżyć do godności dworaków i dworzan królewskich.

Podskarbi wyprzedawszy się w Polsce zakupił znaczne dobra we Francyi, a usługi swoje poświęcił monarsze. Już syn jego został generałem wojsk francuzkich.

Na nieszczęście, już pod koniec panowania króla Jana „nie było co robić w Polsce“, Jak dla braku wszelkiej polityki w rządzie Rzpltej rzucili się pojedyncze możne rodziny na politykowanie na własną rękę, iż tyle było w Rzpltej państw i państewek, ile domów potężnych: tak brak wewnętrznej silnej organizacyi rządowej — zostawianie urzędów i dygnitarstw dziedzicznie prawie w familjach, zdanie rzemiosła rycerskiego w ręce zaciężnego żołnierza i ubogiej szlachty, wszystko to wypląszalo z kraju corocznie znaczną liczbę najprzedniejszej młodzieży. — Oł sejmu niemego 1717 r. datuje się epoka zupełnej stagnacyi politycznej i bezczynności, od tego też roku datuje się epoka wychodźstwa i podróży bez celu. Kolo osoby Stanisława Leszczyńskiego, który już 1712 r. stałe zamieszkał we Francyi, kupila się młodzież polska, przez jego rekomendacje i wpływy dostawala się na zepsuty dwór Ludwików XIV, XV i jednala sobie łaskę monarszą.¹⁾

Nie chcą przesądzać i całe młode pokolenie czasów Sasa I obwiniać o lekkomyślność i niekzemność. Pierwsze emigracye do Francyi

¹⁾ A musiały to być liczne zastępy tej młodzi emigracyjnej, kiedy głośny ów Duńczyk, hr. Loewendahl złożył według świadectwa Rulhiera cały pułk z Polaków, którym przewodził. Inni wysokie na dworze lunewilskim, który przepełniony był Polakami, krewnymi króla i królowej Katarzyny Opalińskiej, piastowali urzędy. Dość wspomnieć Maksymiliana Ossolińskiego, niegdys podskarbię W. K., co został jako mistrz tego dworu dukiem i parem francuzkim, kilku uksiążęconych także Jabłonowskich, okrytych orderami św. Ducha, św. Michała i św. Huberta, Józefa Żałuskiego i Jana Krasińskiego, wielkich jałmużników tego dworu, wyposażonych bogatemi opactwami w Lotaryngii i Burgundyi. Ztąd coraz częstsze małżeńskie związki Polaków z Francuzami, ztąd wpływ kobiet zawsze przeważny na domowe stosunki, wychowanie i wyobrażenia. To wszystko opierając się o dwór lunewilski i wersalski ściągało tam roje Polaków i Polek.“ (Rzut oka na stan relig. obycz. Polski XVIII wieku. Dodatek do *Czasu* t. VIII. str. 303, 304.)

mogły być podjęte w dobrych, nawet szlachetnych celach, dla uniknięcia beczynności, na którą skazywał nieład polski, dla nabycia nauki i doświadczenia, nareszcie dla poparcia widoków politycznych swej rodziny. Ale fatalnym trafem, Francya godnie reprezentowana przez dwór wersalski, nie była już więcej szkołą życia, ale ogniskiem zepsucia, przewrotni i niewiary. Potrzeba więc było wielkiej tęgości charakteru, silnej podstawy wiary i czystości obyczajowej z domu wyniesionej, roztropności i oględności rzadkiej, ażeby nie dać się uwieść ponętom świetnego ale zepsutego dworu, i umieć na wzór pszczołki wybrać miód słodki, nie tykając jadu. Takie zalety nie były nigdy własnością młodzieży, tem mniej Polaków, z natury żywych i wrażliwego niezmiernie umysłu. U nas też, dzięki niemoralności Sasa I., przestała w domach możnych kwitnąć „wiara i święta przodków cnota“. Stało się więc, że młoda emigracya wracała do kraju znikczemniałą moralnie i przewrotną, a zarazem ze wzgardą dla wszystkiego, co ojczyste i przeświadczeniem że jest powołaną do reformy. Nowość i śmiałość, zachwałę wystąpienie zawsze przemawiało wymownie do usposobienia polskiego. — Młodzież, co jeszcze zostawała w kraju, uderzona polem i gładkością francuskich paniczów nie mniej jak ich śmiałymi doktrynami i całym zachowaniem niezmiernie wolnem, rzuciła się tłumami na wojaże. — Ogromna większość tych, którzy brali udział w sprawach publicznych w ostatnich lat dziesiątkach bytu rzplłtj, wraz z królem, który im przewodniczył — wszyscy ludzie nizezemni i podli, walczący obok Moskali przeciw swej braci, wybierani patentem ambasadora rosyjskiego na posłów sejmowych, zasiadający z rozkazu Carowej w konfederackim kole, radzie i delegacyi: wyszli z tłumu wojazerów, a wartość ich umysłowego wykształcenia nacechował wybornie Naruszewicz w satyrze: „Głupstwo.“

To jest fakt, któremu przeczyć nie można. Jakaż jest jego doniosłość dla literatury i oświaty krajowej? — Wypróżniały się najprzód szkoły krajowe. Bardziej utalentowana i majątniejsza młodzież zostawiła uczelnie polskie ubogiej szlachcie lub mało utalentowanym. Łatwo pojąć, że i przy najlepszym systemie edukacya publiczna nie może przynieść tyle pożytku, ile powinna, jeżeli ograniczyć się musi na szczupłej liczbie i to mniej utalentowanej i mniej uposażonej młodzieży. Bo, nie robiąc wcale żadnej różnicy między arystokracją pieniężną lub rodową, przypuścić jednak koniecznie należy, że nowy duch, świeży zapal wstępuje w uczniów, jeżeli w swem gronie widzą kolegów zamożnych i uzdolnionych a z całą gorącością imających się naukowej pracy. — Tacy, ucząc się nie dla interesu lub korzyści materyjalnej, ale jedynie z zamiłowania nauki, podnoszą nieskończenie jej wartość, i nadają szlachetny, bo nie interesowany, kierunek, studiom. Dodajmy, że obok majątnych uczniów utrzymywała się równa liczba ubogiej młodzieży, odbierając już to wsparcie pieniężne, już to podarunki w odzieniu i książkach, a często, jeżeli celowała nauką, przyjmując obowiązek nauczyciela domowego

Jezuici wyszczególniali się w sposobach wspierania i podmagania ubogich uczniów dobroczynnością majątniejszych, i po dziś

dzień jeszcze zachowują w swych prywatnych zakładach ten zwyczaj. Jeżeli już nie ma innego sposobu ratowania ubogiego ucznia, odwołują się wprost do obowiązku chrześcijańskiej miłości i szlachetności serca i w ten sposób otrzymaną jałmużną zasilają niedostatek cierpiącego¹⁾.

Otóż z wyjazdem majątnych za granicę upadła ta silna dźwignia naukowego życia. — Uboga a zwykle najwięcej pracowita młodzież, która przedtem nie z wielką trudnością mogła uczęszczać do szkół, teraz pozbawiona materialnych środków musiała się chwycić klamki pańskiej, aby nie zginąć z głodu i marniała w pośród gawiedzi dworskiej. Co gorsza — owi wojażerowie wróciwszy do Polski, okazali wstętność i wzgardę jak do wszystkiego co jest polskie, tak zapewne i do szkół i wychowania publicznego. Nienajświetniejszy stan szkół krajowych zdawał się usprawiedliwiać ich zarzuty i szykany — stało się więc, że uczelnie polskie popadły w zupełny dyskredyt, że tylko ten miał jakieś znaczenie i szacunek w opinii publicznej, kto gdziekolwiek indziej, byle nie w kraju, odebrał wychowanie. — Nigdy podpadłe zakłady lub korporacje nie dźwigają się lekceważeniem, wstętności lub wzgardą. — Owszem lekceważone i poniewierane upadają głębiej, a jeżeli jeszcze nie upadły, to wnet nachyła się ku upadkowi. Jest to fakt oparty na tej psychicznej prawdzie, że rozumny, z natury wolny i szlachetny umysł ludzki tępieje i nizeczemnieje, skoro uczuje, że jest upośledzony i że pomiatają nim.

Jezuitorów wyłącznie potępiano o zatrącenie literatury i oświaty. — Najczęściej jednak zawinili w epoce 1717—1764 r. Wtenczas to szkoły ich były ogniskiem ciemnoty, życie umysłowe nie drgało ani jednym ruchem. Tych, którzy tak piszą lub mówią, proszę aby się postavili w położeniu Jezuitorów, i pod przykrem wrażeniem wstętności i wzgardy z jednej strony, a z drugiej pod parciem niczem nieprzelamanej ociążałości i zgnilej beczynności społeczeństwa, w którym się żyje i z którego lona się wyszło, o nich wyrokować.

Epoka bowiem, w której Jezuitorowie najczęściej mieli przewinąć, przypada właśnie na takie wypadki i okoliczności polityczne i społeczne, które najniekorzystniej oddziałują na literaturę. Nie Jezuitorowie wywołali owe katastrofy polityczne, nie Jezuitorowie pograżyli naród w stan apatii i otrętwienia duchowego; — kto przeciwnie utrzymuje, dowodzi, że nie zna historii, i nie pojmuje ducha zakonu, który zawsze celował czynnością, ruchliwością i energią. Przypuszczenie, jakoby Jezuitorowie naumyślnie nad uspieniem i zniedołężnieniem narodu pracowali, aby swoją działalność wydatnić i niezbędnymi się uaznić, jest złośliwe i niegodne tak poważnych pisarzy jak n. p. p. Szujski. Jezuitorowie są zakonnikami i nikt nie potrafił im dowieść, że zakonnej enocie uchybili. —

¹⁾ Wyzyskiwano już nieraz w najbrzydszy sposób tę szlachetną uczynność zakonu dla swych uczniów. Miał to być jeden z owych mnogich dobrze obmyślanych a niecznych środków, któremi przebiegły zakon „wkorzenił się w przeciągu dwóch wieków tak głęboko, że się szlachcie niezbędnym wydał, a skasowanie jego w końcu w. XVIII wszystkim ludziom starej daty zdało się niepewetowaniem nieszczęściem.“ (Szujski, t. III, 246).

Jestże to zaś zgodnem, nie mówię, z zakonną cnotą, ale z prostem pojęciem pogańskiej nawet poczciwości, wyteżać starania i zabiegi na to, aby ciężką krzywdą całego społeczeństwa wynieść siebie? Na to potrzeba być potworem — nie zakonem katolickim. A jeżeli zakonna cecha nie daje p. Szujskiemu i jego kolegom żadnej rękąmi uczciwości Jezuitów — tedy proszę o dowody. Niech pokażą choćby fakt jeden, choćby pisemko jedno, list nawet poufny między dwoma członkami, gdzieby ta myśl upośledzenia narodu dla własnego wyniesienia wyrażoną lub przynajmniej dotkniętą była. Nie są w stanie tego uczynić, ale powiadają „*facta loquuntur*.” — Przyznaje, „fakta,” ale którym panowie literaci intencye i tłumaczenie z góry już podłożyli. Rozsądny jednak nie da się uwieść i pomyśli, że niepodobną jest rzeczą, aby w trzytysiącnym zgromadzeniu, żyjącem w lonie swoim zgubne dla narodu zamiary, i nienawistnie dlań usposobionem — te zamiary niepocziwe i to wrogie usposobienie tak się ukryć potrafiło, iżby nie tylko współcześni o tem nic nie wiedzieli, ale nawet o wiek cały późniejsza historia, która tyle najsekretniejszych tajników wyjawiała — nie dotąd w tej mierze wykryć nie zdołała. Fakta, do których się literaci odwołują, te zupełnie innych czynników są owocem, jak niepocziwej dumi Jezuitów, i zbyt jednostronnie sądzi ten, kto potępia edukacyę Jezuicką i ówczesną literaturę, nie chcąc oglądnać się i rozpatrzyć w politycznym i społecznym świecie.¹⁾

Nadmienić jeszcze muszę jedną okoliczność, która właściwie nie może być uważaną za przyczynę upadku literatury, ale którą koniecznie uwzględnić trzeba, kiedy się wyrokuję o ówczesnej literaturze i winie lub zasłudze literackiej Jezuitów.

Rozprawiając o literaturze polskiej i Jezuitach, przyjmujemy za podstawę rozpraw naszych pewnik, że Polska w chwili wstąpienia Jezuitów na jej ziemię stała na tym samym szczeblu oświaty i nauki i umysłowo rozwiniętą była w równym stopniu, jak zachodnia Europa. Da się to powiedzieć o Rzpltej w ogóle, ale nie o wszystkich jej prowincjach i ziemiach. Polska jako ciało polityczne, Polska jako naród, nie pozostawała nigdy w tyle zachodniej Europy co do cywilizacyi

¹⁾ Na tem ograniczam śledzenie przyczyn upadku literatury. Powszechnie przypisują ten upadek upadkowi różnowierstwa, a ponieważ Jezuici różnowierstwo wyrócili — przeto oni słusznie uważani być mogą za sprawców upadku literatury. Niedorzeczny argument. Różnowierstwo politycznie i społecznie szkodliwiego żywiło. Zasługa zaś różnowierstwa w literaturze jest ta, że wywołali i przez jakiś czas utrzymywali u nas ruch umysłowy — i zasługi tej nie odmawiam mu, jeżeli to jest zasługą skazać w literaturze wiarę. Ale odmawiam mu wyłączności w tej zasłudze i takiej przewagi, że dla jego upadku i dla tego tylko upadła literatura. Katolicy rozwinięli nierównie więcej umysłowego życia jak różnowiercy, a przesilenie tych jak tamtych spowodowało chwilową bezczynność, jakby spoczynek po wysileniach. Całą więc doniosłość różnowierstwa względnie do literatury zamknąłem i oznaczyłem w owym ustępie, który poświęcony pierwszej przyczynie upadku literatury.

nauki, ale w tem ciele politycznem, w tym narodzie były cząstki nie małe, jakby odcięte od pnia cywilizacji i pogrążone w pierwotnej surowości i dzikości życia, tak jak dzisiaj jeszcze w wykształconej Francji napotkać można całe gminy i powiaty nieobeznane z najpierwszemi warunkami cywilizacji. Jedną z najobszerniejszych prowincyj polskich była Litwa, i ta właśnie Litwa stała się najobszerniejszem polem prac i poświęcenia Jezuitów,— edukacya Litwy w ich wyłącznie prawie rękach spoczywała.

Wstąpiwszy na tę ziemię, w jakimże stanie intelektualnego wykształcenia znaleźli ją? Litwa, będąc krajem szymmatyckim, musiała pójść koleją wszystkich szymmatyckich społeczeństw: obok zewnętrznej czci dla religii, posuniętej aż do fanatyzmu, panowało nieuctwo i gruba niewiedza. Inaczej być nie mogło. Duchowieństwo, które w każdym świeżo nawróconym narodzie jest ogniskiem oświaty i nauki, cóż mogło przynieść Litwinom, będąc samo nieumiejętne i ciemne. — O duchownych litewskich pisze Skarga: „Innej szkoły, chyba na czytanie nie mają. I to ich wszystkiej nauki na wszystkie duchowne stany doskonalsztwo. Ztąd nieumiejętność i błędy bez końca powstają, gdy ślepi ślepe wodzą¹⁾. Nikt dotąd nie podjął się pracy, któraby wyświeciła stan Litwy pod względem europejskiego wykształcenia w tym właśnie czasie, kiedy Jezuiti swój nauczycielski zawód rozpoczęli. Z pewnych jednak danych godzi się wniesć loicznie, że oświata Litwy w XVI wieku na bardzo niskim stała stopniu. I tak aż do Batorego czasów nie posiadała Litwa szkół żadnych, prócz szkoły świętojańskiej w Wilnie, której przewodził głośny w swym czasie Piotr Ruisusz. — Kilka uczelnie różnowierzczych nie może być uważanych za źródło oświaty, gdyż nie odznaczały się niczem, chyba zjadliwością religijną i nie ludzi uczonych, ale klótlivych heretyków kształcić miały. Pierwszą szkołą godną tego nazwiska była szkoła Wileńska otworzona r. 1570 przez bisk. Protaszewicza i oddana Jezuitom, a przez Batorego do stopnia akademii wyniesiona. Kolejno otwierali Jezuiti szkoły przy każdym nowo utworzonym kolegium, w Połocku (1583), Grodnie (1584), Krońach (1616), w Wornie, Nowogródki (1629) i t. d. nawet przy rezydencjach znajdowały się dwie lub trzy klasy dla początkujących. Wstąpiwszy więc na ziemię litewską, należało im dopiero wszystko stworzyć, i rozpoczynając literalnie „*a primis rudimentis*“ pisać książki podręczne, wznosić gmachy szkolne, a co najprzykrzejsza, łamać się z wstrętem i niechęcią rodziców i tępym, bo zaraz z dzieciństwa zaniedbanym umysłem uczniów. Czy panowie Literaci zwrócili kiedy uwagę na tę okoliczność, wyrokując o Jezuitach?

Dalej godzi się zapytać, jakich uczonych i światłych mężów wydała Litwa przed wstąpieniem Jezuitów? Podczas kiedy Korona zdobyła się wiankiem doborowych pisarzy: Skargą, Kochanowskim, Rejem, Górnickim, Modrzewskim:— Litwa nie zdołała im postawić jak tylko jednego Smotryckiego, a i ten kształcił się za granicą. Czegoż to dowodzi? Oto że przed przyjściem Jezuitów Litwa naukowo bardzo nisko

¹⁾ O jedności Kościoła Bożego. Część III.

stać musiała, że więc Jezuita nie przyszedł do gotowego, ale tylko materiału surowy znaleźli, który dopiero długą pracą obrabiać było potrzeba. Panowie literaci tego nie uwzględniają; przesadzają, że na Litwie takie same istniały stosunki naukowe, jak w Koronie — a one były nieskończenie różne i Jezuita wszystkich sił dobyć musieli na rozpowszechnienie pierwszych początków oświaty, na zaszczerpienie zamilowania w naukach, podczas gdy tych sił w pomysłniejszych okolicznościach na wyższe umiejętności i utworzenie pięknej literatury użyćby byli mogli. Trudno zaprawdę rozplywać się w poezji, lub unosić nad wzniosłością nauk, kiedy całe pokolenia nie umieją czytać i pisać, kiedy obznajomić je trzeba z pierwszymi prawdami wiary, a nawet dwoić się w pracy, aby grube, na pół dzikie obyczaje ułagodzić i zbliżyć do chrześcijańskiej cywilizacji. Tak właśnie było na Litwie i nie myślę się, gdy twierdę, że pod koniec XVI wieku, prócz kilku zamożniejszych rodzin, którym wyższe wykształcenie nie było obce, cała Litwa w swojej cywilizacji więcej była azjatycką niż europejską. Długie sąsiedztwo z barbarzyńską Moskwą, brak inicjatywy od prawosławnego kościoła i nieuctwo duchownych utwierdzają mnie w tem przekonaniu. Że więc ta, pod koniec XVI wieku nieczytająca i niepisząca Litwa, stanęła w 30 lat później na równi z oświeconą Koroną że wydała Kojałowiczów, Syrwidów, — że w obyczajach i w domowym pożyciu stała się łagodną i uprzejmą, jest to zasługą jedynie i wyłącznie Jezuitów. — Litwa jest jednym z owych krajów, którą, jak Paragway, oddała Opatrzność troskliwości Jezuitów, aby je uszczęśliwić pociechami żywej gorącej wiary i korzyścią prawdziwej cywilizacji!). Kiedy przestaną u nas uczyć się dziejów z pseudohistorji,

1) Prawdę tę znać musiał najniechętniejszy Jezuitom Krzyżanowski. „Gdyby nie Jezuita, możeby Litwa jeszcze przez trzecie sto lat od przyjęcia wiary chrześcijańskiej czekała na ów obrok, bez którego nie żyje, ale wegetuje ród ludzki... Litwa, która dopiero z Jezuitami ujrzała na swojej ziemi zakłady owego obroku, zwanego oświeceniem, największą nastęrczała sposobność zajaśnienia cnotami tym z Jezuitów, którzy jako ludzie i chrześcijanie byli zdolni zniewolić dla siebie cześć u potomności.“ I wylicza onych Jezuitów, ale jako ludzi i chrześcijan, bo jako Jezuita rozumie się, że łotrzy byli jak inni (*risum teneatis amici?*), Łęczyckiego, Stefanowskiego, Jachnowicza, Rudominę, Kojałowicza, Syrvida, Boyera, Tolgsdorfa. (Dawna Polska 124—126). Trudno też pojąć, jak z Jezuitami mógł zawitać do Litwy „obrok“ (sic) oświecenia — kiedy Jezuita byli przytem obskurantami. I nie wstyd panom literatom takie bradnie pisać. Godny całej ramoty jest epilog ustępu o Jezuitach litewskich: „Opowiedziawszy i uczciwszy cnoty i zasługi Jezuitów litewskich jako ludzi dopiero po imieniu i nazwisku wspomnianych... przypatrzmy się... mówi, temu wielkiemu przedziałowi jaki zachodzi między Jezuitą, który nie przestał — a Jezuitą, który przestał być człowiekiem“. (Dawna Polska str. 127). Otóż w mniemaniu p. Krzyżanowskiego (a taka sekcyja jest dosyć upowszechnioną) Jezuitów należy dzielić na Jezuitów ludzi i nieludzi — ja w panu Krzyżanowskim zdołałem dopatrzeć tylko człowieka, ale z długimi uszami i odpowiednim uporem.

a u badaczy miejsce uprzedzenia zajmie szczerą miłość prawdy, nie wątpię, że Jezuitom rzetelna zasługa w tej mierze przyznana zostanie.

Cóż dopiero mówić o ludzie wiejskim rozsiadłym na szerokich obszarach pośród lasów i bagien na Żmudzi, Lotwie, Litwie, czarnej i białej Rusi, a lud ten był zawsze szczególniejszym przedmiotem troskliwości i starania Jezuitów. O ludzie ruskim mamy świadectwo Heidensteina że „nieświadomość jego o rzeczach boskich i bezbożność (nazwałbym raczej zepsucie barbarzyńskie) taka była, iż gdy do uprawy roli ludzi niedostawało, gospodarze przybierali sobie żon kilka, a gdy splodzeni z nich synowie podrośli, im takowe oddawali.“¹⁾ Cóż sądzić o moralnem ukształceniu i w ogóle o zmyśle jakowejś cywilizacji tego ludu?

Dzikość i ciemnota była tak zastraszającą, tak powszechną, że Radziwiłł Sierotka dla tej jedynie przyczyny prosił u prowincyała litewskiego i generała zakonu o kilkunastu Jezuitów do swego Nieświeża, jak świadczy Rostoski.

Na Żmudzi i w Inflantach jeszcze 1583 r. lud zoztał w pogaństwie. „Oplakany. pisze Rostoski, był wtenczas stan dyecezyi (żmudzkiej), gdzie po wsiach nie wielu znalazłbyś, którzyby choć imię chrześcianina znali. Stare u nich zabobony: ów Jowisz piorunujący zwykle Perkunas zwany, dęby odwieczne Szermuksis a gdzieindziej Akmo skała wielka, te starodawne narodowe bóstwa jakoteż i wiele innych różnego rodzaju, odbierają cześć od wieśniaków.“ Napotkasz tam cały kult pogański aż do libacyi za umarłych, a „Rusini, którzy tu pomieszani z tubylcami mieszkają, do grobów jedzenie podobnie przynoszą.“ Niżej nieco powiada historyk, że „podobne widowisko przedstawiały Inflanty i Lotwa, zarażone zabobonami i występkami pogan.“ Że historyk jezuicki nie przesadza, świadczy list Gedroja biskupa Żmudzkiego do generała Klaudiusza, umieszczony w monumentach Theinera w tomie III. Owszem, jeszcze na początku XVII wieku (rok 1617 1618) Jezuitci kolegium w Krozach przeszukiwując wszystkie kryjówki „świętej Żmudzi“, napotkali po wielu miejscach „Fimores“ i niegodne człowieka religijne obrzędy, a wszędzie dzikość wieśniaczego ludu. Powycinali dęby poświęcone Perkunowi, owemu Jowiszowi litewskiemu, i świętym drzewom wielką zadali klęskę. Kolo Dynaburga w Inflantach, sześć pogańskich oltarzów wywrócili.“²⁾

Dla ratowania tego ludu z stanu poniżenia i ciemnoty urządzali Jezuitci domy misyjne, których pięć, sześć a nawet i więcej stało pod bezpośredniem zwierzchnictwem rektora najbliższego kolegium. Misjonarze mieli przedewszystkiem zadanie oświecić ów biedny lud w rzeczach wiary, ułagodzić jego obyczaje i polepszyć byt materyalny.

Na Żmudzi, gdzie, jak powiada Rostoski, żył „ludek prostoduszny, nauczenia się rzeczy boskich sam z siebie nad miarę chciwy“ prace ich prędko przynosiły owoc. — Trudniej nierównie szło na Rusi, mia-

¹⁾ *Rer. Poloniae ab excessa Sig. Augusti. Lib. XII. pag. 137.*

²⁾ Rostowski p. 270—271.

nowicie w błotnistem Polesiu, gdzie jeszcze długo przechowywały się tradycje pogaństwa.

Taki stan rzeczy jakie pociągnął za sobą konieczne rezultaty? Oto, że siły zakonu, rozrzucone po onych domkach misyjnych i rezydencyach, drobniały; nie mogły więc być obrócone na poważne studia i stworzenie pięknej literatury, gdyż u Jezuitów wiara i dusz zbawienie prym trzyma nad nauką i literaturą. Sami nawet członkowie zakonu nie mogli się wykształcić tak jak może pragnęli, raz, że do podobnych misyj i szkół niższych nie wielkiej potrzeba było nauki, a powtóre, że przy tym nawale pracy a szczuplej stosunkowo liczbie robotników, pojedyncze osoby do coraz nowych odrywane zatrudnień, nie miały czasu do pracowania nad własnem wykształceniem. — Panowie literaci sądząc Jezuitów, czy kiedy o tem pomyśleli? A jednak te uwagi konieczne na względzie mieć potrzeba, jeżeli zasługi lub winy Jezuitów w rzetelnem mają stanąć świetle. Gdzie całe społeczeństwo nie umie czytać ni pisać, gdzie lud jest ciemny i na pół dziki, tam trudno było Jezuitom sadzić się na wysokie nauki, zdobywać na rymy natchnione. Najspodobniejsza pora, rozumiem tu czasy Zygmunta III i Władysława IV, upłynęła na tej pierwszej uprawie, a nie zapomnieć przy tem prośże, że równocześnie ucierali się Jezuici z niedobitkami różnowierstwa. Skoro już pierwsze lody przelamane zostały, a po upadku różnowierstwa siły na jego rozgromienie wymierzone, obrócone być mogły na pielegnowanie nauk i literatury. nastąpiły niespokojne, burzliwe lata rządów Jana Kazimierza i coraz niepomyślniejsze dla Rzplty wypadki, które rozwój nauk utrudniały.

Z drugiej strony, jeżeli się zastanowimy, ale bez uprzedzenia, jak wiele ci Jezuici zrobili dla ludu wiejskiego, gdyby niezem innem, tylko, że go oświecili w wierze,¹⁾ jak podnieśli duchowienstwo łacińskie i greckie, które w ich szkołach i seminaryach kształciło się, jak ogół szlachty, jeszcze w końcu XVI wieku niepiśmienny i nie czytający, postawili na szczeblu europejskiego wykształcenia, ile przy tem dzieł różnej treści, nieraz wysokiej naukowej wartości, napisali: tobyśmy nie potępiali ich o płytkość w naukach, obskurantyzm i zabójstwo myśli, ale uznalibyśmy ich poświęcenie, wytrwałość i zasługę.²⁾

¹⁾ Im człowiek mniej posiada wykształcenia, tem potrzebniejsza dla niego wiara — proszę dobrze uważać — nie kult zewnętrzny, ale wiara dobrze zrozumiana i pojęta we wszystkich swoich prawdach i do życia codziennego zastosowana. Dla czego? bo istota prawdziwej cywilizacji zamkniętą jest w prawdach i moralnych zasadach wiary chrześcijańskiej — zład przed Chrystusem prawdziwej cywilizacji nie było.

²⁾ Tutaj miejsce dać krótką odprawę Jaroszewiczowi, autorowi „Obrazu Litwy“ (t. 3 w Wilnie r. 1845). Profesor ten wileński przez wdzięczność podobno, że uczył z tej katedry, na której dwa z górą wieki Jezuici wykładali, poświęcił prawie cały trzeci tom swego „Obrazu“ ośławieniu tych Ojców. Rozdział III tego tomu nosi tytuł „Jezuici“. Naczytać się tam możesz wszystkich głupstw i niedorzecznych zdań krążących o Jezuitach; że celem tego zakonu „nie innego nie było tylko panowanie nad opinią publiczną“ (str. 43) — że „to

Tyle miałem do powiedzenia o przyczynach upadku literatury. W ten sposób tłumaczy się jasno i bez nakręcania faktów i bez obawy zarzutu powierzchowności to, co „literaci z rzemiosła“ świadomi dobrze, do czego mierzą, podpisali, a co za nimi panowie prelegenci i panny prelegentki bezmyślnie powtarzają. Czasby już był, abyśmy się pozbyli tego tandetnego, a z prawdą historyczną i godnością narodową

nie był zakon od świata oddzielony ale zgromadzenie pół mnisze pół świeckie (str. 44), że generał był „nieograniczonym władzcą“ (str. 45), że „oprócz Jezuitów jawnych, byli jeszcze tak zwani afiliowani i indifferentes“ (str. 47), że „przysięgą byli obowiązani jeden o drugim donosić starszemu“ (str. 48), że „konfesyonały były dla nich dzielnym środkiem w utrzymaniu na wodzy umysłów i nadaniu im pożądanego kierunku“ (str. 49) itd. itd. Już w I rozdziale wykazałem, ile prawdy i rozumu w tych zarzutach; Jaroszewicz idzie dalej. Powołując się na powagę protestanckiego pastora, Wojciecha z Kalisza (str. 54) i na pismo jakiegoś anonima, który twierdzi, że Skarga radził królowi machiawelizm (str. 64) i na ten fakt, że rokosz Zebrzydowskiego domagał się wygnania zakonu (str. 65); dalej cytując „*monita privata*“ ex-jezuita Zahorowskiego (str. 66) i pamflety różnowierczych pisarzy (str. 69), dowodzi: że w Polsce poznano się na Jezuitach jeszcze w XVI wieku i chciano się ich pozbyć, ale Jezuiti intrygą i podstępem potrafili ustalić i zapewnić powagę swoją, a Batory w nadziei „pozyskania względów w Rzymie... stał się narzędziem obcych widoków“ (str. 89) i protegował „tych zapamiętałych burzycieli spokojności, których niebo tylko w gniewie swoim za lekceważenie wiary przodków na Polskę i Litwę nasałać musiało“ (str. 78).

Otóż uważając Jezuitów za plagę bożą na Litwę, przypisuje im wszystko złe, upadek nauk i szkół pijarskich i różnowierczych, zajazdy i zrywanie sejmów, nawet wojny domowe Sapiechów z Ogińskimi i schyzmatyczne bunty, (str. 118) „tak dalece, że Litwa niemal zupełnie zdziczała, nie będąc nawet w stanie pomyśleć o polepszeniu gorzkiej doliny swojej“ (str. 77, 86, 101, 110, 114, 118). Jezuiti według tego pobożnego profesora szukali wszędzie coraz to nowych sposobów zbogacenia się. Wyłudziali podstępnie fundacje, alienowali dobra i kapitały innym korporacyom czynione, fałszowali nawet dokumenta, słowem, wszystko im było dobre, byle się zbogacić. Ja sądzę, że pan profesor wileński albo musiał być bardzo chciwym grosza, albo bardzo ubogim, bo z takim rozmiłowaniem rozpisuje się o zbogacaniu się i bogactwie Jezuitów. Na dowód prawdziwości swych twierdzeń przydał autor aż 164 przypisków o samych Jezuitach. Nie wiem, czy przez nieostrożność popisał tam autor rzeczy, które prawdziwą chlubę przynoszą tym Ojcom — ale główne dowody opierają się na cytatach anonimów, tj. paszkwilantów, lub akatolickich, Jezuitom wrogich pisarzy. To też bardzo niefortunnie wygląda cały ten „obraz cywilizacji Litwy“ i mimo pozorów uczoności i gruntowności, książka profesora wileńskiego przeszła niepostrzeżenie bez rozgłosu i repliki, i nie znalazłem, aby się kto na nią jako na powagę powoływał. Jest i w zarzutach pewna granica, którą kto przekracza, mimo cytaty i liczb, kart i paragrafów, traci wiarę. Nie zwracałem też w ciągu tej pracy uwagi czytelnika na p. Jaroszewicza zdania i inwektywy, uważałem jednak za rzecz stosowną zdać choćby krótką relację o książce, której 267 stron poświęconych osławieniu zakonu.

sprzecznego sposobu przedstawiania dziejów literatury, a wrócili do cichych sumiennych badań.

Ale jeszcze pozostaje mi odpowiedzieć na jeden ciężki zarzut — na zarzut florydacyzmu i makaronizmów — bo jedno i drugie wprowadzić do Polski i rozwinąć mieli Jezuici. Już nie wiem, po który to raz zaznaczyć mi wypada płytkość i bezsumiennność badań panów literatów, a lekkomyślność i łatwowierność czytających i wierzących tym (*sit venia verbo*) badaniom. Jeden np. z tych panów twierdzi śmiało, powtarzając zapewne za kim innym, że słowo „makaronizm“ bierze swój wywód etymologiczny od Jezuitę Włocha Makaro, który pierwszy w Polsce miał zaprowadzić przeplatanie polskiej mowy łaciną¹⁾. Mogę upewnić p. Rycharskiego, że ani w Polsce, ani we Włoszech Jezuitę Makara nie było.

Zupełnie nieprawdopodobnem jest to zdanie czy przekonanie, że Jezuici wprowadzili do polskiej mowy florydacyzm i makaronizmy. Jeżeliby obie te wady brały swój początek od Jezuitów, to dla czegożby nie wystąpiły zaraz w pierwszych naukowych pracach, w pierwszych mowach i kazaniach tych Ojców. Słuszna jest uwaga autora żywota ks. Sierakowskiego: „Wszakże Jezuici przybyli do nas już w XVI w. za panowania Zygmunta Augusta, gdyby to więc był wymysł im właściwy, nie wiedzieć dla czegożby ukrywali go tak długo pod korcem i dopiero wtenczas z nim wystąpili, kiedy smak już był powszechnie skażonym?“²⁾.

Źródła i przyczyny obóich tych wad są zupełnie inne — a zostają w najściślejszym związku z przyczynami upadku literatury. Florydacyzm i makaronizmy były wadą wspólną wszystkim literaturom XVII wieku. Bezsilny wiekowym wytężeniem na polu naukowym i religijnem, skolatany tyłoma nieszczęściami umysł narodów, nie mógł się już zdobyć na nowe plody, pełne świeżości i życia, treści i jędrności — a naturalnym koniecznym skutkiem tego ubytku duchowego była napuszystość stylu, mająca zastąpić brak rzeczywistej myśli i smak zepsuty znajdujący upodobanie w jaskrawej mozaice sentencyj, figur i wyrażen. Tak było wszędzie, we Włoszech zarówno jak we Francyi, Niemczech jak i u nas w Polsce — z tą tylko różnicą, że przy ówczesnym rozkładzie politycznym Rzpltej, wady te dłużej się przechowały. Jezuici, jak wszędzie tak i w Polsce, ulegli powszechnemu skażeniu, bo byli dziećmi swego wieku. Wina więc, jeżeli koniecznie winnymi ich ogłosić chcemy, wina ich w tem, że nie wnieśli się po nad wiek swój. — Kto z nas od niej wolny niech ich potępia, ale zupełnie mylnem jest twierdzenie, że oni pierwsi, że oni najwięcej pracowali nad skażeniem wymowy polskiej³⁾.

¹⁾ Rys dziejów piśmiennictwa przez J. Rycharskiego.

²⁾ Żywot Wacława Hieronima Sierakowskiego, przez Maurycego hr. Dzieduszyckiego, str. 23.

³⁾ A jednak nie znam dzieła i autora, któryby temu mylnemu zdaniu nie holdował. Co tu uderza, to ta lekkomyślność, z jaką podobne zdania wypowiedziano i za prawdziwe przyjęto. Z wszystkich literatów, jedyny Barto-

Przyjąwszy za zasadę, co koniecznie przyjąć należy, że polityczne życie narodu w parze idzie z życiem jego literackim: naturalnym wynikiem nieładu i niesforności politycznej i rozstroju, jaki panował w życiu społecznym, musiały być także same wady w literaturze, a objawem tych wad florydycyzm i makaronizmy. Trafnie powiada Zawadzki w swojej „*Historia arcana*“ (str. 53), że „ze zwicnięciem zasad i rozkładem Rzpltej weszło w zdrożny obyczaj nawet najdrobniejsze sprawy w nieskończonych rozprawach wywodach, przytaczaniem wielu rzeczy nie wiążących się z sobą, niesforną czynić wrzawę, więcej mówić niż myśleć itd.“ Wszystko to prawda — tak być musiało, bo niesforne, wrzaskliwe, niepolityczne życie narodu, w literaturze, by w zwierciadle, odbić się musiało. Ale czy Jezuici „zwicnęli“ zasady społeczne? Czy oni wprowadzili niekarność i niesforność, rozstroili i zawichrzyli Rpltę?... Zdaje mi się, że po tem, co już (w rozdz. III) powiedziałem, każdy odpowie że „nie“. A więc jakżeż za skutki tego złego, których oni nie wywołali, czynimy ich odpowiedzialnymi?

Drugą przyczyną tych wad literackich jest w mem przekonaniu przekwit studyów klasycznych, który już na lat kilkadziesiąt pierwszej podobne grzechy literackie gdzieindziej wywołał.

Już za czasów Zygmuntowskich był u nas Polaków zwyczaj używania w toku mowy słów i sentencyj łacińskich. Dostyc przeczytać ogłoszone dzisiaj w dziele p. Przeddzieckiego „*Jagiellonki polskie*“ korespondencye między rodziną Jagiellonów: kto żąda więcej, niech wglądnie w materiały historyczne, wydane u Mosbacha. Zwyczaj ten wziął początek ze studyum klasyków, które dzisiaj zaniedbane, wtenczas z wielką starannością było pielęgnowane. Ze od roku 1640 dopuszczano się nadto często podobnych wplatań łaciny, że nie tylko

szewicz a później Mecherzyński zadali sobie nieco pracy, aby wyjaśnić początek tych dwu wad — i to tylko pobieżnie jakby od niechcienia, zwalając główną winę na szkoły, „mianowicie jezuickie“.

P. Mecherzyński w swej „*historii wymowy w Polsce*“ tomie III, rozdz. II powiada, że „z nadużycia scholastycznej metody (do której Jezuici wracać poczeli) i połączonych naśladowczo przywar złego smaku, który od dawna we Włoszech, Francji i Niemczech panował, powstało kaznodziejstwo XVII wieku“ „że wiek XVII był okresem upadku literatury włoskiej“, „że nie był pomyślniejszym stan kaznodziejstwa w Francji“, „że duchowni przybywający z zagranicy wnosili do kraju i zaszczipiali w kaznodziejstwie te przywary: nieporządek w układzie rzeczy, chępliwość w popisywaniu się umiejętnością świecką i nadużycie dowcipu, które wprowadzało śmieszność na mównicę kościelną.“

To w kaznodziejstwie. Te same wady w wymowie cywilnej przypisuje Mecherzyński „*fałszywej metodzie szkolnej*“ (t. III, str. 19), która zaszczipiała już wcześniej w młodzieży retorycznego ducha i nadawała mowcom kierunek fałszywy, pedancki... pod którego wpływem dziczały lub zamierały przyrodzone zdolności“ (III, str. 21). Podziękować panu Mecherzyńskiemu, że choć Jezuici nie oszczędza, to przecież nie na nich samych wyłącznie składa całe brzemie winy. Ale ja na tej podzięce poprzestać nie mogę i spróbuję pierwszy może na tej drodze, wskazać na inne przyczyny tej podwójnej wady.

w cywilnych mowach ale i w kaznodziejstwie sadzono się na erudycją klasyczną i uczone napomknienia z mytów i historii pogańskiej — to przypisać należy równie studjom klasycznym, ale już przekwitłym, wyradzającym się w jakąś chorobliwą manią i chęć uchodzenia za uczonego.

Na świecie wszystko co ludzkie, przeżyje się w końcu i dobiegłszy pewnej wysokości udoskonalenia, spada powoli do pierwotnej niezgrabności i niedoskonołości, maleje i karłowacieje. Tak było z owym świetnem, pełnem chrześcijańskiego namaszczenia rycerstwem, które w końcu wystrzeliło w donkiszoteryą: tak było z owym precudnym budownictwem stylem bizantyńskim, który z biegiem wieków wyrodził się w dziwaczną strukturę greckich cerkwi, rozrzuconych dzisiaj po szerokiej ziemiach Rusi: tak było z filozofią św. Tomasza, która w XV wieku o niejedną niedorzeczną kwestyę potraciła, aż jej inny realny kierunek nadali Jezuici w XVI i XVII wieku. A sięgając nieco dalej w dzieje państw i ludów, przekonamy się, że nie było żadnej formy politycznej, żadnej szkody filozoficznej, żadnego systemu wojennego, któryby się nie przeżył i nie zużył. Zużyła się u Rzymian dyktatura i trybunów władza, zużyły się surowe doktryny stoików, zużyły się nawet niezwyciężone legie rzymskie. Taki jest los wszystkiego co ludzkie, że po najświetniejszym rozwoju i blasku następuje upadek i powolny rozkład. Tak więc stać się musiało i ze studjami klasycznymi, które w połowie XV wieku zakwitnęły we Włoszech, cały wiek XVI kwitnęły na zachodzie Europy i u nas w Polsce, a z wiekiem XVII stały się przesadą, i wydały zły owoc: makaronizmy i niewłaściwość stylu.

Nadto, któż nie wie, że u nas statut koronny pisany po łacinie a konstytucye po polsku wprowadzie, ale pelno tam wyrazów i zwrotów łacińskich. Mówię tu tylko o konstytucyach napisanych przed 1640 rokiem. Owóz w mowach sejmowych i sejmikowych, ilekroć mówca odwoływał się do prawa, cytować musiał łaciński statut lub polsko-łacińską konstytucyą, a w braku terminologii polskiej prawnej, dopomagać sobie łaciną. Podobnie rzecz się miała w sądownictwie: owszem tam posługiwanie się łaciną stało się koniecznością, gdyż dawne procedury sądowe, uważane za normę i regułę sądów, wyłącznie w łacińskim odbywały się języku. Tak więc wzwyczajono się powoli do używania łacińskich słów i sentencyj, najprzód w mowach publicznych a potem i w potocznej rozmowie.

Równie wiadomą jest rzeczą, że starzy Polacy, pokresowani w bojach i na sejmikach, lub sterani służbą pańską, zasiadali spokojnie na zagrodzie synów lub wnuków, i dla odpędzenia nudów starości oddawali się czytaniu autorów łacińskich, gdyż polskich, prócz Kochanowskiego, nie znano. Nie jest to dowolne przypuszczenie. Z mów i oracyj przechowanych w pamiętnikach i historycznych zabytkach koniecznie wnieść wypada, że ludzie ci czytali i znali nie tylko koryfeuszów literatury łacińskiej ale i pisarzów późniejszej ery, Senekę, Lukana itp. Cóż zaś naturalniejszego, jak że ludzie ci w codziennej mowie występowali z tem, co im było mile i wdzięczne i cytowali

sentencye, wiersze i ustępy całe z autorów, których się przy kominku cichej komnaty lub pod cieniem lipy naczytali. Owszem, miało to w ich ustach coś uroczego i nadzwyczaj przyjemnego. Tego milego wrażenia doznajemy zawsze, ilekroć w starych pamiętnikarzach rozczytamy się. Zresztą nie dawne to lata, kiedy francuzczyzna na salonach i w dworkach poplacała. Pamiętamy jeszcze, jak co trzecie niemal słowo polskie wplataną kilka francuzkich, a nieraz zdanie całe. Otóż na miejsce francuzczyzny położmy łacinę a poznamy łatwiej, jak prostą, naturalną było rzeczą, że naród szlachecki, posiadający doskonale język łaciński, lubiał go używać nawet rozmawiając po polsku, i nie mając potrzeby ratowania się językiem obcym.

Nie mało się też przyczyniły do rozszerzenia tych wad, mianowicie w wymowie kościelnej, dzieła i mowy różnowierców. Między innymi rodzajami broni użytej na katolików był i ten, zaimponowania erudycją i uczonością swym przeciwnikom. Literaci nasi po wielkiej części na protestanckich książkach i szkołach wyuczeni, uwielbiają wszystko co akatolickie a przytaczając z upodobaniem tytuły dzieł — bo samych dzieł nie mają w zwyczaju przeczytać — florydaków katolickich i Jezuitów, ani słowem nie wspomną, jak też to wyglądała w tej epoce literatura protestancka akatolicka. Wszakże jeszcze za Władysława IV czasów, w epoce dysput i *colloquii charitativi*, i długo jeszcze potem różnowiercy szermierzyli i piórem i słowem, dla czegoż ci panowie krytycy, tak ostrzy i surowi dla Jezuitów, nie raczyli wydać sądu, przytoczyć choćby tytułów, kiedy im leniwo zaglądnąć głębiej, tych dzieł, pism i pismidel, które w tej epoce wydali różnowiercy?

Pojmując taktykę tych panów. Przyjacieli swoich w duchu i dążności należy oszczędzać, a podnosząc wady i ujemne strony ówczesnej literatury, zwalić całą winę na ich i swoich przeciwników — na Jezuitów. Jest to jeden dowód więcej owej bezstronności i sumienności, z jaką dotąd badano i sądzono ludzi i dzieje. Tymczasem niezawodną jest rzeczą, że właśnie różnowiercy, pobici na wszystkich punktach, skoro z teologiczną bronią wystąpili, zmuszeni brak gruntownych z pisma św. wywodów zastąpić pozorem uczoności i wytwornością stylu, chwycili się tego ostatniego środka ratunku i wprowadzili do wymowy polskiej popisywanie się z sentencyami uczonych i mędrków pogańskich, nadziewanie całych okresów przenośniami i figurami retorycznymi, napuszystość i kwiecistość, grę słów i frazesów, słowem to, co zwykliśmy nazywać florydacyzmem.

Przecież dzisiaj jeszcze ich pastorowie prawią napuszycie głosem deklamatorskim, pompacyjnym i osobne w swoich seminaryach odbierają na to nauki i ćwiczenia. Rzecz jasna, że katolicy odpierać musieli napaść tą samą bronią, jaką ich zwalczano i silili się także na dowcip i erudycją. Stępila się już broń z teologicznych arsenałów czerpana, na polu teologicznych rozpraw katolicy wyszli zwycięzko — należało różnowiercom opatrzeć sobie broń inną i sprowadzić walkę na inne pole. Jezuici nie byli w tej walce ostatnimi; że jednak nie byli wielbicielemi tego rodzaju wymowy, że używali go tylko jako broni potrzebnej do odparcia ataku, dowodzi najlepiej list generała za-

konu Centurioni, który upomina Jezuitów polskich, aby zaniechali błyskotek i popisów z dowcipu i erudycyi — jako rzeczy niezgodnych z świętością wiary i prostotą ewangelii. U katolików pierwszym, który do wymowy kościelnej łacińskie sentencje i teksta wprowadził, był najznakomitszy po Skardze mowca i kaznodzieja dominikanin Birkowski.

Birkowski, jak powiedziałem, szedł w tem za wymaganiem potrzeb i ducha czasu i nie grzeszył przesadą, ale on, nie kto inny, dał początek zwyczajowi, który się niebawem w brzydką wadę kwieciistości i napszysztosci miał przerodzić. W ślad za Birkowskim postępowali najgłośniejsi kaznodzieje jezuitcy, jak Sarbiewski, nadworny kaznodzieja króla Władysława, Młodzianowski, Lorencowicz, Rydzewski i inni, których imiona w rozdziale III wspomniałem, a których samiz panowie literaci chwalać dla „czystości języka i prostoty stylu.“ Były to wszelako dopiero początki owej epoki, którą literatom naszym flozydacką i panegiryczną, jezuitką przezwąć się spodobalo.

Bentkowski „*pater mendaciorum*“ w naszej literaturze, przypisuje upowszechnienie panegirycznego stylu Jezuitce Wojciechowi Bartochowskiemu, panegirzyście króla Jana III wracającego z pod Wiednia, który „znalazł zaraz zgraję naśladowców“ — a skarży się i narzeka na „foliały szpargalów panegirycznych wyszłe z pióra jezuitckiego na zdarzenia najnikczemniejsze dla osób temu zgromadzeniu przyjaźnych.“¹⁾ Tymczasem śmiało twierdzić ojcem panegiryków był właśnie Sierakowski, że najplodniejszym ojcem panegiryków był właśnie Sierakowski, bo znany takich pism jego przeszło sto pięćdziesiąt, a Bierzanowski urodzony 1628 r. zmarły 1693 r. daleko wyprzedził onego wyszukanego przez Bentkowskiego Jezuitę Wojciecha Bartochowskiego, który urodzony dopiero w 1640 r., wstąpił do zakonu w 1660, a ów panegiryk ułożył dopiero w 1683 r.²⁾

W bibliotece zakładu Ossolińskich naliczyć można kilka tysięcy dzieł flozydackich i panegirycznych — których autorami są przeważnie akademicy krakowscy i zamojscy.

Mem tedy zdaniem, te uwagi konieczne na względzie mieć należy, badając przyczyny skażenia języka i niewłaściwości stylu. Mieliz je przed oczyma pp. literaci, kiedy o Jezuitach wyrokowali, pytając w tonie deklamatorskim: „Któż nam tedy ów złoty język Skargi i Kochanowskiego tak zeszcpecił dziwaczną mieszaniną łaciny? kto odebrał mu ów „metaliczny dźwięk“, po którym poznać było można każdy utwór epoki złotej? Kto pozbawił nas dobrego smaku; zdrowego sądu w piśmiennictwie, że wiek przeszło cały sadziliśmy się na śmiesznej oryginalności i napszysztosci wysłowienia, podobali sobie w wybrednej erudycyi, której brakowało rzetelnej podstawy i po za którą nie ukrywała się żadna myśl głębsza? Któż — jeśli nie Jezuitci.“

¹⁾ Hist. lit. Epoki hist. liter. tom I. str. 171. Tamże t. I. 170.

²⁾ Żywot Wacława Sierakowskiego, str. 24.

Długi ten rozdział zamknę krótką uwagę. Dotąd w pracach i zasługach literackich jak zbyt i przesadnie chwalono Pijara Konarskiego i literaturę stanisławowską, tak zbyt i przesadnie potępiano epokę upadku. Dopiero w ostatnich latach rozpatrując się bliżej w pismach autorów stanisławowskich, przyznano się do przesadnych pochwał, i zdjęto z nich niezasłużone wawrzyny, ale do przesadnej nagany, którą obdarzają epokę upadku, przyznać się jeszcze nie chcą. Raz dla tego, że to właściwiej i odpowiedniej jest zepsutej naturze ludzkiej, odrzeć kogo z dobrej sławy, jak wyrządzone zle naprawić, zwłaszcza kiedy ci, których rehabilitować należy, są zniechęceni Jezuitami — a potem dlatego, że nikt dotąd nie miał wytrwałości dosyć i poświęcenia, aby wglądać głębiej i rozczytać się w tych stosach foliantów i książek, które w owej okrzyczanej epoce spisano. Wisniewski brał się do tego z uprzedzeniem, ani badań swych nie dokńczył, i bardzo niedostatecznie zostawił materiały, które po nim kto inny uporządkował i drukiem ogłosił. Maciejowskiego jakkolwiek stroniczne badania, na tej epoce się zatrzymały. Bentkowski poprzestał na wyliczeniu imion autorów i tytułów niektórych dzieł: epoka więc ta pozostaje dotąd nieopracowaną, a tłum kompilatorów i kompilaterek, do których zaliczyć należy najświeższe „rysy i historie“ piśmiennictwa pana Rycharskiego i panny Wasilewskiej!¹⁾ tłum prelegentów i prelegentek na „cele dobroczynne“ wyrokują, o wszystkim śmiało, decydują jak Pytja z trójnogu, odwołując się od czasu do czasu na powagę tego lub owego literata, który znowu rzecz biorąc pobieżnie i sądząc z samego tytułu, potępił i dzieło i autora i epokę, w której pisano. Nic pociesniejszego, nie zarazem boleśniejszego, jak takie apodyktyczne

¹⁾ Pan Rycharski niezręcznie kompilował, i nie ustrzegł się sprzeczności. Powiedziawszy n. p. na str. 262 za Mecherzyńskim, że „Jezuici sami tylko podtrzymywali tamtoczesne nasze piśmiennictwo, a dzieła ich łacińskie stanowią nawet najznakomitszy szereg utworów uczonych, jakimi się piśmiennictwo nasze poszczycić może“ — zarzuca im w tymże tomie o jedną stronę wyżej (261) to, czego się u literatów z rzemiosła naczytał: „chęć wywyższenia się i pogńębienia współzawodniczących korporacyj, nieuczne intrzygi, podstępne i nieuczemne środki, mieszanie się w politykę i makaronizmy.“

Panna Wasilewska w swojej historii dla dziewcząt jest zabawną, miarowicie, kiedy nam prawi o scholastyce, „że ta nie dozwalała myśleć samemu ani jakąkolwiek naukę badać i rozwijać, lecz wyczuła na pamięć owych sztucznych poszczycić może“ — zarzuca im w tymże tomie o jedną stronę wyżej (261) to, czego się u literatów z rzemiosła naczytał: „chęć wywyższenia się i pogńębienia współzawodniczących korporacyj, nieuczne intrzygi, podstępne i nieuczemne środki, mieszanie się w politykę i makaronizmy.“

Panna Wasilewska w swojej historii dla dziewcząt jest zabawną, miarowicie, kiedy nam prawi o scholastyce, „że ta nie dozwalała myśleć samemu ani jakąkolwiek naukę badać i rozwijać, lecz wyczuła na pamięć owych sztucznych poszczycić może“ — zarzuca im w tymże tomie o jedną stronę wyżej (261) to, czego się u literatów z rzemiosła naczytał: „chęć wywyższenia się i pogńębienia współzawodniczących korporacyj, nieuczne intrzygi, podstępne i nieuczemne środki, mieszanie się w politykę i makaronizmy.“

Cały ustęp o szkołach jezuitkich t. I. str. 177, 178 dosłownie niemal wyjęty z pism literatów z rzemiosła, a ostatni okres na str. 177 przypomina nawet stylem ustęp p. Szujskiego z *Dziejów Polski* t. III. 245. Proszę porównać zacytowane miejsca.

sądy i wyroki ludzi, którym poważny jeden autor radził pióro zamienić na książkę. Pocięzne to, bo przypomina owych dzieciaków, co to przystroiwszy się w papierowy szyszak i drewnianą szablę, wyprawiają się z całą pewnością siebie i swego męztwa na wojenną potrzebę; — bolesne zarazem, bo tych junaków literackich czytają i słuchają — i wierzą im nietylko niedoświadczona pleci obojej młodzież, ale poważne wiekiem i stanowiskiem osoby. Co sądzić o społeczeństwie dotyla łatwowniem a nieumiejętnem i leniwem do pracy naukowej, jak nasze?

Sumienniejsi badacze jak Bartoszewicz i Mecherzyński domniemywają się nie bez słuszności, że po za tą jaskrawą osłoną makaronizmów i kwiecistości ukrywa się nie jedna myśl wzniosła i prawda „wielkiej siły i moralnego znaczenia.“ Podnoszą przedewszystkiem popularność, narodowość i miłość ojczyzny, jaka przebija w mowcach kościelnych, a panegiryki uważają jako nieobojętny materiał do dziejów i monografii. Głos tych uczonych nie trafia do przekonań dzisiejszego pokolenia; być też łatwo może, że i niniejsze uwagi nad okresem osławionej epoki przejdą niepostrzeżone i nieusłuchane, ale należy się prawdzie świadectwo i obrona nawet wtenczas, gdyby była na nic nieprzydatną.

SKUTKI REWOLUCYI WE WŁOSZECH.

I.

Finanse. — Podatki. — Ludność wiejska i miejska. — Przemysł. — Przywóz i wywóz towarów. — Traktaty handlowe. — Wydatki na ministerjum finansów, Spraw wewnętrznych — Cła i urzędy cłowe. — Urzędnicy. — Majątki prywatne. — Hipoteka. — Junta rzymska. — Przyjazd króla do Rzymu. — Administracya. — Ministrowie. — Centralizacya we Francyi a centralizacya we Włoszech. — Biurokracya. — Załatwianie spraw. — Oplata stemplowa. — Skonfiskowane dobra. — Przychody. — Stosunek władz rządowych pomiędzy sobą. — Ravenna. — Florencyja. — Neapol. — Sardynia. — Sycylia.

W dziwnych zaiste żyjemy czasach; świat czy po raz wtóry plutoniczne przechodzi formacye, czy też dobiega wymierzonych mu ręką Opatrzności kresów, dość, że jakąś gorączką trawiony, nieczystem oddycha powietrzem, nie umie już spokojnie i naturalnym postępować naprzód krokiem, ale się miota chorobliwie lub konwulsyjnemi chcąc biedz skokami, gniecie i wywraca, co sam wiekami przedtem wyrobił i wykształcił. Ciekawy będzie sąd przyszłych pokoleń o naszej epoce, o tych szczególniejszych latach ostatnich, które w nieustannym ruchu stwarzając niby i budując nowe gmachy, miny jedynie po sobie zostawiają. Materiału za-

pewne historyi nie braknie, bo wszyscy zarówno jesteŃmy dziećmi naszego wieku i wszyscy nosimy na sobie cechę tego niezwykłego i nienaturalnego stanu. Publiczne i domowe sprawy wynoszą z tego różne znamiona. Zdaje się jakby spokój nie do naszych należał już czasów, tak wszystko bije przyspieszonym pulsem, lub pod działaniem jakiegoś silnego elektrycznego prądu. Życie ciche, wytrwałe, pracowite, stało się dzisiaj prawie anomalią, umysł nie może się zatrzymać dłużej nad jednym przedmiotem, każdy dzień przynosi prawie jakąś nowinę. Myśleć swobodnie nie można, kiedy zmienia się co chwila, jak w panoramie obrazy, postać tego świata. I gdy matryc prawie nie starczy na wszystkie pisma i wydawnictwa, gdy codziennie milionami dzienników, broszur i książek, rozchodzą się po kuli ziemskiej wiadomości, gdyż ruch literacki oddany chwilowej agitacji, zajęty jedynie gwałtownymi ogólnymi przemianami, — to nauki prawdziwe, gruntowne, stanowiące podstawę postępu, jeżeli nie zupełnie odsunięto na bok, to mocno zaniedbane, a o sztukach w naszych czasach wspominać nawet nie warto. Świat nie ma czasu zajmować się teraz wewnętrznym rozwojem, tymbardziej kształcić i wspierać estetyczne poczucia, bo ma daleko wyższe przed sobą zadanie, w proch obrócić co dawne, wtrącić do grobu dzisiejsze społeczeństwo zgniłe i strupieszące, by nowy, nowy zupełnie gmach dopiero postawić, zdrowe i silne stworzyć towarzyskie stosunki. Z Włoch nawet, z tych Włoch ukochanych, dla każdego, co posiada trochę wykształcenia lub podnioslejszego ducha, dla każdego, co się nie pozbył żywszych, szlachetniejszych uczuć, lub gorętszego serca, dzisiaj o sztuce, o jej arcydziełach, jej dawnych znakomitych mistrzach, o starych gmachach, o wiekowych pamiątkach wspominać nie warto; ani cieszyć się wielkimi tej błogosławionej krainy świętymi ani wpływem, jaki wywierali na swe społeczeństwo, na cywilizację, chwałę i wielkość swego narodu prawie niewolno, bo rzeczywistość nadto przygniata, a wypadki polityczne nadto dotkliwe i całą pochłaniające uwagę, by je dzisiaj można było pominąć.

Agencye telegraficzne, korespondencje dzienników rewolucyjnych głoszą wprawdzie o złotej dla Włoch epoce i siódmem niebie, jakiego jej mieszkańcy używają, ale ile w tem prawdy, łatwo się mógł przekonać, kto miał sposobność dłużej zabawić w tym kraju, wzdłuż i wszerz przebiedziesz półwysep, przypatrzysz się tutejszym stosunkom i szczęściu, jakie nowy porządek rzeczy wprowadził do zjednoczonego królestwa. Wprawdzie wedle

przepowiedni sześćdziesiątego roku, gdy wypędzano książąt z dawnych ich dzielnic a ludność skupiano w jedną całość, państwo połączone pod berłem domu Sabaudzkiego miało w krótkim czasie stać się olbrzymem siły, kopalnią bogactwa, mądrości, pokoju i moralności publicznej, przykładem dobrych rządów. Biada, kto wtedy niezupełnie dowierzał, i dla tego właśnie, że Włochy kochał, nie cieszył się z tej przemiany gwałtownej. Po latach dzieśściu nie wiem, gdy ten wspaniały program, dla którego jednak jedność się tworzyła, wypełniony w całości, inaczej przynajmniej sądzi ludność, zupełnie przeciwnie przekonywują fakta. Nowe królestwo, którego dzieje świeże, potrafiło już jednak wyrobić sobie pewien charakter, pewną oznakę, powiedziałbym pewną firmę widoczną dla cudzoziemca, ale widoczniejszą bo dotkliwie boleśną dla swoich mieszkańców. Tą cechą jest nieład i zamieszanie we wszystkich sferach i wszystkich czynnościach, w całym wewnętrznym zarządzie. Dawniej usprawiedliwiano go niewykończonym programem politycznym, absorbującym wszystkie siły rządu, ale dziś, gdy od roku Rzym nawet zagarnięto i stolicę przeniesiono nad Tyber, gdy na zamku Michała Anioła piemoncka powiewa chorągiew, położenie bynajmniej się nie uprościło, nic się w stosunkach wewnętrznych nie zmieniło, przeciwnie nieporządek panuje silniej, trudności się pomnożyły, a na północy i południu od Alp aż do cieśniny Messyńskiej panuje niezadowolenie między ludnością, słychać jedynie narzekania i skargi. Mało do nas dochodzi prawdziwych wiadomości z półwyspu i wiele osób w najlepszej wierze sądzi, że nowe królestwo jest najszcześniejszem państwem w Europie, podróżni nawet, nie znający dawnych stosunków, zachwyceni zresztą włoskiem niebem, pięknnością kraju, jego pamiątkami, jego naturalnem bogactwem, nie zwracają wiele uwagi na stan i usposobienie mieszkańców, nie mają zresztą czasu chociażby trochę bliżej zaznajomić się z położeniem rzeczy wytworzonym przewrotem sześćdziesiątego roku, bo para takich dokonywa cudów, że w czterdzieści ośm godzin przebież można kilkadziesiąt mil jeograficznych i od Wenecyi rzucić okiem aż do Wezuwiusza. Wprawdzie, kraju się nie zna, ale śmiało można powiedzieć, że się widziało całe Włochy, ujrzało nawet z daleka przez cieśninę górzyste wybrzeża Sycylii.

Nie chcemy bynajmniej dotykać wewnętrznych stosunków nowego królestwa, które bardziej jeszcze tolerowane niżeli uznane przez Europę, mimo dziwnie pomyslnych dla siebie okoliczności,

nie zdołało zająć ważnego stanowiska i nie wiele dotąd waży na szali stosunków międzynarodowych. Nie chcemy bynajmniej rozbiierać jego polityki, chociaż wiele dałoby się o niej powiedzieć, bo młode państwo złożyło już dowody, że się potrafi wybornie zastosować do nowego prawa publicznego, wprowadzonego do dyplomacji europejskiej, uderzyć zawsze czołem przed siłą, skorzystać z nieszczęścia innych, nie poczuć żadnego szkrupułu w niedotrzymywaniu uroczyste przyrzeczonych zobowiązań i moralnemi środkami w razie potrzeby otworzyć sobie drogę do zaborów. Chcielibyśmy dać tylko obraz rzeczywistego stanu królestwa włoskiego po dziesięcioletnich rządach jedności centralistycznej, odfotografować niejako dzisiejsze położenie kraju, przedstawić jego stosunki wewnętrzne, opowiadając jedynie fakta u nas mniej może wiadome, ale tu jawne, znane i ogłaszane — zostawiając wydanie sądu samemu czytelnikowi.

Królestwo włoskie od roku 1860 przebyło kilkanaście zmian gabinetowych, prócz częstych bardzo dymisyj pojedynczych członków zarządu, państwo zaledwie co porodzone, zdobyło się w przeciągu lat dziesięciu na 9 ministrów spraw zagranicznych, 8 marynarki, 10 ministrów wojny, 17 spraw wewnętrznych, 14 oświecenia, 16 skarbu, 17 robót publicznych, 15 sprawiedliwości. — Te jedne cyfry byłyby już dostateczne, by się użalić nad krajem, który co kilka miesięcy zmieniał ludzi nim rządzących i nie znalazł ani razu kilku mężów, którymby rok cały mógł być zaufać. Przyzwyczailiśmy się wprawdzie w całej niemal Europie do częstych zmian ministeryalnych, co jeszcze nie przemawia bynajmniej na korzyść naszych czasów, ale taką armią ministrów nie wiem, czyby się mogła poszczycić Rumunia lub Grecya, chociaż nienaturalną wydaje się rzeczą, gdy telegraf z Aten poda czasami inną wiadomość jak o nowej bandzie rozbójników, lub podaniu się do dymisji całego gabinetu. Zwrócić wypada szczególnie uwagę na bardzo wymowną cyfrę 16 ministrów skarbu, bo w tym oddziale administracyi dokonano prawdziwych cudów nierządności, i gdybym nie miał przed sobą rządowych wykazów, nie chciałbym wierzyć liczbom podawanym przez wszystkie dzienniki.

Wiadomo, że Włochy rozdzielone do roku 1860 pod względem materyalnym, bardzo stały pomysłnie; pojedyncze kraiki były bogate, ludność, jakkolwiek nie celująca pracowitością, jaśniała

zamożnością, znać było po miastach i po wioskach zasób i dobrobyt, dostatek, bo na południu życie jest łatwe, wymagania rządowe były bardzo niewielkie, a ziemia z natury bogato zaspakała małe potrzeby mieszkańca. I nic w tem nie było nadzwyczajnego, bo Włochy nigdy biedy użyćby nie powinny, z natury postawione w dziwnie przychylnych dla siebie okolicznościach.

Finanse pojedynczych rządów były więcej niżeli zadawalniające: w Toskanii od lat kilku corocznie umniejszano podatki, bo skarb wielkiego księcia nie potrzebował zasiłków, dwór prowadził życie skromne, a Florencyja służyła ze swej taniości i na każdą zimę przyciągała tysiące rodzin cudzoziemskich; kasa neapolitańska była pełna, a dzięki roztropności i oszczędności Ferdynanda II, Królestwo obojga Sycylii przewodniczyło przez lat kilkanaście Europie w systemie skarbowości państwowej i dziś jeszcze rewolucyjni nawet pisarze stawiają za przykład ministrom włoskim ówczesną administrację dobrami państwa. Wiadomo, że dług państwa kościelnego nie był ani duży, ani trudny do spłacenia, a jeżeli istniał, to jedynie, że Papież nie chcieli obarczać swych poddanych ciężarami, a Piemont nawet dopiero wtedy wezwał do swej pomocy Bank narodowy, niegdyś podtrzymywany od upadku przez Karola Alberta, a dziś wierzyciel całego królestwa, gdy dla swych zamysłów bardziej śmiałych niżeli słusznych, jawnie i pokryjomu ogromne sumy raczył wydawać, spodziewając się, wynagrodzić sobie stokrotnie na przyłączonych prowincjach. Zdaje się, że nie było trudno w tych warunkach utrzymać stan materialny kraju, a przy spodziewanych reformach podnieść go nawet, wydatki dawne opłacić i „raj ziemski“ jak obiecywano, zaprowadzić na półwyspie. Tymczasem nowe królestwo z 14 ministrami skarbu, bez żadnych znanych przynajmniej nadzwyczajnych wydatków (bo tajne czas dopiero kiedyś wykryje), prócz jednej wojny 1866 r. i nie długiej i nie bardzo kosztownej, za którą otrzymało tak bogatą prowincję, jak Wenecya, po siedmiu latach swego istnienia miało już pięć miliardów długu, a dzisiaj doszło do ogromnej sumy blisko dziewięciu miliardów, od których procent wynosi więcej niżeli razem wzięte dochody wszystkich dawnych państw włoskich.¹⁾ Ale nie tylko, że pochłonęło dochody lat dziesięciu

¹⁾ Wedle zebranych wiadomości w Roczniku Duprat i Gioca w r. 1859 stan finansowy całego półwyspu był następujący:

1. Państwo kościelne. Dochodu franków 78.483.392, wydatki 77.506.340, pozostało 977.052 franków.

zmarnowało ogromne dobra duchowne, blisko miliarda wedle obliczeń ministeryalnych wartające, lecz ratując się po razy kilka przed bankructwem, zlikwidowało wszystkie dobra dominialne, stanowiące znaczne bardzo bogactwo, sprzedało wszystkie koleje należące do państwa i zagarnęło nawet prywatne majątki króla neapolitańskiego i wypędzonych księząt. A mimo tych nadzwyczajnych i nawet niesprawiedliwych, bo niszczących majątek narodowy zasiłków, nie było jeszcze roku, któregooby rachunki kończyły się bez deficytu, a za kilka tygodni w nowym parlamencie w nowej stolicy i w pałacu zabranym papieżowi, usłyszą deputowani na Monte Citorio z ust ministra skarbu, że wydatki tegoczesne przewyższają dochody nie mniej nie więcej tylko dwieście trzydzieści pięć milionów, które wypadnie koniecznie zaspokoić. Dzienniki już dzisiaj spodziewają się burzy parlamentarnej, bo p. Sella może jedynie dwa podać projekta: albo nową pożyczkę zaciągną, puszczając w obieg nowe papiery, albo podwyższyć podatki, by tego rodzaju powiększeniem dochodów zamknąć przeszłoroczne rachunki. Sposób to łatwy, ale nie zawsze praktyczny, a nawet możebny. Lat zeszłych zażywiano się jeszcze resztkami bogactwa krajowego, ale dzisiaj rządowi nie pozostaje nic do sprzedania, kościołowi zabrać już nic nie można, bo już nie posiada, państwo ogołociło się zupełnie z zasobów, więc trzeba się zdać na łaskę parlamentu. Izba nie przystanie łatwo na nową pożyczkę, gdyż na całym półwyspie pieniążek srebrny stał się już numizmatem, a papieru w nowym królestwie z przymusowym kursem obiega blisko za miliard franków. Jeszcze w 1868 r. Lord Granville będąc we Włoszech ostrzegął rząd

2. Król. oboj. Sycylii. Dochody franków 128,483.392. wydatki 126,377.010
pozostało 1,695.416 franków.

3. Wiel. ks. Toskanii. Dochody franków 39,866.400. wydatki 39,181,300
pozostało 83.100 franków.

4. Księztwo Parmy. Dochody franków 8,702.225. wydatki 8,585.064
pozostało 117.161 franków.

5. Księztwo Modeny. Dochody franków 10,840.196. wydatki 10,935.272
deficyt 95.076 franków.

6. Królest. Sardynii. Dochody franków 157,574.252, wydatki 159,637.314
deficyt 2,062.062 franków.

7. Król. Lom. Wenec. Dochody franków 86,600.000, wydatki 67,392.000
pozostało 18,208.000 franków.

Razem dochody całego półwyspu wyniosły fr. 509,128.891

wydatki fr. 490,214.300

pozostało fr. 18,914.591.

tutejszy przed nieuchronną ruiną, jeżeli budżet nie będzie ściśle zachowany, a administracya nie zaprowadzi w swych biurach trochę ładu i oszczędności; minister Pisanelli po złożeniu urzędu, cytując słowa angielskiego męża stanu, jako deputowany, zaklinał w Izbie ministeryum i swoich kolegów, by zwrócili główną uwagę na stan finansowy kraju i powiększający się z rokiem każdym deficyt, gdyż niedługo będzie musiało nastąpić bankructwo. Nie wiele pomogły wstawienia i obcych i swoich, kiedy dotychczas stan się nie polepszył, ale przeciwnie położenie z dniem każdym staje się coraz groźniejsze. Nie wiem jakie możnaby nałożyć nowe podatki, kiedy kraj dzisiejszym zadość uczynić nie może; corocznie połowa sesyj parlamentarnych przechodzi na zatargach z tego powodu między ministrami i deputowanymi, a w Izbie tysiące składają się petycji, z różnych stron półwyspu, dopominających się ulgi i miłosierdzia, tysiące skarg mieszkańców uciśniętych różnorodnemi ciężarami. Smutne już musi być położenie kraju, kiedy rząd ucieka się do siły wojskowej, by ściągać nałożone podatki po prowincyach.

W Bolonii i Rawennie nieraz przychodziło do silnych i krwawych starć między ludnością wiejską i wysłanemi oddziałami dla poboru opłat, a dzisiaj jeszcze siłą po większej części ministeryum dochodzi do zawotowanych przez parlament dochodów. Lud prosty powiada, że „w Nowej Italii nie można zwrócić głowy na bok, ust nawet otworzyć, by się nie pokazał poborca z sakwą i taksą.“ A nic nie dowodzi bardziej niemoralności nałożonych podatków, jak trudność w ich otrzymaniu i koszta ogromne ponoszone dla ściągnięcia ich z kraju. Lud się opiera, dochody swe ukrywa, by się jakimkolwiek sposobem uwolnić od oddania ostatniego grosza, rząd zaś podwójną musi utrzymywać liczbę urzędników, nadzwyczajnych używać środków, niejako nad ogółem mieszkańców zaciągnąć dozór policyjny, by kasę zapelnić i z roku na rok przeżyć to trudne położenie. Podatek od dochodu wywołuje szczególnie niezadowolenie, gdyż jest powodem niesłychanych nadużyć, a znam wiele osób, sprzyjających niegdyś nowemu porządkowi rzeczy, które bardzo w przywiązaniu ochłodyły, gdy rzeczywistość rozwiała piękne sny imaginacyi. Zdarza się często, że wierzyciel nie mogący otrzymać ani kapitału, ani procentu od swego dłużnika, musi opłacać rządowi 15 procent od dochodu, którego nie ma, częściej jeszcze sprzedający bierze jako pewność późniejszej zapłaty hipotekę na nieruchomości, za którą znowu rządowi opłaca

15 procent, chociaż kapitał istnieje fikcyjnie jedynie, a tembardziej nie przynosi żadnego dochodu. Komisarze rządowi tak sobie postępują dowolnie i obliczenia czynią na niczem nie opartych dowodach, że rząd jest dzisiaj zarzucony tysiącami procesów, a prywatni uznawać nie chcą urzędowych rachunków. Byłem świadkiem temi dniami, jak jeden z właścicieli domów powołany do przedstawienia swoich dochodów, złożył kontrakty przed notaryuszem zawarte i wykazał, że wynajmowanie sklepów i mieszkań przynosi corocznie 16.000 franków, komisarze zaś aktów uznać nie chcieli, dowodząc, że dom powinien dawać właścicielowi przynajmniej 27.000 i policzyli od tej sumy przynależną *la ricchezza mobile*.

Prywatni wszelkich używają wybiegów, by przed okiem publicznym ukryć swój majątek, rząd zaś nie dowierza notaryalnym aktom, wygórowane wymagania wyradzają zawsze nienaturalne stosunki. Moźniejsi znajdują przynajmniej łatwiej sprawiedliwość w stolicy, ale lud prosty cierpi nadużycia; znosi je wprawdzie, lecz nie nabiera przywiązania do nowych rządów i z wielkiem upragnieniem wyczekuje zmiany. Bo jak pisze z goryczą dziennik (bynajmniej nie przeciwny rewolucyjnemu systemowi) florencki *La Zenzero*: „jesteśmy jedynie połączeni dla płacenia podatków niesłychanych dotąd, wycieńczających wszystkie zasoby ludności, dla biedy, dla głodu, dla niedostatku, z poborcą lub woźnym nieustannie na karku, z kwitkami papierowymi, co nic nie znaczą, a nazywają się pieniędzmi, z całą armią urzędników niepotrzebnych, ze zjedzonemi dobrami kościelnemi a do tego z zupełnym zastożem w interesach.“ To też przemysł, zamiast się podnosić, upada, kraj zamiast rozwijać swe bogactwa naturalne, zniechęcony opuszcza ręce, a kiedy minister przekonywa, jak w roku zeszłym, deputowanych, że można żądać podwyższenia podatków, bo kraj z każdym rokiem postępuje naprzód, nikt mu podobno nie wierzy, a sam zapewne nie jest przekonany o prawdziwości słów swoich, gdyż fakta nadto wymownie odpowiadają mu smutną rzeczywistością. Przed rokiem 1860 wedle starannego dzieła p. Gallo, dowóz z zagranicy przewyższał eksportację rocznie o 37 milionów, w 1867 dochodził już do 70 milionów a od tego czasu znacznie się jeszcze powiększył, tak, że sąsiednie kraje przeszło dwa miliardy skorzystały na półwyspie. Dodajmy, że traktaty handlowe w pierwszych latach jedności dla wywdzięczenia się państwowi, które uznały nowe królestwo, były

zawierane na korzyść krajów ościennych, ze szkodą wyraźną własnych poddanych, a zrozumiemy, dla czego tyle domów handlowych zwinęło, zamknęło swe kantory, tyle firm upadło i wiele prywatnych majątków zostało zrujnowanych.

Dobrze poinformowany dziennik, a nienależący bynajmniej do opozycyi, przeciwnie liczący się do tak zwanej *la consortia*, *Giornale di Napoli*, zastanawiając się nad przyszłością Włoch, pisał nie dawno: Dzis położenie finansowe jest zupełnie zatrważające, a ostatnie rachunki skarbu z 31 sierpnia dowodzą tego w sposób jasny, ale mocno nieprzyjemny. Przez osiem miesięcy wpłynęło do kassy państwa zaledwie 187 milionów na 225 spodziewanych, a *richezze mobile* (podatek od dochodu) nie dał nawet 123 miliony z 187 obliczonych przez ministra. Jakkolwiek w podatkach stałych różnica niedoborów jest mniejsza, jednakże ona bardzo jeszcze znaczna, a *l'Opinione* (organ rządowy) mocno się nawet na nią użala. Wydatki rządowe wynoszą blisko półtora miliona, z których jedno ministerjum finansów zabiera 836 milionów, a jeżeli przypomnimy sobie, że dochody wszystkich państw Włoskich wynosiły w 1859 r. 509 milionów, nie możemy się dziwić ogólnym skargom, gdyż mieszkańcy płacą przynajmniej pięć razy więcej, bo wszystkie dawne dochody z kolei i dóbr dominialnych i kościelnych nie istnieją, a wydatki przepołowiły się, chociaż dowóz z zagranicy powiększył się znacznie i kraj mniej dziś produkuje, niżeli przed stłumowaniem się jednoci. — Utrzymanie ministerjum spraw wewnętrznych wynosi blisko 55 milionów, gdy we Francyi ta sama pozycja dochodzi zaledwie 43 milion, dzisiaj nawet przy nowych oszczędnościach daleko mniej, chociaż pensye urzędników są daleko większe, niżeli we Włoszech. Utrzymanie cel kosztuje państwo 20 milionów, gdy dochody z nich wynoszą wszystkiego 60 milionów t. j. 33 procentu; dochody z opłat od soli i tytoniu wnoszą do skarbu 155 milionów, ale koszta ściągnięcia ich z kraju przewyższają tu 40 milionów, co znowu wynosi 27%, pobór nawet podatków stałych absorbuje ogromną sumę, gdyż 15% od całego kapitału, tak, że częściowe koszta dochodów królestwa Włoskiego nie są mniejsze od 20%, gdy w innych państwach liczą się od 6% do 10% a na półwyspie, nawet przed rokiem sześćdziesiątym nigdy nie przewyższały 12%. — Przez cztery lata ostatnie summa wydawana na utrzymanie urzędników powiększyła się o 24 miliony, chociaż pensyj bynajmniej nie podniesiono; w niektórych biurach, chcąc

zaprowadzić oszczędność, umniejszono je nawet. Łatwo wyjaśnić tego przyczynę, pisze znany dobrze dziennik piemoncki *la Gazette del Popolo* z Turynu, oddany całą duszą nowemu królestwu, do utworzenia którego nie mało się przyczynił. Ministrowie zmieniając się co chwila, nie zwracają uwagi czy dawni urzędnicy są zdolni lub nie, czy ich użyć do dalszej służby można jeszcze, ale przede wszystkim zaprowadzają do biur nowych ludzi, często nieprzydatnych, nieznających swoich obowiązków, których jedyną zasługą, że mają względy swoich naczelników, przez co kraj płaci spadłych z etatu lub pozostawionych w nieczynności i nowo mianowanych Benjaminów. „Na czem skończymy, woła p. Bottera po trzykroć *italianissimus*, gdy w ten sposób będziemy postępować?” Warto rzeczywiście zadać sobie to pytanie, gdyż gdziekolwiek powiała piemoncka chorągiew, następowały natychmiast finansowe kłopoty i na długo podobno krzyż sabaudzki pozostanie we Włoszech oznaką bankructwa. Wszystkie bez wyjątku miasta zadłużane, wszystkie kassy prowincjonalne puste, wszystkie gminy na wzór królestwa w najgorszym zarządzie, a prywatne majątki niedługo przejdą w rękę banków i nowego rodzaju wierzycieli. Hipoteka jedynie posiadłości ziemskich pokryta szaloną cyfrą jedenaśtu miliardów, a w przeciągu jednego roku przybyło długu przeszło pięć set milionów. W Rzymie nawet, gdzie przed wejściem wojsk włoskich municypium mimo wielkich robót i upiększeń lat ostatnich posiadało 800 tysięcy zasobu w swej kasie, przy nowych rządach, nie tylko że po nich śladu nie pozostało, nie tylko że 30 milionów zaciągnięto pożyczki, ale w rachunkach rocznych pokazał się deficyt 1,300,000 franków, który mieszkańcy będą musieli zapłacić, ciesząc się zapewne, ze złotej wolności i zwycięstwa postępu nad obskurantyzmem, bo pod rządami „tyraństwa papieżkiego“ nie znali tego nowego rodzaju zadowolenia. Prawda, że junta rewolucyjna przelała, jak wszystkim wiadomo, 300,000 franków do kasy prywatnej króla, gdy zjechał w listopadzie przeszłego roku na dziesięć godzin do Rzymu; sławny plebisycyt grubo też kosztował; król raczył znowu za ogłoszenie stolicy w wiecznem mieście przyjąć 2 lipca dwa miliony, illuminacya, okrzyki, uroczystości nie odbyły się także za darmo, ale za to jeden dom nowy nie stanął, jednej nowej drogi nie urządzono, jednego mostu nie naprawiono, ulice nawet bardziej jeszcze brudne i zapuszczone niż dawniej, a w fontanach, tak koniecznych w ciepłym klimacie i z takim kosztem urządzonych

i utrzymywanych przez papieży dla zdrowia i przyjemności mieszkańców, brakuje wody od pewnego czasu.

A co w tem wszystkim przestraszające, to, że to położenie wadliwe stało się niejako systemem, każdy nowy minister wie już, obejmując urząd, że nie wiele poradzi, i tylko jak doktor w chorobie chronicznej przedłuża jedynie różnemi środkami życie swego pacyenta, przekonany, że go uleczyć nie potrafi. Być może, że ministerium Sella-Lanza z powodu deficytu tegorocznego upadnie podczas obrad parlamentu w Rzymie i nową listę ludzi rządzących ujrzymy, ale to stanu rzeczy bynajmniej nie zmieni i za kilka, najdalej kilkanaście miesięcy scena dzisiejsza się powtórzy, a za rok, przekonany jestem, jak zresztą wszyscy tutaj i przyjaciele i nieprzyjaciele rządów piemonckich, dług państwa się jeszcze powiększy i nowy ukaże deficyt. Dawniej ratunek był łatwiejszy, kraj niewycieńczony, mniej zniechęcenia, ale dziś dziewięć miliardów długu wisi jak miecz Damoklesa nad nowem królestwem, wszystkie zasoby pochłonięte, a przy ogólnem nieukontentowaniu o najmniejszych dobrowolnych ofiarach mieszkańców marzyć nawet nie można. — Stan podobny dłużej lub krócej potrwać może, ale zdrowy rozsądek pokazuje, że rękojmi na przyszłość nie daje: „dzban do czasu jedynie wodę nosi“, ale niech nadejdzie w naszych czasach burza europejska, jedności Włoskiej zagraża straszna katastrofa, która się niechybnie rozpocznie bankructwem. Jeżeli prawda, że lord Palmerston, który się nie mało przyczynił dla swych widoków do tryumfu rewolucyi Włoskiej, powiedział, że „jedność nowego królestwa tak długo potrwa, jak długo będzie miał rząd dla swego utrzymania pieniądze“, można się zapytać, na ile lat jeszcze wypada obliczać istnienie nieładu i bezrządu na półwyspie?

Jeżeli w gospodarstwie krajowem ludzie nowego systemu we Włoszech nie okazali wielkich zdolności, to przyznać trzeba ze smutkiem, że mało byli bieglejszymi w ogólnej administracji państwa. Półwysp przed rokiem 1860 był w wyjątkowem położeniu. Jeżeli Nienicy z natury swej bardziej już jednolite, podzielone na małe państewka, potrafiły większemi lub mniejszemi różnić się odcieniami, to pojedyncze części Włoch nigdy nie spojone razem wyrobiły sobie własne życie, potrzeby, odrębne obyczaje i dążności. Gdyby jedność była się formowała na podstawie

federacyi, autonomicznego życia każdej prowincyi, jak zresztą niegdyś marzyli wielcy patryoci tego kraju, półwysep mógł być utworzyć państwo znaczące i silne, ale narzucona centralizacya, bez której rewolucya obejść się nie mogła, przeciwna zupełnie usposobieniom ludności, wstrętna tak dla Piemontczyka, Rzymianina, jak i Neapolitańczyka, bo nieodpowiednia ani jego charakterowi, ani tradycjom, musiała wyrodzić znowu nienaturalne położenie. Młode państwo niezagrożone na zewnątrz, powinno było zdaje się przedewszystkiem zwrócić swe siły do organizacyi wewnętrznej i spokojnie a wytrwale pracować nad pięknym programem, o jakim nieustannie w chwili zaboru rząd piemoncki prawił Europie. Tymczasem od pierwszej chwili wyrodziła się w jego łonie zacięta walka nie o dobro kraju i jego rozwój, ale o zasady i polityczne pojęcia, która trwając bez przestanku od pierwszego dnia jego istnienia, aż do dzisiejszej chwili nie pozwoliła się zająć ani jedną gruntowną i korzystną pracą, a była powodem wprowadzenia doraźnych i niejako *ab irato* tworzonych reform. Utworzone sztucznie, prawie wypadkowo, gwałtownie jak procesem chemicznym w retorcie, królestwo miało przez lat dzieścię u steru administracyi tylko siedm nastu następujących po sobie ministrów spraw wewnętrznych. Godne to zastanowienia, bo gdyby jedność naturalnym nawet sposobem i powoli była przyszła do skutku, jeden człowiek pelen talentu i niezmordowanej pracy nie byłby jeszcze miał dosyć czasu, by się dostatecznie z tak różnorodnemi stosunkami obeznać, a wedle zasady centralizacyi, znieść wiekami wytworzone niejednostajności, wszystkie nierówności zniwelować, rozstrzelone interesa skupić i wszystkie żywotne arterye ku stolicy zwrócić. Cóż mógł prócz nieporządku wprowadzić nawet przy najlepszych chęciach, minister nie mający i nie mogący znać nawet, tak rozmaitych i czysto przeciwnych sobie potrzeb kraju, stojąc u steru administracyi kilka zaledwie miesięcy, bo byli tacy, co się taką sprawą wewnętrznąch dwadzieścia ośm dni zaledwie cieszyli — tyle, że wydali okólnik powitania i pożegnania swoich podwładnych i tytuł ekscelencyi sobie zdobyli. Centralizacya we Francyi dała już o sobie świadectwo, ale przez lat kilkanaście sprawy państwowe szły regularnie, a plebiscyty nawet odbywały się, jak w zegarku, nie zawsze z pożytkiem kraju, ale z wielką pomocą dla upadłego dziś rządu. Ale centralizacya we Włoszech przypomina te zegarki z popsutą maszyneryą, co albo stają co chwila, albo fałszywie wskazują

godzinę; rządowi nie przyniosła żadnej korzyści, krajowi zupełną klęskę zadała. We Francyi mimo wielkich nadużyć panował przynajmniej porządek w wewnętrznej administracyi, biura funkcyonowały szybko, interesa osób prywatnych nie cierpiały zwłoki; we Włoszech utworzono całą kastę urzędników, sformowano biurokracją nieznaną dotychczas na półwyspie i dziś pisze się niezmiernie wiele; warsztat publiczny zajęty niby nad siły, ale sprawy nie postępują, a skargi, jakie zapelniają wszystkie dzienniki, uzalania, jakie się słyzy na rogach wszystkich niemal ulic po miastach i po wsiach, najpewniejsze dają świadectwo wadliwości systemu administracyi. Znam wiele osób, które wolą w interesach mniejszej wagi ponosić straty, niżeli udawać się do ministryum i praw swoich dochodzić, gdyż opłaty różnorodnych stempli, strata czasu i niepewność po roku lub dwóch przychylniej odpowiedzi, większe sprowadzają koszta niżeli otrzymana nawet po wiekach oczekiwania sprawiedliwość. Jeżeli kto nie jest w stanie przesłać „słówko do ministra“ lub jakiej wpływowej osoby, a interes naturalną postępuje drogą, to rzadko jedno pokolenie jest w możności doczekać załatwienia sprawy. Biura tutejsze przypominają mi zawsze jednego z organizatorów północnych królestwa naczelnika maleńkiego, nowo utworzonego powiatu „w nadwiślańskim kraju“, który wychwalając swoje rządy mówił mi z dumą i prawdziwym zadowoleniem, że przez jeden rok doszedł do 19.000 numerów różnych spraw lokalnych, i pojąć nie mógł, że to jeszcze nie dowód, czy okręg dobrze zagospodarowany i że liczba tak wygórowana mogłaby doprowadzać do przeciwnych zupełnie wniosków. Jemu się zdawało, że administracya wtedy jedynie postępuje wzorowo, gdy kilkaset liber zapisanych i wydanych kilkaset rubli na pióra i atrament, a gotów był nawet robić trudności w interesach, jedynie, by akta powiększyć, i nowe dzieło rozpocząć. Mieszkańcy musieli być zadowoleni i szczęśliwi, bo archiwum w przeciągu lat kilku się podwoiło a jego naczelnik w nagrodę tak gorliwej pracy ozdobił piersi wstążeczką Stanisława lub Anny. Tutaj mniej więcej dzieje się to samo, a podam wyżej cyfry na utrzymanie urzędników i wydatki bior najlepiej tego dowodzą. Mania centralizacyi, jaka owładnęła ludzi rządzących we Włoszech doprowadza ich czasem do dzieciństwa i niedorzeczności. Dawniej każdy oddział dochodów miał swój oddzielny zarząd, jak się to zresztą dzieje we wszystkich państwach, gdyż w administracyi wyradzają się specjalności wyma-

gające nietylko długoletniego doświadczenia, ale i osobnych znajomości.

Tymczasem od lat kilku wszystkie wpływy najróżnorodniejsze skupiono po prowincjach do jednego biura tworzącego male ministerya i zwanego intendenturą, na czele którego stoi zwykle młody człowiek „Benjamin ministra“ jak powiada *Gazzete del Popolo* nie mogący mieć nawet dokładnego pojęcia o rozmaitych gałęziach administracyi skarbowej, które połączone w silnem nawet ręku, zaledwie mogłyby postępować porządnie i bez zamieszania. To też nieustannie okazują się braki, a resztki dominialnych dóbr, których sprzedać nie można było z powodu procesów, w najsmutniejszym znajdują się stanie, z pozostałych niektórych majątków klasztornych dla płacenia dożywotniej lichej, kilkunastofrankowej pensyi wypędzonym zakonnikom rząd nie tylko nic nie otrzymuje, ale jeszcze opłaca utrzymanie osobnych urzędników.

Jednej przynajmniej rzeczy można było zdaje się spodziewać od centralizacyi t. j. jedności w zarządzie, spokoju i przyjaznego stosunku między funkcjonującymi w kraju władzami, gdyż to jej konieczny warunek, bez którego staje się anarchią. — Tego warunku brak silnie czuć się daje w królestwie włoskiem, a czy, że w łonie ministeryalnem panuje niezgoda, podwładni zaś biorą zły przykład z góry, czy, że wszelka dyscyplina poszła w niepamięć, dość że w królestwie dzieją się rzeczy, którymby wierzyć się nie chciało, gdyby się ich nie było świadkiem. A nie dotykam bynajmniej lat ubiegłych, i tych chwil przejściowych, gdy w rewolucyjnym zamęcie zdarzają się zawsze i wszędzie nadużycia, ale chcę podać kilka wydarzeń jedynie z kroniki tegorocznej, bo materiał jest tak obszerny, że cały artykuł możnaby zapelnąć szczegółami tego rodzaju. W Rawennie np. prefekt oddawna żył w niezgodzie z władzą policyjną, nad którą ma zwierzchność, a nieprzyjaźń do tego nareszcie doszła stopnia, że kwestor wymierzając sobie sam sprawiedliwość, wystrzałem z pistoletu zabił naczelnika prowincyi, a rząd nie mógł znaleźć człowieka, któryby chciał się podjąć uspokojenia nieco umysłów w tej części Romanii; w Sardynii generał Angelini dowodzący armią, miał zatargi ze wszystkimi Włochami, siłą wojskową stawał po stronie przychylnego sobie stronnictwa, rozpędzał bagnetami policyą i żandarmerją, zabójstwem tu karierę swoją ukończył i mało co nie przyprawił wyspy o ogólne powstanie. We Florencyi pod okiem

ministra jeden z wyższych urzędników skradł z kasy ministerium wojny 70.000 franków, wyjechał spokojnie za granicę i dopiero po sześciu tygodniach spostrzeżono defraudację i nieobecność naczelnika biura. W Neapolu prefekt prowadzi od roku zaciętą walkę z municypium i władzami miejskimi, popierany przez prezesa gabinetu, co jest powodem częstych nieporządków i kilkumiesięcznego wzburzonego stanu prowincyi. W Palermo głośna sprawa generała Medici i prokuratora Tajani zwróciła na siebie uwagę całej prasy europejskiej, ale nie zaprowadziła bynajmniej spokoju w Sycylii, która znużona jest rządami kwestora Albanese, wykonywującego dyktatorską władzę i dla „bezpieczeństwa publicznego“ stojącego na czele bandy niby tajnej policyi, utworzonej ze znanych w kraju rabusiów, na raz znalazła się bez prefekta, kwestora, prokuratora królewskiego i prezesa najwyższego sądu, bez żadnej wyższej władzy, pozostawiona sama sobie w zupełnej anarchii. A zwrócić trzeba uwagę, że to nie podnosząca głowę reakcja, nie występujące stronnictwo pozbawionych tronu książąt, ani walka dawnego porządku z nowemi zasadami, ale niezgoda i nienawiść partyi w łonie rewolucyi, wspólne przesładowanie się ludzi, co tworzyli nowe królestwo, krwawe zatargi między koryfeuszami i przedstawicielami jedności i całego nowego systemu wprowadzonego do półwyspu od lat dziesięciu. Można by się obojętnie przypatrywać tym ciekawym zapasom, i niktby nie bronił tej dziwnej szermierki ludziom występującym niby pod jednym sztandarem, gdyby na niej kraj tak dotkliwie nie cierpiał. Wolno im się i w ten sposób zabawiać, wolno wspólnie wyępieć, kiedy tak rozumieją wolność, ale nie wolno niszczyć kraju, poświęcać interesów ludności dla własnych widoków, a zamiast obiecanego spokoju, bezpieczeństwa i swobody, wprowadzać swawoli i anarchii. Władza jedna nieprzyjaźnie przeciw drugiej występując, umyślnie utrudnia nieraz bieg interesów, wytwarza w kraju stronnictwo, pozostawia niezalutwione sprawy całemi setkami, wprowadza w życie publiczne zupełny rozstrój i nieraz przychodzi się pytać mieszkańcom, czy dla tego płacą ogromne podatki, by ten nieład i bezzład powiększać i ułatwiać. (D. n.)

Z Włoch.

D O S P R A W Y

O PRZYMUSIE W WYCHOWANIU LUDOWEM.

Kraj w naczelnych swoich kolumnach umieścił był, niby rozprawę w celu wyjaśnienia czy uzasadnienia wniosków P. Leona Chrzanowskiego dotyczących ludowego wychowania w Galicyi. Przez siedm nr. ciągnęła się, albo raczej wlokła się ona, zajmując w każdym nr. od trzech do czterech kolumn i jeszcze nieskończona. Zapowiedzianego dokończenia jakoś się doczekać nie możemy — i zdaje się, że *questa coda* ucięta została (kilka już tygodni temu) nadzwyczajnie ostremi artykułkami *Czasu*, umieszczonemi na szarym końcu tego wybornego Dziennika.

Siedm artykułów od trzech do czterech szpalt, to czyni mniej więcej dwadzieścia kilka szpalt — i jeszcze nie koniec! Wnioski Szanownego posła wymagały więc nie lada podmurowania, jeżeli rozprawa wspomniana ma być uzasadnieniem — lub też nielada jakiej liczby pochodni, jeżeli rozprawa ta miała być rozjaśnieniem. W każdym razie nie mówi to na korzyść redakeyi wniosków i motywów oraz dowodzeń, któremi się tam wnioskodawca posługiwał — i któremi znajomi i nieznanymi stronnicy usłużyć mu chcieli we wszystkich prawie Dziennikach chcących niechodźć za przedstawicieli intelligencji, postępu i wolności.

Ale bo też autor rozprawy umieszczonej w *Kraju* nie wiedzieć dla czego usadził się na to, aby ryczałtowo uzasadniać i wyjaśniać wszystkie trzy wnioski dotyczące tego przedmiotu, kiedy *Czas* i reprezentowana przezeń intelligencya kraju na dwa skrajne wnioski chętnie się zgadzali — a tylko się przeciw trzeciemu, to jest środkowemu oświadczyli. Wprawdzie nasz Przegląd zgadzając się całkowicie na pierwszy i walcząc przeciw drugiemu, o tyle na trzeci zgadzał się niechętnie, o ile ten trzeci wniosek każe się obawiać, aby „kapłaństwo oświaty urzędowej“ nie brało zbyt na wagę złota swych prac i swego poświęcenia. — Ależ autor rozprawy w mowie będącej na nasz Przegląd nie raczył zwrócić uwagi. — i przez wzgląd zapewne dla organu, który mu otwarł swoje kolumny — a który wspomnieniem poważnem naszego pisma mógłby się strefnić, mimo nastawiania *Czasu*, z umysłu unikał wszelkiej wzmianki o naszym artykule — chociaż nie można powiedzieć, aby unikał niedelikatnych i o złym humorze świadczących aluzyj.

Wniosek zakwestjonowany, to jest wniosek chcący prawa, któreby przymuszało chłopów do dostarczania dzieci proponowanej szkole — wniosek ten *ex professo* jest tylko uzasadniony i wyjaśniany przez autora rozprawy „krajowej“ w N. 253 z 5. Listopada — w dwóch następnych nr. są tylko omówienia, powtarzania, głoślowne twierdzenia i smętne biadania, jak owo ostatnie kończące się wykrzyknikiem tak zwanym figurantem, to jest wykrzyknikiem, który wykrzykuje sam nie wiedząc dla czego i po co?

Nie, ażeby polemizować z autorem rozprawy „kraju,“ czujemy bowiem, że tak wielkiemu arystokracie w publicystyce europejskiej zupełnie jest obojętne, co my myślimy i piszemy i „że się jemu bynajmniej nie rozchodzi“ o nasze zdanie, ale żeby dokompletować to, czego nie dostawało naszej o „przymusie w wychowaniu ludowem“ rozprawie, chętnie korzystamy z nadarzonej nam sposobności i załatwiwszy się najprzód z twierdzeniami — pomyślimy, co odpowiedzieć na argumenta.

Autor rozprawy „krajowej“ twierdzi więc najprzód, że „niektórzy, występujący przeciw przymusowi szkolnemu, ulegli pewnemu pomieszaniu pojęć“ i że kwestyę o przymusie proponowanym przez wniosek p. Chrzanowskiego pomieszali z kwestyą o wolności nauczania podniesioną we Francyi przeciw monopolizowaniu przez państwo prawa nauczania. Wychodzi to niby na to, że przeciwnicy „przymusu“ wiedzą że dzwonią, ale nie wiedzą w którym kościele.

Bądź co bądź, choćby i tak było, czego przeczymy, to i to nie złe, że wiemy, iż dzwonią, choćbyśmy nie wiedzieli w którym kościele. Bo nie o to głównie idzie, gdzie dzwonią — tylko o to, na co dzwonią? Dzwoni wniosek p. Chrzanowskiego — czy nie dzwoni na przymus? Dzwonią wszystkie polskie dzienniki, oprócz *Czasu*, broniące wniosku p. Chrzanowskiego na przymus — czy nie dzwonią? Jużci dzwonią na przymus, to jest na to, żeby Izba ustanowiła prawo któreby przymuszało chłopów do dostarczania dzieci szkole publicznej. Wy panowie liberalni chcecie przymuszać chłopów i na ten przymus, aby go wywołać, na gwałt dzwonicie. Zdaje nam się, że to jest jasne i że w tem my ultramontanie niechęący przymuszać chłopów, nie ulegamy żadnemu pomieszaniu pojęć, wiemy o co idzie.

A co do kwestyi, gdzie dzwonią, nie sądzimy aby ona była dla nas tajemnicą — choć wy Panowie liberalni, którzy nas ultramontanów donosicie, żeśmy się chwycili z czerwonymi internacjonalami „środków tajnego szerzenia się i tajnego werbowania“ — bynajmniej nie grzeszycie nadmiarem jawności i lubujecie sobie, jeżeli nie w czarnych lub czerwonych — to w czarno-białych lub w czerwono-zielonych norach. Tak jest, przekonani jesteśmy, że wiemy z jakiej nory dzwonicie na przymus. Mniejsza zresztą o to, jakiej ta nora jest barwy, dosyć na tem, że nieprzezwyctęzona chęć przymuszania ludu, z jaką się organa wasze, może za wcześnie, wygadały, jest jednym z głównych symptomatów liberalizmu, którego ostatnie słowo próżno już osłaniacie tajemniczością. Za wnioskiem o przymusie zamienionym w prawo, prędzej czy później przyszedłby wniosek o szkołach publicznych ludowych bez wyznaniowych: wniosek ten myślimy nie byłby już wnioskiem p. Chrzanowskiego, może nawet nie byłby w myśl jego, ale przez kogokolwiek bądź postawiony, byłby on niezawodnie przedmiotem najgorętszych apologii ze strony tych samych Dzienników, które dzisiaj tak gorliwie adwokatują za przymusem.

Czy przeciwnicy przymusu ulegli zmieszce pojęć i czy rzeczywiście kwestyę przymusu pomieszali z kwestyą o wolności nauczania, jak twierdzi autor rozprawy „krajowej“ — można już o tem sądzić

z tego, cośmy dotąd powiedzieli. Nie tylko, że to twierdzenie jest zupełnie dowolne, ale dowodzi ono, że autor sam owej zmieszce pojęć uległ, i że sam nie wie o czem mówi. Kwestya o wolności nauczania we Francyi już nie wiedzieć odkąd należy do kwestyj historycznych. Wiadomo, że niema kraju w Europie, któryby tak był obfitujący w ludowe szkoły wolne, a nawet w szkoły kierowane przez Zgromadzenia duchowne katolickie, jak właśnie Francya i Belgia. Prawda, że wielka rewolucya zniósłszy istniejącą przed tem wolność nauczania, wszystkie instytucje wychowawcze, zastąpiła tak zwanemi szkołami centralnemi — prawda, że cezaryzm idący pod tym względem ręką w rękę z rewolucją, dla wzmocnienia systemu centralizacyi szkolnej, dekretem z 1808 r. na wszystkie instytucje wychowawcze rozciągnął monopol Państwa, nie wyłączając nawet szkół ludowych i średnich tak zwanych *les ecoles primaires et secondaires*; prawda że nawet dawne szkoły ludowe bezpłatne, kierowane od końca wieku XVII. przez Zgromadzenie braci szkół chrześcijańskich, przez dekret konwencyi narodowej straciły całą swoją wolność i zastąpione szkołami komunalnemi; prawda, że mimo zmian zaprowadzonych w wychowaniu ludowem przez restaurację i mimo przywróconego w wychowaniu wpływu religijnego, monopol wspomniany przetrwał aż do roku 1848, i że w roku 1833 nowo uorganizowany system wychowania początkowego tym monopolem czuł się przygniecionym — ale któż nie wie — że przez konstytucję 1848 roku wolność nauczania stanowczo została ogłoszoną? (Art. 3 *l'enseignement est libre*); któż nie wie, że w roku 1850 nowy ten system, oparty na wolności, do wszystkich szczegółów wychowania został zastosowany, i że same nawet dekreta rządu napoleońskiego (9 Marca 1852 i 27 Maja 1854), zwiększające wpływ (nie monopol) rządu na wychowanie publiczne, uszanowały i nieetykalną zostawiły wolność wychowania prywatnego tak w wyższych i średnich szkołach, jak w szkołach ludowych? Pod względem tych ostatnich, któż nie wie, w jak wielkiej liczbie zostają one pod kierunkiem Zgromadzeń duchownych, jak na przykład Józefitów, Braci szkół chrześcijańskich i tym podobnych? W obec tych faktów cóż sądzić o twierdzeniu autora rozprawy „krajowej“, jakoby przeciwnicy przymusu w wychowaniu naszego ludu, kwestyę tego przymusu mieszały z kwestyą wolności nauczania bronioną niegdyś we Francyi przeciw monopolizowaniu przez Państwo prawa nauczania? Czyż to nie on sam wpada w pomieszanie pojęć, biorąc za jedno agitujące się dzisiaj kwestye wychowania we Francyi z kwestyą nie wiedzieć odkąd pogrzebanaą monopolem Państwowego w wychowaniu?

Jeżeli my przeciwnicy przymusu w wychowaniu naszego ludu mamy na oku dzisiejsze agitacye w sprawie wychowania podniesione we Francyi, to właśnie te agitacye, które przez *Kraj* i przez wasze organa liberalne tak gorąco przeciw ultramontanom były bronione. To takie właśnie agitacye Lyońskie podniesione jako inicjatywa do stanowczego i całkowitego wyparcia ze szkół wpływu kościoła i religii, — to takie orgje wyprawiane przez odłam paryzkiej komuny w celu początkowania szkół bez wyznaniowych. Tak jest, wnio-

sek o przymusie w wychowaniu publicznem ludu polskiego zanadto wczas po owych orgjach został postawiany i zanadto gorąco przez dzienniki owych orgii broniące, jest popierany, uzasadniany i rozjaśniany, aby fakt ten mógł nas nienaprowadzić na upatrywanie pewnej koincydencji, zdaniem naszym, bynajmniej nie przypadkowej. Widzimy jak hasło dane w jednym punkcie, wywołuje ruch na całej nieprzyjacielskiej linii. To, że się we Francyi agitacja nie udała, że się rozbiła o zdrowy zmysł Izby a nawet takiego pana Jules Simon — nas bynajmniej uspokoić nie może. Moderantyzm francuski pod względem słabych stron do polskiego podobny — z polskim tam się zwykle rozchodzi, gdzie odwagę i stanowczość musi zdrowy zmysł zastąpić. U nas brak odwagi jest prawie nieoddzielnym towarzyszem braku zdrowego zmysłu. My na naszych Jules Simonów rachować nie możemy, więc tem bardziej musimy się mieć na baczności, im rezolutniej i zacięcej rzecz o przymusie jest u nas podnoszoną i bronioną przez zwolenników i wielbicieli takich socyalno-szkolnych historyi francuzkich. Chcieliście Panowie uniknąć opozycji? Trzeba było albo dać pokój panegirykom owych historyi, albo rzecz o przymusie na później nieco odłożyć, albo wreszcie wstrzymać się od podnoszenia wniosku p. Chrzanowskiego, przez wasze organa tak grubo skompromitowane sympatjami dla komuny, dla Internacyonalu i bezreligijności.

Autor z resztą rozprawy „krajowej“ sam nie wierzył twierdzeniu swemu i owem pomieszaniu pojęć w głowach przeciwników przymusu. On dobrze wiedział o co im idzie; on wiedział że im nie idzie o obronę wolności nauczania przeciw monopolizowaniu przez państwo prawo nauczania, ale im idzie o to, żeby lud nie był przymuszany posyłać swe dzieci do szkół bezreligijnych, i żeby nie była owym przymusem pogwałconą jedna z najświętszych wolności, jaką jest wolność rodziny, wolność rodzicielska w sprawie wychowania własnych dzieci, nie naruszalność domowego ogniska. Tę wiadomość, albo raczej to przekonanie autor rozprawy wyraża w kształcie domysłu (nr. *Kraju* 256). „Mniemam, pisze on, że *Czas* dla tego głównie wystąpił przeciw wnioskowi, iż obawiał się, że szkoły publiczne ludowe będą źle urządzone a wychowanie w nich nie zostanie oparte na podstawie religijnej.“ — Tak pan mniemasz, a jednak o kilkanaście wierszy wyżej, twierdziłeś, iż przeciwnicy przymusu szkolnego czynili zarzuty z powodu niedokładnej znajomości sprawy, przeciw której występowali. Aby być logicznym i prawdziwym, trzeba było przynajmniej z tej ostatniej kategorii wyłączyć *Czas*, o którym Pan mniemasz, że głównie wystąpił przeciw wnioskowi, z obawy aby wychowanie nie było pozbawione podstawy religijnej — po takim zaś wyłączeniu należało wymienić, którzy to przeciwnicy przynusu zgrzeszyli ową niedokładną znajomością sprawy. Wszakże i w mniemaniu o *Czasie* nie zupełnie autor jest prawdziwy. Bo najprzód *Czas* bynajmniej nie wystąpił przeciw wnioskowi ale przeciw wnioskowi. Rzetelna znajomość traktowanej sprawy i dobra wiara, nie powinnyby były pozwolić na tak grubą niedokładność, która na przeciwnika mogłaby ściągnąć klątwy intelligencji przez taki

Kraj informowanej. *Czas* nie chciał tylko przymusu, pocóż więc wmawiać weń, że niechciał szkół ludowych, lub ich uposażenia? Powtóre *Czas* głównie wystąpił przeciw przymusowi nie z powodu obawy o podstawy wychowania — ale z powodu przekonania, że takim przymusem byłaby pogwałconą jedna z najkonieczniejszych w układzie społecznym wolności, to jest wolność rodziny — oraz z powodu przekonania, że takim przymusem prędzej czy później, posłużyłaby się bezbożność czyhająca na podkopanie religijnego życia ludu. To trochę więcej niż obawy o podstawy wychowania, i o niedobre urządzenie szkoły.

Niechże sobie już zresztą autor mniema jak chce i niech jak chce ignoruje już mityguje przekonania nieprzyjaciół przymusu, w wychowaniu ludowem, ale niech sobie przynajmniej z własnych czytelników nie żartuje, zbijając owe domniemywane obawy *Czasu* nie jakimś dowodzeniem, ale znowu najdowolniejszym twierdzeniem „że postanowienia sejmowe urządzające szkołę ludową dadzą wychowaniu początkowemu podstawę moralną, religijną i narodową.“

Pomijając już to, że Sejm szkół nie urządza, bo rzecz ta jest w atrybucjach Władzy wychowawczej, to pytamy się na czem — że autor opiera tę pewność mającą rozproszyć obawy *Czasu*, że postawienia sejmowe dadzą wychowaniu ludowemu podstawę religijną? Na tem że *Czas* większość sejmową wychwalał? Ależ to wychwalanie mogłoby w kwestyi postanowień sejmowych i dotyczących szkoły wtedy coś znaczyć, gdyby *Czas*, który większość sejmową wychwalał, sam twierdził, iż Sejm urządził szkoły ludowe na podstawie religijnej. *Czas* przecież tego nie twierdzi, tylko autor rozprawy „krajowej“ tak twierdzi, właśnie przeciwko *Czasowi*. *Czas* mógłby szlusznie odpowiedzieć: „jeżeli mi pan dowiedzie, że wychwalał sejm pod względem jego religijnych usposobień, albo pod względem pojęć o podstawach wychowania ludowego, to mógłbym się zgodzić na to, że Sejm przezemnie chwalony, byłby zdolny dać ludowi szkoły urządzone na podstawie religijnej. Ale najprzód Sejm przezemnie dziś chwalony, jutro może być ganiiony — bo on nie koniecznie jutro będzie ten sam co dzisiaj, albo taki sam. Powtóre przyznawszy Sejmowi dzisiejszemu że jego „kierunek jest zdrowo-społeczny“ jeszcze mu przez to bynajmniej nie przyznałem, iż *eo ipso* będzie chciał lub będzie umiał szkoły ludowe urządzić na podstawie religijnej, a nakoniec choćbym i to przyznał — to daleko jeszcze od tego do przekonania, że szkoły tak urządzone, już takimi nieodniennnie pozostaną — gdy tymczasem uzasadnione na podobnem przekonaniu prawo przymusu pozostałoby *in pleno vigore*, i byłoby jak chce p. Chruzanowski, z całą surowością, zastosowywane.“

Nie dosyć na tem, że autor rozprawy broniącej przymusu twierdzenie swoje o niezawodnie religijnem urządzeniu szkół ludowych przez Sejm, opiera nie na swoim lecz na swego przeciwnika przekonaniu o „kierunku zdrowo-społecznym tego Sejmu“ ale nielogiczność czy sofisteryę swoją do tego stopnia posuwa, że owo twierdzenie opiera na przekonaniu, którego wcale nie dzieli. „Co do mnie, powiada,

choć nie jestem przejęty dla większości Sejmowej, jakie *Czas* dla niej okazuje, jednakże mam przekonanie, że postanowienia urządzające szkołę ludową, dadzą wychowaniu początkowemu podstawę moralną, religijną i narodową." Jeżeli Pan masz takie przekonanie, to ciesze się niem, ale daj sobie z niem pokój w rozprawie z przeciwnikami przymusu posyłania do tak urządzonej szkoły. Jeżeli zaś nie na żart stawiasz takie rozumowanie, to chyba w tem znaczeniu, że Sejm, właśnie z powodów nieprzypadających wam do smaku, ma przedstawiać rekojmię religijnego urządzenia szkoły ludowej — to jest, że się chcecie posłużyć usposobieniami Sejmu w obecnym jego składzie, i sympatjami dla jego większości waszych przeciwników, w celu usunięcia ich opozycji i w celu ukucia z ich pomocą prawa przymusu szkolnego. Ale to zanadto skomplikowana machina, aby mogła w jaki taki ruch być wprawioną. Ultramontanów tak się nie kaptuje.

Gdybyśmy nawet mogli dzielić przekonanie tak gwałtownie sforsowane, że Sejm, który pod względem pojęć o kierunku zdrowo-społecznym nie zasługuje na uwielbienie, da z pewnością dobre szkoły i to dla tego dobre, że urządzone na podstawach religijnych — gdybyśmy mogli mieć nawet i to przekonanie, że tak urządzone raz szkoły ludowe, już owej dobroci nie utracą, to jeszcze tak o przymusie nie dalibyśmy sobie mówić — choćby tylko z tego tytułu, że Sejm nie będzie bynajmniej władzą wychowawczą prawa przez się postanowionego, ale że wykonanie prawa zależeć będzie od władz może zupełnie przeciwnie intencyonowanych niż Sejm. Tu wiele zależeć będzie od usposobienia Ministra oświecenia i kultu — tu bardzo wiele zależy od usposobienia Rady szkolnej krajowej — od usposobienia okręgowego nadzoru szkolnego, od usposobienia z resztą samego pana Nauczyciela. Do katedry uniwersyteckiej minister przysłał na profesora człowieka, który z powodu wykładanego przez się przedmiotu, bynajmniej nie będącego w ścisłym związku z religią, trzech prelekcji nie może wytrzymać, aby religii, w sposób dotkliwie krzywdzący przez potwarze i obelgi nie zaczepiać¹⁾ — do gimnazjum wchodzi na profesora człowiek, który sobie za nic ma, przechodzić na bezwyznaniowość, aby ślubem

¹⁾ Pan Girtler zmieknął widocznie tego roku w swoich napaściach na katolicyzm; wszakże co dwie lub trzy prelekcje jeszcze ich sobie pozwala. Niedawno w celu zwaleni nieomyślności papieża w rzeczach wiary twierdził, że któryś z trzech papieży, których zacytował nie umiał, byli arianami. Inną razą odpowiadał o jakichś księżach, którzy bojąc się, aby Karol W. nie zabrał dóbr kościelnych, pokazywali mu w grobie Karola Martela jakieś monstrum. Karola W. przedstawił on swym audytorom gorzej niż jakieś monstrum! Styl p. Girtlera przeciężony bywa takimi akademickimi ślicznościami, jak np. kiejsik, kajsik, kiedysik, jakiesik itp. Znajomość historyi, jak u niego, zadziwiająca. Tak na przykład zacytował nie wiedząc *à propos* czego, słowo Ludwika XIV *Pétat ce moi*, dodał, że te słowa wyrzekł któryś Ludwik, to jest Ludwik XIV czy XV. Szkoda, że się przed prelekcją nie spytał bedela, a byłby go bedel zapewnił, że to czternasty a nie piętnasty!!

cywilnym zaślubić żydówkę z wielkiem zgorzaniem młodzieży; w szkole żeńskiej kierowanej przez Zgromadzenie zakonne żądają, aby pod zagrożeniem odjęcia subwencji i odjęcia prawa szkoły publicznej, postępowano wbrew przeciw najistotniejszym przepisom zakonnym, przeciw zaprzysiężonemu posłuszeństwu; aby znoszono klauzurę i t. p. Związek szkoły z kościołem potargany; wpływ nadzorem władzy duchownej na wychowanie ludowe zniesiony; Rada Szkolna mieści w swem personale osobistości znane z usposobień jawnie katolicyzmowi nieprzychylnych; książki po szkołach używane, a dotykające przedmiotów religijnych, niewyjmując ludowych, żadnej cenzurze duchownej nieulegają; system tak zwany pogładowy, zależy głównie od subiektywności nauczyciela ułatwiający przelewanie w umysły młodociane osobistych jego widzeń, a częstokroć nawet najgrubszych uprzedzeń, nie tylko pod względem literatury i historii, ale nawet pod względem religii; system unicestwiający najlepsze nawet podręczne dzieła przez osobistość nauczającego powszechnie zalecany i faworyzowany; księżom katechetom wzbroniona klauzula *salvis juribus Ecclesiae* przy podpisywaniu przysięgi na wierność ustawom stającym w rażącej sprzeczności z ustawodawstwem kościelnem, — i w obec takich to faktów, w obec takich usposobień, każą nam w dobrem urządzeniu szkoły ludowej widzieć rękomię jej zawsze i wszędzie dobrego działania do tego stopnia, iżbyśmy byli zdolni zgodzić się na przymus zniewalający rodziców do dostarczania onej szkole dzieci!?

Cóż dopiero, gdy weźmiemy na uwagę, że owo dobre urządzenie szkoły, mające być jedyną rękomią usuwającą wszelkie obawy i najwyższym bodźcem do zgodzenia się na przymus, jest bardzo problematyczne? Usuwając już na bok obawę, że w urządzeniu szkół ludowych działać mogą i przemawiać intencje niekoniecznie najlepszych, ale tylko najrzeczniejszych — i że te intencje mogą być wprost przeciwne istotnie dobremu urządzeniu szkół ludowych, jakby naprzykład mogło się stać w Belgii lub we Francji, gdyby przemożła partya sympatyzująca z Internacyonalem i komuną — przypuszczając nawet w najlepszym razie same rzeczywiście dobre intencje, toć któż nie wie, jak dalece w tej mierze skutek może wypaść sprzecznie z dobrmi intencjami? Sam autor rozprawy „krajowej“ przypuszcza ten „wypadek najgorszy, że szkoły ludowe w Galicyi będą nie dobrze urządzone“ ale robiąc niejednokrotnie to przypuszczenie, twierdzi, nie wiedząc w moc jakiej logiki, czy też w moc jakiejś koniecznej nielogiczności, że przymus zniewalający rodziców, aby posyłali do takiej szkoły, byłby i wtenczas użyteczny!

Przymus taki byłby użyteczny? Może, ale pytanie, dla kogo użyteczny? Jużciż, pewnie ci, którzy koniecznie przymusu tego chcą i tyle sobie zadają pracy, aby do niego doprowadzić, działają pewnie w widokach jakiejś pożyteczności, ale niech sobie pozwolą powiedzieć, że owa pożyteczność nie koniecznie jest w interesie rodziców, dzieci i społeczności naszej; że owszem przedstawia się ona jako jedna z tych pożyteczności, które się nie dają inaczej osiągać jak tylko ze

szkodą trzeciego—a tym trzecim według naszego zdania są tu wszyscy, prócz obrońców i wychwalaczy szkolnego przymusu. Ci, którzy w ostatnich czasach chcieli we Francji usunąć wszelki udział religii w wychowaniu ludowem, którzy chcieli szkół bezwyznaniowych, występowali także w celach jakiejś pożyteczności, ale ta pożyteczność, im była oczywistszą i pewniejszą w widowiskach rewolucyi kosmopolitycznej, tem się przedstawiała oczywistszą i pewniejszą szkodą dla Francji. My nie wątpimy, że to byłoby arecypożytecznie w widokach stronnictwa *Kraju* i jemu podobnych organów, ale właśnie też dla tego, przymusu się boimy i przymusu nie chcemy. Chciejcie Panowie wziąć na uwagę, że wasze pożyteczności we wszystkich, którzy nie są wami co najmniej muszą rodzić słuszne podejrzenia i uzasadnione obawy.

Nieby też na korzyść przymusu szkolnego u nas nie wpływała pożyteczność, jaką ten przymus w innych krajach przynosi. Bo najprzód z powodu całkiem innego stanu i warunków naszego kraju, wypadłoby nam na szkodę, co mogło innym być na pożytek. Nasz kraj zwłaszcza w ludzie, jest katolickim, nie możecie więc Panowie chcieć, aby sobie miał za korzyść to, co korzyścią swoją mienią społeczności niekatolickie, u których rządy stanowią o religii, jak n. p. w krajach protestanckich i schyzmatyckich. Przymusowe uczęszczanie do szkoły urządzonej w myśl tych rządów, zasłania rządzone przez nie społeczeństwa od wpływu katolicyzmu, umiającego z każdej wolności godziwej korzystać: szkoły takie są tam warunkami religii i kościołów rządowych, politycznych, państwowych, narodowych i t. p. lecz aby u nas były dla naszej społeczności katolickiej pożyteczne, trzeba by wprzód restytuować religii katolickiej godność i prawa panującej, i trzeba by wprzód opatrzyć tę społeczność rządem prawdziwie katolickim.

Nawet pożyteczność przymusowego wychowywania ludu w innych krajach katolickich, nie koniecznie przemawia za takim przymusem u nas. Bo może w tych innych krajach, w skutek dawno zastosowanego prawa o wolności nauczania istnieją już w dostatecznej liczbie szkoły prywatne, tak po miastach jak i po wsiach — a mianowicie istnieją tam szkoły prywatne katolickie, kierowane przez kongregacye duchowne, przez duchowieństwo parafialne, przez biskupów. W Belgii naprzykład każdy biskup w swej dyecezyi ma gimnazya i szkoły ludowe, tymczasem u nas ani jeszcze o tem dla ludu wiejskiego pomyślano — w miastach zaś zakłady naukowe prywatne, ledwie się zaczynają rozwijać. W skutek tej różnicy, gdy przymus w innych krajach katolickich, napędzałby z pewnością do szkół prywatnych (bezpłatnych zwłaszcza) już istniejących, a tylko rodzice niekoniecznie dbający o wychowanie katolickie, lub też nie mający pod tym względem żadnych obaw, posyłałby zniewoleni przymusem do szkoły publicznej, to tymczasem u nas przymus ten zniewalałby rodziców katolickich bez żadnej alternatywy, bez żadnej wolności wyboru, do koniecznego dostarczania swych dzieci szkole publicznej, jak skoro ci rodzice nie mieliby żadnego sposobu, aby inaczej dzieci swoje

wychowywać, to jest, żeby je posyłać do szkoły prywatnej, skoro szkoły takiej wcale niema.

Panowie żartujecie sobie z ludu, twierdząc, że przymus przez was żądany nie krepowałby wolności rodzicielskiej, gdyż zostawiałby im wolność posyłania dzieci do szkół prywatnych. Żartujecie sobie z ludu podobnie jakby sobie z was zażartowano, gdyby w razie braku wszelkiej innej szkoły, zechciano was przymuszać, abyście oddawali dzieci do szkoły jedynie istniejącej, a waszym zasadam wprost przeciwniej, — i twierdزونoby tak z wami postępując, żeście wolnymi w tej mierze, bo możecie posyłać dzieci do szkoły, której niema, a do szkoły wam przeciwniej o tyle tylko posyłać dzieci swoje musicie, o ile do onej szkoły, której niema, dzieci nie posylacie.

Wystawcie sobie, że jesteście naprzykład lutrami, schyzmatykami albo żydami i że należycie do ludności państwa kościelnego, w którymby nie było żadnych innych szkół, krom katolickich — że w tem państwie postanowiono prawo, mające was przymuszać do dostarczania dzieci waszych owym szkołom, i że obrońcy takiej instytucji twierdzą, że mimo onego prawa jesteście wolnymi, bo tylko w tym razie musicie dzieci posyłać do szkoły publicznej, jeżeli ich nie pošlecie do odpowiedniej waszym życzeniom szkoły prywatnej. Czybyście istotnie tego nie nazwali krwawem z was żartowaniem? Czybyście nie korzystali ze sposobności do wygadywania na rządy papieżkie z okazji podobnego prawa i podobnego postępowania?

Byłoby pożytecznie przymuszać dla tego, że gdzieindziej jest pożytecznie. Tak twierdzicie zapomniawszy, że w tym samym numerze katolików z przekonania (czyli po waszemu ultramontanów) przezywacie czarnymi internacjonalistami, dla tego, że oni podług waszego sądu, bez względu na warunki i potrzebyswego własnego kraju — na wszystko mają jedną kosmopolityczną miarę. Ależ moi panowie, ultramontanie właśnie dla tego są, jak byli, przeciwko przymusowi szkolnemu, że się słusznie obawiają, aby jad socjalizmu czerwonych i zielonych, czy czerwono-zielonych internacjonalów nie został wszczepiony w serca i krew dzieci polskich. Ultramontanie właśnie dla tego całą siłą swych przekonań i swych racyi walczą przeciw przymusowi, że w nim czują jednego z prekursorów socjalnego kosmopolityzmu, który bez względu na różne od innych potrzeby i warunki polskiego ludu, chce dla niego szkół przymusowych, ponieważ szkoły takie są pożyteczne u innych.

My katolicy, w obec zrobionego nam zarzutu jakiejś spółki z internacjonalami czerwonymi, bronić się nie potrzebujemy, broni nas bowiem własne nasze stanowisko, zawsze narodowe tam, gdzie idzie o rzecz naszej społeczności, bo nas samo to nawet broni, że owa denuncyacja przeciwko nam, natchnioną wam została przez organ pan-germański księcia Bismarka. — Ale wam panowie z okazji przymusu szkolnego czujemy się upoważnieni powtarzać, że jakkolwiek zdaniem waszem mielibyśmy przedstawiać z internacjonalami czerwonymi jakieś podobieństwo, to się przecież tą denuncyacją nie przerazimy i pozwalając wam należyć do internacjonalu nihilistów, czyli czerwono-

zielonych, stać będziemy uporczywie przeciw przymusowi w wychowaniu naszego ludu, choćby je taki *Kraj* sto razy jeszcze silniej popierał i bronił, niż umiał dotąd, i choćby tenże *Kraj* odgrążający się Czechom (nr. z 10 Listop.), że gotów się przeciwko nim z wszystkimi djablami sprzymierzyć, kiedy ich znajdzie z Moskwą, miał się przeciwko nam sprzymierzyć z Niemcami i z Moskalami, skoro nas znajdzie ultramontanami.

Przymus byłby pożyteczny, choćby szkoły były źle urządzone. — tak panowie mówicie, i cztery razy to powtarzacie w kilkunastowerszym ustępie waszej apologii przymusu (nr. 256 *Kraju*) — w tym samym nr. gdzieście waszą spółkę z Bismarkowem knechtami w robocie podszezuwania przeciw katolikom zapisali. — I to bardzo naturalne, bo Bismark to dzisiejszy Machiawel — a Machiawel dzisiejszy czy wczorajszy, to człowiek, w oczach którego religia, naród, wolność, patriotyzm, historia i wszelkie prawa nie wyłączając nawet praw natury, tyle mają wartości i znaczenia ile, się dadzą użyć za sprzężyny pożyteczne dla postawionej przezeń myśli politycznej — o ile zaś tej myśli się sprzeciwiają, mają być tym samem uważane jako niebezpieczne, złe i nawet zbrodnicze.

O Machiawelu XVI wieku napisano: „*Machiavel ayant remplacé l'Évangile dans la politique et dans tout ce qui s'y rattache, l'utile a emporté sur le juste.*“

Jeżeli do tego stopnia pożytkiem nie zaś prawdą i sprawiedliwością mają być wszystkie sprawy społeczne mierzone, że nawet przymuszać można do niedobrego, dla tego, że jest pożyteczne — to niechże ci, którzy tego chcą, przestaną świat durzyć frazesami o religijności i o moralności — i niech, zamiast hypokryzję swą posuwać do uzbrajania świata przeciw katolikom z powodu wyszpiegowanego niby w ich działaniu socjalizmu i internacjonalizmu, przyznają się raczej, że sami są socjalistami i to nieczystej krwi.

Autor rozprawy Krajowej tem dalszym jest od podobnego wyznania, im goręcej za przymusem szkolnym obstaje, właśnie z powodu moralności, z powodu prawa natury i wolności. Co do racji moralności — jest ona repetycją owego porównania, którem korespondent krakowski do Dziennika poznańskiego wojował wyłącznie w obronie wniosku o przymusie szkolnym. Polega ona cała na zestawieniu prawa natury obowiązującego rodziców dostarczać dzieciom pokarmu, aby z głodu nie pomarły, z prawem przymuszającym dostarczania szkole publicznej swych dzieci — oraz na zestawienie zbrodni dzieciobójstwa fizycznego przez zagłodzenie, ze zbrodnią dzieciobójstwa moralnego przez nieposyłanie do szkoły publicznej. Rozumowanie autora rozprawy *Krajowej* o tyle się tylko różni od rozumowania korespondenta do *Dzienia*. Pozn. że gdy ten drugi rozumuje na drodze porównania, to autor rozprawy chce ściśle dowodzić. Wziął on widać na uwagę, że krakowskiemu korespondentowi *Dziennika* Poznańskiego, przypomniano, iż komparacya, choćby najlepsza, nie jest jeszcze racją — więc

komporacyę zamienil na racyę. i o dzieciobójstwie moralnem przez nieposyłanie do szkoły publicznej, tak mówi, że gdyby wypadalo słowa jego brać na serjo, musielibyśmy przypuścić, iż lud nasz polski daleko jest dzikszym i okrutniejszym, niż najdziksi ludożercy — że to jest lud dzieciobójców, którego zbrodnicznym instynktom trzeba polożyć tamę przez prawo o przymusie szkolnym.

Autor rozprawy *Krajowej* przyznaje, że uzasadnienie (sic) przymusu szkolnego, wyciągnięte z porównania dzieciobójstwa fizycznego z dzieciobójstwem moralnem, może być uważane za mniej ścisłe i za daleko idące, niemniej jednak dlatego twierdzi on, kilka wierszy wyżej, iż owo uzasadnienie (mogące być uważane za mniej ścisłe i za daleko idące), ma za sobą całą słuszność. „Z zupełną słusnością powiedzieć nawet można (są słowa jego), że ustawa polecająca, aby rodzice, którzy nie zapewniają swoim dzieciom nauki w domu lub w zakładzie prywatnym przez siebie dowolnie obranym, posyłali je do szkoły publicznej bezpłatnie (jako bezpłatnie, jeżeli gmina ma utrzymać szkołę lub powiat?) jest rzeczywiście ustawą niedozwalającą, aby dzieci były zabijane moralnie i umysłowo.“

Mniejsza już o ten niesłychany galamatias w rozumowaniu nibyto ścisłem, skutkiem którego czytamy w dziewięciu wierszach, że ustawa polecająca jest to ustawa niedozwalająca — że owa ustawa jest taką w jednej i tej samej sprawie, względnie jednych i tychże samych osób (boć rodzicom poleca i rodzicom niedozwala). Mniejsza o niestósowność w wyrażeniach, gdyż o ile wiemy, ustawa ani poleca, ani nie dozwala, lecz obowiązuje. — Wszakże co przechodzi wszelką miarę nieloiczności, to racya wynaleziona na umocnienie owego (jak je zowie autor rozprawy) uzasadnienia.

Racya ta jest następująca: „Wprawdzie ustawy pogańskie, między innymi niegdyś rzymskie a dziś chińskie pozwalały ojcu zabijać swoje dzieci, lecz prawo chrześcijańskie zabrania tego, chociaż szanuje władzę rodzicielską i uczy dzieci obowiązków względem rodziców a rodziców względem dzieci.

„Prawo chrześcijańskie zabrania rodzicom zabijać dzieci, chociaż rodziców uczy obowiązków względem dzieci.“

To „chociaż“ dowodzi nie pierwszy raz w *Kraju*, jak dalece liberalizm opanował w głowach swych zwolenników wszystkie stanowiska, nie wyjmując logiki i gramatyki. Mimo tego, zawsze on nas bije w imię inteligencji!

Więc to taka racya? Taka, innej nie ma. Zastanówmy się nad nią. Ustawy pogańskie pozwalały ojcu zabijać dzieci fizycznie (bo jużci przecie na zabijanie moralne owe ustawy nie dały pozwolenia); lecz prawo chrześcijańskie zabrania tego, to jest zabijania fizycznego własnych dzieci, chociaż tych rodziców uczy obowiązków względem dzieci. A więc cóż z tego? Z tego wypływa według logiki autora rozprawy *Krajowej*, że rodzice powinni być przymuszani do dostarczania swoich dzieci szkole publicznej, choćby ta szkoła była niedobrze, czyli źle urządzona, choćby ci rodzice bali się owej szkoły dla dzieci, jako za bójczej moralnie.

Nam ciemnym, średniowiecznym, zacofanym ultramontanom zdawałoby się owszem, że ponieważ same nawet ustawy pogańskie pozwalające ojcu zabijać dzieci fizycznie, nie dawały tego pozwolenia na zabijanie moralne; ponieważ dalej, ustawy chrześcijańskie daleko srożej piętnują zbrodnię morderstwa moralnego niż fizycznego; ponieważ owszem, ustawy te chrześcijańskie zgodnie z prawem natury wkładają na rodziców obowiązek czuwania i zapobiegania wszelkim zamachom śmierci moralnej, grożącej ich dzieciom, ponieważ dalej ustawy chrześcijańskie śmierć moralną dzieci widzą szczególnie w zrujnowaniu lub sfalszowaniu zasad i uczeń religijnych, ponieważ ruiny takiej według owych ustaw dokonywują złe wpływy i zgorzenia (nie zaś nieposyłanie choćby do najlepszej szkoły), a wpływów takich i zgorzeń rodzice najbardziej obawiać się powinni ze strony szkoły nietylko wyjętej z pod dozoru kościoła, ale może nawet bezwyznaniowej ze względu na katolicyzm, a tem bardziej wyznaniowej na rzecz doktryn antireligijnych, na rzecz napaści, sztyderstw, potwarzy i obelg bezbożnych tem możebniejszych, im nauczyciel będzie bardziej w duchu liberalizmu „Krajowiczów“, tem niebezpieczniejszych, im uczeń (dziecko chłopskie) mniej będzie zdolny do bronienia w swem sercu skarbu religii, przeto właśnie dla tych powodów, rodzicom powinna być zostawioną zupełna wolność posyłania lub nieposyłania dzieci do szkoły, któraby im pod względem religii nie dawała pełnej rękojmi.

Taką rękojmią jedynie prawdziwą i rozumną dla chłopca katolickiego, byłby tylko nadzór kościoła nad szkołą, ale panowie liberalni, nim zadzwonili na przymus szkolny, dzwoniли pierwej na zniesienie owego nadzoru, i nadzoru tego już nie ma. Ksiądz, którym się jeszcze chcą posługiwać w tym celu, aby chłopcu dać rękojmię, ten ksiądz, gdy władza jego w szkole nie wypływa ściśle ze źródła powagi kościelnej, rekojmii takiej dać nie może, bo gdy władza świecka znajduje to dla siebie dogodnem, postawi w szkole takiego heretyka Wollmana albo takiego wagabundę Kamińskiego, lub którego z takich księży jak owi, którzy lat temu kilka, podali prośbę do namiestnika Berga o zniesienie celibatu, a teraz piszą bezimiennie do dzienników liberalnych. Taki ksiądz nie może dać rękojmi katolikom, a taki ksiądz prędzej czy później przyszedłby z pewnością do szkoły forytowanej przez organa broniące sprawy, tak zwanych starokatolików niemieckich i dzwoniących z całej siły na starokatolicyzm w Polsce!

Dziś księża umocowani do działania kościelnego przez władzę biskupią, są jeszcze pożądanymi w szkołach wiejskich, dzisiaj wobec nauczyciela wiejskiego o stu reńskich i kawalku gruntu, mogą mieć księża jeszcze jakąś powagę, lecz niedługo do szkoły wiejskiej bezpłatnej wejdzie nauczyciel udotowany przez gminę lub powiat jakimi może pięciuset reńskimi, albo i więcej, a przytem pełen pretensyi do uczoności, pełen zachcianek samodzielności, pełen poglądów antyklerykalnych, zawisły bezpośrednio i wyłącznie od nadzoru szkolnego, złożonego z ludzi ultraliberalnych (a konserwatystów może tylko w sprawie propinacyjnej) i — wielką będzie łaska, jeżeli pan taki będzie księdza tolerował w szkole jak piątą kolo u wozu, póki mu nie pokaże... figi..

Moi panowie, musielibyśmy być, waszem nawet zdaniem, nie wiem już jakimi hebesami, gdybyśmy po wszystkich danych nam przez was lekcjach, mogli tego wszystkiego nieprzewidywać. Dajmy więc sobie pokój z waszemi usiłowaniami w celu przekonania nas o potrzebie przymusu szkolnego, jako o warowni mającej zasłaniać dzieci od moralnej śmierci, grożącej im, waszem zdaniem, ze strony rodziców.

Pozwólcie sobie powiedzieć, że waszych obaw o dzieciobójstwo moralne wśród naszego uczciwego, przez kościół wychowanego ludu, nie możemy mieć za co innego, jak tylko za hipokryzję i krzywdę uczynioną najzdrowszej części naszego narodu.

Pozwólcie sobie powiedzieć, że gdy wy dla położenia tamy dzieciobójstwu moralnemu chcecie prawa o przymusie w wychowaniu ludu, to ci wszyscy, którzy nie są wami, dla tego przedewszystkiem nie chcą tego przymusu, że w nim widzą taran wymierzony przeciw moralności wyrosłej z dogmatu katolickiego, moralności niemożliwej bez tego dogmatu.

Wy udajecie, że się boicie moralnego dzieciobójstwa i chcecie przymusu, otóż my wam oświadczamy, że powodowani całą siłą przekonania, boimy się uczynobójstwa moralnego i dlatego najsamprzód waleczymy przeciw przymusowi.

To obawa. A teraz nie obawa już złego, ale samo złe, które idzie nieodłącznie z waszym przymusem szkolnym, to jest tyrania najcięższa i najniebezpieczniejsza dla społeczeństwa, jaką jest tyrania depcząca wolność rodziny i targająca się na prawa rodziców względem dziecka, na prawa będące podstawą wszelkich praw społecznych i samej społeczności, tyrania zasłaniająca się obłudnie gorliwością o prawa dziecka, jakoby o prawa drugiego człowieka (!) zagrożone przez samowolę, jak mówicie, i przez swawolę rodziców.

Tej tyranii nie tak nie wyświeca jak własny wasz argument tak zwany zasadniczy, jedyny, na jakiście się zdobyć dotąd umieli — argument oparty niby na zasadzie, że „ustawa przymuszająca samowolność do szanowania praw drugiego człowieka zabezpiecza każdemu wykonanie praw mu służących.“

W taki to sposób rozumuje tutaj dla utrwalenia najobrzydliwszej tyranii, owa inteligencya liberalna, miotająca się wiecznie na sofistykę średniowieczną!

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNO - LITERACKIE.

Biblia królowej Zofii, żony Jagielly, z kodeksu Szarospatackiego. — Nakładem księcia Jerzego Henryka Lubomirskiego, wydana przez Ant. Małeckiego. We Lwowie, w drukarni Zakładu narod. imienia Ossolińskich, 1871. W 4ce, str. I przedmowy, 394 tekstu i 7 podobizn.

Pod tym tytułem pojawił się właśnie w handlu księgarskim jeden z najdawniejszych dotychczas znanych pomników starożytnej polszczyzny, który już był przedmiotem wielu sporów literackich i dawał powód do najrozmaitszych przypuszczeń. W XVII w. wzmiankowali o nim nawiasowo w pismach swoich: Szymon Teofil Turnowski, Marcin Graet (Gratianus), zebrani na synodzie w Orli r. 1644 akatolicy, i Andrzej Węgierski, a od połowy XVIII w. pisali o nim dłużej lub krócej, ale zawsze niedokładnie: Tschepius, Ringeltaube Friese, Kosicki, Niemcewicz, Hanka, Wiszniewski, Maciejowski, Bezimienny w Pamiętniku rel. moralnym na r. 1849, i inni. Przyczyną wszelkich niedokładności była właśnie okoliczność, że żaden z piszących lub wzmiankujących o Biblii, znajdującą się w Szarospataku we Węgrzech, nie oglądał jej naocznie, ale każdy wszystko, co o niej pisał, budował więcej na luźnych, tu i ówdzie pochwytych wiadomościach, lub co gorsza, na własnych przypuszczeniach i domysłach. Nieporozumienia i niedokładności do tego stopnia doszły były, że nawet objętość tego pomnika podawano mylnie na 185 stronic, a zarazem utrzymywano, że został on zabrany z Polski przez Rakocego i darowany bibliotece w Szarospataku w latach 1648—1652, podczas gdy najazd Rakocego na Polskę układał się i przyszedł do skutku dopiero w r. 1656^{6/7}.

Wydanie, o którym mowa, zasługuje na wszelkie uznanie każdego miłośnika zabytków przeszłości naszej; jest ono, jak żadna publikacja dzisiejsza, wykńczone zupełnie pod każdym względem, tak wewnątrz jak zewnątrz, a zawdzięczamy je wspólnym usiłowaniom dwóch znakomitych mężów, których nam każdy naród pozazdrościć może: księciu Jerzemu Henrykowi Lubomirskiemu, kuratorowi dziedzicznemu Zakładu Ossolińskich, i jego zastępcy w kuratorii, znanemu tak szacownie drowi Antoniemu Małeckiemu, prof. języka i literatury polskiej przy Uniwersytecie lwowskim, — pierwszy łożył koszt na tę publikację, drugi dał pracę swoją, a obydwaj nie szczędzili starania i trudu, ażeby publikacja w rzeczy samej była pomnikową i odpowiadała wszelkim warunkom i wymaganiom. Inaczej też zupełnie przedstawia nam się teraz po gruntownych badaniach prof. Małeckiego tak stan obecny tego zabytku jak i historia jego:

Kodex szarospatacki w dużym arkuszowym formacie, pisany na pergaminie w dwóch kolumnach, liczy obecnie jeszcze 185 kart, nie stronnic, jest więc dwa razy tak obszerny, jak to dotychczas mniemano. Mimo to jest on mocno już zdefektowany, gdyż objętość jego pierwotna wynosić mogła według zestawień zasłużonego wydawcy prawdopodobnie 470 kart. Uronionych zatem i zniszczonych z czasem, i to już po XVI w., zostało kart 285, z których dwie tylko odszukał w naszym czasie poeta niemiecki Hoffmann von Fallersleben we Wrocławiu, a dwie inne W. A. Maciejowski w Królewcu. W zdefektowanym tym stanie obejmuje on jeszcze następujące księgi ze Starego Testamentu:

Genesis, Exodus, Leviticus, Numeri, Deuteronomium, Jozue, Sędziowie, Rut, Królewskie I, III, IV, Paralipomenon I, II, Ezdrasz I, Nebemiasz II (III), Tobiasz, Judith, i Daniel, — niektóre naturalnie już tylko w większych lub krótszych urywkach. Co się tyczy pisma samego, nie jest ono jednej ręki — charakter zmienia się w pięciu różnych miejscach; przepisywało więc Biblią tę pięciu różnych pisarzy, ale nie równocześnie. Tłómaczów rozróżnia wydawca także kilku, a zestawivszy ich przekłady ze sobą, doszedł do tego rezultatu, że pod względem inteligencji i wprawy autorskiej ma się tłómacz końca tej Biblii w takim mniej więcej stosunku do tłómacza lub tłómaczów początkowych jej części, jak n. p. Górnicki do Jana bakałarza z Koszyczek, albo jak Skarga do Baltazara Opecia. Tłómaczem końca był ks. Andrzej z Jaszowiec a przepisującym Piotr z Radoszyc, którzy pracy tej dokonali na rozkaz królowej Zofii w r. 1455 w mieście Nowym Korczynie. Wykończoną wszakże całkowicie nie została Biblia w tym czasie i wykończenia takiego nie doczekała się już nigdy gdyż w wielu miejscach niema jeszcze dotychczas domalowanych inicjałów, a małatura na pierwszej stronie, której przepyszna podobizna, dodana do niniejszego wydania, stanowi nie małą jego ozdobę, mogła być uskutecznioną dopiero po r. 1508, o czem świadczą Orzeł i Pogoń u dołu, które nie są zwyčajnymi miniaturami od ręki, ale drzeworyty, wykrojone z jednej z ksiąg drukowanych w oficynie Hallera między r. 1508—1512, nalepione na pergamin i potem dopiero farbami pociągnięte.

Okoliczność, że kodex ten przepisywało pięciu pisarzy a tłómaczyli w znacznym odstepie czasu różni autorowie, spowodowała dra Mateckiego do orzeczenia, że Biblią tę zaczęto tłómaczyć i przepisywać jeszcze dla królowej Jadwigi, a zatem przed r. 1399, z czem się właśnie godzi niejasne podanie Długosza, jakoby już ta królowa miała i czytywała Pismo św. z łaciny na język polski przełożone. Ponieważ wszakże przekład dokonany i przepisany został dopiero w r. 1455 na rozkaz Zofii, przeto nazwał wydawca cały ten pomnik „Biblią królowej Zofii“. Dalsze zaś losy jego oznaczył w sposób następujący, opierając wszystko na danych historycznych lub przypuszczeniach, przeciwko którym nie się powiedzieć nie da:

Po śmierci Zofii, zmarłej r. 1455, przeszła Biblia w posiadanie Elżbiety, arcyksiężniczki rakuskiej, żony Kazimierza Jagiellończyka, i stała się tym sposobem niejako własnością i pamiątką familijną królewskiego dworu. Od r. 1518 była w jej posiadaniu Bona, zaślubiona w tym roku Zygmuntowi Staremu; zostawał też kodex w jej rękach do r. 1556. Dobra Bona, wyjeżdżając w tym roku z Polski, ogołociła zamek królewski ze wszelkich kosztowności, pozabierała ze sobą znaczniejsze pamiątki rodzinne a między innymi i naszą Biblią. Nie miała też na razie nic spieszniejszego do roboty (a może też uczynił to jaki jej wierny dworzaniin), jak odprzedać ją rodakowi jakiemuś, kupczącemu takimi szpargałami. Tym sposobem przeszedł kodex Zofii najprzód w posiadanie drukarza krakowskiego Mikołaja Scharffenbergera, od którego potem nabył go Jan Krotoski, możny Wielkopoleńin z sekty Braci czeskich, oprawił go i kazał na zewnętrznej stronie tekturki wycisnąć r. 1562, litery J. C., t. j. Joannes Crotoscius, i herb swój Leszczyc. Własnością Krotoskich domu była odtąd Biblia przez jakich lat 70. Świadczą o tem, nazywając po imieniu jej posiadaczy, piszący w r. 1604 Turnowski i piszący w lat kilkanaście później (r. 1617) Graet, który nawet dodał: „*quod bibliorum exemplar manuscriptum*

hactenus in domo Mag. et Gen. Dominorum Krotosciorum de Krotossyn studiose asserratur“. Ostatni z Krotoskich po mieczu, Jędrzej kasztelan Kaliski, umierając około r. 1630, przekazał ją na własność biblioteki Braci czeskich w Ostrogu, skąd razem z biblioteką przeniesioną została zrazu do Obrzycka, potem do Skoków, a nareszcie do Leszna, gdzie przy tamtejszej szkole znalazła pomieszczenie. Stało się to ostatecznie około r. 1640. Nie długo wszakże zostawała tutaj; gdy bowiem rektor szkoły leszneńskiej Amos Komeniusz, w r. 1650 powołany został przez Zuzannę, wdowę po Jerzym I Rakocym, do Szarospataku we Węgrzech, celem zreformowania tamtejszej szkoły, i tam się udał, zabrał ze sobą do tego miasta i naszą Biblię, a opuszczając Szarospatak w r. 1654, zostawił ją tam jużto Rakocym, już bezpośrednio szkole, przy której był profesorem.

Tak nam wyjaśnił w przedmowie obszernej prof. Małecki początek i historią tego ważnego pod każdym względem zabytku, a zarazem wskazał drogę, jaką ta niegdyś rodzinna pamiątka Jagiellonów dostała się do Szarospataku i mniej więcej od r. 1650 dzieliła i dzieli losy szkoły i biblioteki tamtejszej. Wszystko to wydobył na jaw uczony wydawca po wielu skrzętnych i mozolnych poszukiwaniach i po zestawieniu najrozmaitszych wzmianek i uwag luźnych, rozrzuconych po różnej treści dziełach i pismach XVI, XVII i XVIII w. Niemniej wszakże ważnem jest i drugie odkrycie jego, o którym się z przedmowy dowiadujemy. Dr. Małecki stwierdził najprzód uczynioną przez Hanke uwagę, że kodex szarospatacki jest tylko spolonizowaniem albo raczej przekładem z czeskiego tłumaczenia Pisma św., które w rękopiśmie pod nazwą Leskowieckiego kodexu znachodzi się w bibliotece królewskiej w Dreźnie. A porównując przytem Biblią szarospatacką ze wszystkimi tłumaczeniami Pisma św., jakie tylko w języku polskim mamy, zrobił to ciekawe i nader ważne spostrzeżenie, że tak zwana Biblia ks. Jana Leopolda, o której w naszym czasie tyle już pisano, nie jest niczem innem, jak tylko zmodernizowaniem niejako i poprawieniem kodexu Zofii, o tyle tylko różniącym się od zmodernizowania i poprawienia w takich razach zwykłego, że ks. Leopolda stylizacyi kodexu szarospatackiego nie trzymał się wszędzie niewolniczo i bezwzględnie, ale miał w ciągu pracy zawsze przed sobą Wulgatę łacińską i z jej textem ciągle się liczył. W rzeczy samej podobieństwo między przekładem ks. Leopolda a Biblią królowej Zofii jest tak uderzającym i stanowczem, że odkrycie dra Małeckiego nie może ulegać najmniejszej wątpliwości, a wszelkie dotychczas w braku właściwych podstaw robione przypuszczenia, jakoby tłumaczem Biblii, znanej pod nazwą Leopolda, był Dominikan O. Leonard, a ks. Leopolda tylko ją poprawiał, należy uważać za chybione; — tłumaczenie Pisma św., o którym wydawca Biblii Leopolda, drukarz Mikołaj Scharffenberger, wspomina, że mu „do ręki przyszło i że je ks. Leopoldie poprawić dał“, było właśnie kodexem Zofii, który Scharffenberg nabył po wyjeździe Bony z Polski r. 1556, a który po ogłoszeniu drukiem pracy ks. Leopolda w r. 1561 przeszedł z rąk drukarza krakowskiego w posiadanie możnego Wielkopolanina Jana Krotoskiego.

Niemniej ważne bardzo i pouczające są wreszcie uwagi prof. Małeckiego nad językiem i innymi właściwościami charakterystycznymi tego zabytku, z którego teraz oddający się wyłącznie i specjalnie badaniom polszczyzny starej, będą mogli korzystać do woli i czerpać jakby z nieprzebranej jakiej kopalni;

niepospolitym bowiem jest on co do objętości swojej i zajmuje pod tym względem pierwsze miejsce w szeregu pomników naszych językowych, między którymi znowu co do starożytności ustępuje miejsca tylko starszemu od siebie Psalterzowi św. floryańskiemu, wydanemu przed laty przez Stanisława Dunina Borkowskiego pod niewłaściwym tytułem Psalterza królowej Małgorzaty. Przydany na końcu na 9 stronicach spis słów w tej Biblii znachodzących się, których teraz albo wcale nie używamy, albo w innym znaczeniu, ułatwi bardzo badania podobne. Sprawozdanie też nasze niniejsze o Biblii królowej Zofii wypada nam zakończyć wynurzeniem jeszcze raz wdzięczności tak nakładcy księciu Lubomirskiemu, jak wydawcy drowi Małeckiemu za tak znakomity dar, którym się literaturze polskiej przysłużyli, a zarazem wyrazić życzenie, ażeby Biblia ta, wydana pod każdym względem wzorowo i umiejętnie, a bezprzykładną jak na dzisiejszy czasy taniością swoją przystępna dla każdego, znalazła się jak najprędzej w rękach każdego miłośnika zabytków przeszłości naszej.

* *

Korespondencye „Przeglądu“.

Poznań, 9 grudnia 1871 r.

Kampania parlamentarna sesji sejmku Rzeszy niemieckiej, bardzo świetnie przez reprezentacyą naszą zakończoną została. Głosy posła Niegolewskiego przy prawie wyjątkowem przeciw duchowieństwu, posła Krzyżanowskiego przy budźcie, nie tylko, że najdokładniej zaznaczyły stanowisko nasze, ale były niezawodnie z najlepszych przemówień mianych na tym sejmie. Poseł Niegolewski przy prawie przeciw duchowieństwu, zaznaczył stanowisko katolickie reprezentacyi naszej, poseł Krzyżanowski polskie — a te dwa charaktery koniecznemi, by reprezentacya nasza, była rzeczywiście polską.

W chwili podobnej przykro jest spór rozpoczynać — czego jednak uniknąć nie możemy.

Dziennik Poznański w dwóch korespondencyach donosi, że posłowie nasi obradowali jeszcze w materji petycyi, podpisywanej w kraju, za niezależnością papieżstwa, i że oświadczyli się przeciw jej wniesieniu z powodu zajęcia tylko stanowiska odpornego. Że *Dziennik* tego pragnął, nie dziwujemy się, będąc zacietrzewionym najzupełniej przeciw każdemu objawowi katolickiemu — ale co do posłów, jeżeli uchwała ich taką była — popelnili największą a bolesną niekonsekwencyą — kilka dni bowiem przed zauknięciem sejmku, przy prawie tak zwanem rajonowem, fortecznie, przemawiał poseł Niegolewski — w imieniu koła polskiego stawiał wnioski i bardzo słuszne; powiedział w swej mowie, że popiera petycye nawet mniejszości, to jest Niemców i żydów poznańskich, którzy przeciw niemu głosowali — a więc, mniejszość niemiecko-żydowska, co ja słusznie uznaję, znalazła poparcie w kwestyi wyłącznie materialnej, bo chodziło o wynagrodzenie za grunta fortecą objęte — a większość wyborców naszych ma nie znaleźć poparcia w swych wybrańcach, w swych posłach, dla tego, że chodzi o Kościół, o papieżstwo! Niekonsekwencya ze strony reprezentacyi naszej, byłaby tak krzycząca, że pozwalamy sobie powątpiewać o prawdziwości referatu *Dziennika Poznańskiego* — niepodo-

bnem bowiem, by głos kilkuset Niemców i żydów więcej ważył i to w kwestyi pieniężnej u posłów naszych, jak głos kilkunastu tysięcy współrodaków — w kwestyi żywotnej, w kwestyi wiary.

Przy tej sposobności, jeszcze jedna uwaga a raczej protest wyraźny. *Dziennik Poznański* mówiąc o mowie posła Niegolewskiego w swym przeglądzie — o mowie w kwestyi prawa przeciw duchownym, wyraził się, że poseł ten zajął to samo stanowisko co *Dziennik* w swym artykule wstępnym — otóż to fałszem zupełnym. Poseł Niegolewski mówił jako poseł polski ze stanowiska katolickiego*), artykuł zaś *Dziennika* zajmował stanowisko Miguelów, Laskierów, liberałów niemieckich, którzy także przeciw temu prawu głosowali.

Dr. S.

K r o n i k a.

Wszystko pójdzie dobrze jak tylko dwie dawne upadną potęgi, — władza doczesna Papieża i starożytna monarchia Habsburgów. *Tout ira bien lorsque ces deux patriarches auront croulé* — mówił przed dziesięcioma laty ukoronowany karbonar. Pragnienia jego spełnione. Napoleon-Cezar upadł, ale Napoleon-karbonar rządzi dzisiaj całą Europą. Trzy przedewszystkiem państwa spełniają jego plany z matematyczną ścisłością. Prusy po zawarciu ścisłego z państwem Włoskiem sojuszu wypowiedziały otwartą Kościołowi wojnę. Dla nałożenia silniejszych Mu jeszcze kajdan po odegraniu z Austryją, pełnej zdrady, kokieteryjnej roli, wracają w objęcia godnej siebie dróżki — Rosyi! Rozbankietowana herezyja ze schyzmą, wśród obfitych libacyi, obydwie tą razą otwarcie wygadały swoje główne zamiary. Raz na zawsze, chciałyby Katolicki nasz Kościół zaśmiercić. My tedy katolicy pierwsze w ich planach zajmujemy miejsce. Razy, poprzedzić należało pogróżką i potwarzą. Z tego zadania wywiązują się Birze wyje Wiedomości. „Żywioly wywrotu, ciemne partye, (odzywają się tutaj o nas katolikach) które patrzą na obecne stosunki, jak na początek końca nieomylnego Papieża i dla tego zawierają przymierze z namiętnościami, z rewolucją i toczą układy z internationalem, pojmują że słowa cesarza rossyjskiego (wypowiedziane na uczcie danej pruskiemu żołnierstwu) zawierają w sobie rozkaz dla nich powstrzymania się, rozkaz o tyle potężny, że będą zmuszone zaprzestać swej przestępnej działalności.

Katolicy — oddawna na wszystko jesteśmy przygotowani, groźby nas nie ustraszą ani z naszego stanowiska zepchnąć nie zdołają, chociażby równocześnie zostały poparte kolosalnemi potwarzami i najsroższem prześladowaniem. My, to wszystko znieść i w końcu pokonać zdołamy, ale biada ludziom Kościołowi nieprzyjaźnym, bo i oni wraz z nami we krwi własnej splużyć się będą musieli, na to tylko, aby dla siebie znaleźć zatrąę, a wolność narodów na tem większy szwank wystawić! Walcząc przeciwko kościołowi, sami od ciosu prześladowców kościoła polegą. Jest to bowiem prawdą dziejową, że ilekroć papieży byli albo wypędzani z Rzymu, albo więzieni lub prześladowani — tylekroć cała Europa znajdowała się w ogniu — brutalna siła nakładala ludom pęta, i w toniach ich krwi własnej kąpiel im sprawiała. Dzisiaj po upadku Francyi, osłabieniu Austrii,

*) Całą tę mowę podajemy w kronice. (Przyp. Red.)

kto wie czy nie gorszą jeszcze od komnuny paryzkiej przejść będą musiały ludy katastrofę? Pamiętajmy że papież więźniem w Watykanie!

Wspominaliśmy w przeszłym poszycie o mowie Wiktora Emanuela, jaką zainaugurował otwarcie parlamentu. Biedny król!—zaledwie ją wypowiedział, czemprędzej wyniósł się z Wiecznego miasta. . . . Bezbronna postać skrzywdzonego Starca, niepokoi widocznie jego sumienie, kiedy jak oparzony ucieka z miejsca, w którym wychylił niemal że nie do dna czarę swoich niegodziwości. Samo wreszcie zachowanie się Rzymian, zmusza go niejako aby unikał rozgaszczania się w zagrabionem mieście. W chwili bowiem, kiedy w posuwistych landarach jechał on do pałacu na Monte-Citorio, wszystkie sale Watykanu napelniały się tłumami Rzymian. Dzienniki podały nam mianą do nich przez Ojca Śgo mowę. Wyraziwszy im, mówi *Osservatore Romano*¹⁾, wdzięczność swą za uczucia przywiązania i czi jakie mu składano, Ojciec Śty zaczął mówić o ciągłych prześladowaniach Kościoła, po których zawsze następują świetne tryumfy. Od Golgoty zaczawszy, gdzie Chrystus był przybity do krzyża dla zbawienia świata, od dnia tego, łaska rozpoczynała swoje dzieło, i wielu z tych, którzy wstępując na górę bluźnili Bogu-człowiekowi, zstępowali z niej z sercem ściśnionem, wyznając Jego imię.

Przez trzy wieki następne Kościół gnębiony przez prześladowców, tyranizowany przez despotów, tryumfował przez krew milionów swych męczenników, przez stałość swych wyznawców.

Następnie napastowany przez herezye tryumfował rozlewając wszędzie światło wiedzy i cywilizacyi. Mówiąc o nieszczęsnym czasie, w których żyjemy, stwierdzam, że dziś prześladowanie jest gwałtowne i zupełne. Dziś nie wypowiedają wojny jednej części Kościoła, ale całemu Kościołowi. Dziś mamy do walczenia nie z herezjami, które nie istnieją, albo nie mają żadnej ważności, ale z indyferentyzmem, z bezbożnością, która sili się wyrwać wiarę z serc wszystkich katolików, która dąży do stracenia kościoła Jezusa Chrystusa z jego podstaw.

Ale Kościół Jezusa Chrystusa wsparty na opoce nie runie pod nawałnością burzy. On się wspiera na potędze słowa boskiego: „bramy piekieł nie przemożą.“

Ojciec Św. mówił następnie o ruchu katolickim, który ze wszystkich stron pociesza Kościół w tych strasznych chwilach próby; zachęcał obecnych do wzmacniania coraz więcej węzłów świętej jedności, zgody religijnej, która opierając się na paściom doktryn świętokradzkich rewolucyi otrzyma jeszcze jaśniejszą pochodnię wiary i przygotowuje przyszłe tryumfy.

Zelecał Ojciec Św. z takim zapalem tę jedność i tę zgodę, że przebiegł w tej chwili jakby powiew głębokiego wzruszenia przez zgromadzonych.

Kończąc, mówił o tem pojednaniu i konyliacyi, jaką zalecano w dniach ostatnich, aby przez nią złamać najszlachetniejszy opór i rozbroić z świętych praw.

Wtenczas podniósł głos i uroczyście protestował, że nigdy pojednanie nie może nastąpić między Chrystusem a Belialem, między światłem a ciemnością, pomiędzy prawdą a kłamem. Wznosząc oczy i ręce w górę błagał Wszchemocnego, aby utrzymywał siły swego zastępcy w tej ciężkiej walce, wzmacniał swoim poparciem boskiem jego słabość, aby prędzej poniósł ofiarę życia, niż miał ustąpić zamiarom tryumfującego bezprawia.

Ojciec Św. zakończył przemowę wzywając z gorącą miłością błogosławieństwa boskiego na głowy wszystkich swych synów rozproszonych po świecie.

¹⁾ Przekład *Czasu*.

Z Berlina. — O rezultacie głosowania nad wnioskiem Lutza podał był *Czas* następujące szczegóły: „Charakterystycznym było głosowanie imienne przy drugim czytaniu. Pokazało ono, że nie panowała zgoda między stronnictwami, wyjąwszy w centrum, które naturalnie jak jeden mąż głosowało przeciw. Kilku koryfuszów stronnictw liberalnych, jak Lasker, Richter i Hoverbeck, również oświadczyli się przeciw wnioskowi. Konserwatyści także byli rozstrzeleni. Hrabia Moltke, który zawsze z uwagą wyteżoną przysłuchuje się rozprawom, opuścił salę przed głosowaniem. Rozprawy nad tą ustawą toczyły się przez trzy dni, a posiedzenia trwały od 11ej w południe do 6tej wieczorem. Udział publiczności był ogromny. Były to prawdziwe turnieje, w których popisywali się najlepsi mowcy z różnych stronnictw. W imieniu centrum przemawiali: biskup Ketteler, Windhorst, Reichensperger a wreszcie Mallinkrodt. Biskup Ketteler, który może pierwszym jest mowcą w izbie, w słowach pełnych zapału odparł zarzuty zrobione stronnictwu katolickiemu, jakoby było nieprzyjacielem jedności niemieckiej.

Posel bowiem Fischer wyraźnie powiedział, że gdyby panowie z centrum wierzyli, że ta ustawa więcej przyniesie szkody niemieckiemu państwu niż kościołowi, z pewnością nie należeliby do jej przeciwników. Hr. Malzahn (konserwatysta) podał również kilka trafnych argumentów przeciw ustawie, twierdząc, że kodeks karny nie powinien być układanym pod wrażeniem chwilowym walki stronnictw. Kodeks karny powinien przecie stać po nad stronnictwami. Posel Richter, pewnie nie podejrzany o ultramontanizm, napiętnował przedłożenie, mówiąc, że jest ono dziełem reakcyi. Windhorst dowcipnie i sarkastycznie polemizował głównie z bawarskim ministrem Lutzem, patronem wniosku. Wybornie scharakteryzował Windhorst skutki ustawy, czyniąc aluzje do przemowy Lutza: „*Pali się w Bawaryi, chce więc ognia, aby gasić pożar.*“ Bo w istocie prawo to tylko doleje oliwy do ognia, roznamiętni umysły. Polacy znaleźli wymownego i znakomitego rzecznika w osobie Dra. Niegolewskiego. Po tylu już mowach, nie łatwa była ocena, wyszukać nowe argumenta, podać świeże myśli, rzucić nowe światło. Uczynił to jednak wszystko Dr. Niegolewski.

Mowa ta szanownego prezesa koła słuchana z wielkim spokojem, sprawiła niepospolite wrażenie. Członkowie środkowego stronnictwa, z Biskupem Kettelerm na czele, pospieszeli natychmiast powinszować mowcy i podziękować mu zarazem.“

Podajemy ją również in extenso z *Czasu*: „Panowie! Pozwólcie mi pomimo spóźnionej pory przynajmniej kilka słów powiedzieć do scharakteryzowania z naszego stanowiska względem Was tego przedłożenia ustawy. Panowie! przedłożenie to rozbiegano i uzasadniono dotychczas ze stanowiska wyłącznie niemieckiego, a z uwagi na to nie mamy ani prawa ani obowiązku rozbiegać tych wyłącznie niemieckich względów. Pozostawszy atoli wobec nas samych niemyimi świadkami tego przedłożenia ustawy, poświęcilibyśmy przez to najświętsze prawa ludności katolickiej. Przez to przedłożenie bowiem, niech ono się nazywa jak chce — a właściwem je już nazwano imieniem — dotknięto nas nader boleśnie. Przez to przedłożenie mianowicie, narażono nawet nabożeństwo w kościele na ustawiczne niebezpieczeństwo zaburzenia przez szpiegów i wysłańców policyi, — i już dla tego samego oświadczyć się musimy przeciw tej ustawie wyjątkowej. Panowie! wykroczenia sług kościoła i duchownych, ilekroć uznane

były za karygodne, czy je popełnili w kościele czy na kazalnicy, dotychczas były także karane, lecz wystarczało pod tym względem *jus commune*. Przedłożenie to jest więc zbytecznem, i może mieć tylko na celu nie ukaranie ale prześladowanie duchownych i dlatego uważać je trzeba nie tylko za wyłącznie niemieckie, lecz także za wyłącznie bawarskie. Ten gwałtowny środek lekarski, który zastosowano w Bawaryi, ma być także zastosowanym w innych krajach. Lecz reprezentant ministerstwa bawarskiego sam przecież powiedział, że przez to nie osiągnie się wcale zamierzonego celu. Jeżeli przeto żywotność w Bawaryi w ogóle tak bardzo jest zagrożoną, to niechaj Bawarya uwolni nas od tego leku, i niech się przypatrzy, jak się to w inny sposób załatwi w Państwie Niemieckiem. Istnieje Państwo Niemieckie, które przyjmie w siebie Bawaryę.

Przez przedłożenie to, zainaugurowano znowu znaną teorię „czynów zbawczych.“ — mówię to z naciskiem — nie tylko w administracyi, ale nawet w ustawodawstwie. A jeżeli zasada ta raz zostanie przyjętą, wówczas niedługo czekać będzie trzeba na potomstwo, pod którego władzą cierpieć będziemy musieli; imną bowiem jest rzeczą postępować w administracyi według teorii „czynów zbawczych“ a co innego podnieść ją w ustawodawstwie prawnie do znaczenia zasady.

Pan komisarz związkowy chcąc uzasadnić konieczność podniesienia tak zwanego przedłożenia bawarskiego do znaczenia ustawy państwowej, powołał się na teorię pożaru w sąsiednim państwie. Porównanie to jednak jest bardzo chwytliwe, dowódzą tego najlepiej zasady towarzystw ubezpieczeń od ognia, które nie polecają zaraz podczas pożaru niszczyć wszystkich domów sąsiednich, lecz ograniczają się do najbliższych, a co w ogóle znaczyć ma, to powoływanie się na teorię pożaru, to my Polacy wiemy najlepiej. Chciano przez to usprawiedliwić największą zbrodnię, jaką kiedykolwiek popełniono, — podział Polski. Nie pomyślano wówczas o tem, że nie należy wchodzić do domu sąsiada, aby go rabować, mordować i okradać.

Jeżeli zaś jądra rzeczy dopatrzeć się mamy w tem, że teraz rozchodzi się tylko o rozstrzygnięcie, kto jest panem w państwie, rząd czy kościół rzymski, to pod tym względem nie może o to chodzić. Kościół rzymski zastrzega dla siebie tylko swoje terytoryum. O ile zresztą stwierdza historia, to przeciwnie państwo nadużywało bardzo często kościoła do celów politycznych. Jeżeli wreszcie w Bawaryi przyszło tak daleko, że według oświadczenia Komisarza związkowego kler ma być tylko „bliźniakiem jezuityzmu,“ natenczas oczywiście niezadługo spodziewać się możemy, że Bawarya uczyni w państwie wniosek wydalenia duchownych katolickich. (Głosy ho! ho!) Tak jest. Zapowiedziano już przecież zniesienie zakonu Jezuitów. Jeżeli przeto w Bawaryi sami są Jezuiti, wydalenie przeto duchowieństwa katolickiego jest konsekwentnem.

Co się tyczy twierdzenia o popieraniu wniosku, „że katolicyzm zostaje w związku z masami,“ a mianowicie, że posługuje się przy tem pochlebstwem i innymi rozmaitemi zwrotami mowy, to właśnie posel z Meppen wezwał reprezentanta rządu bawarskiego, aby nam złożył dowody zorganizowanego związku z masami. Nie usłyszeliśmy żadnych dowodów. Gdyż rozmowa, rozmowa przypadkowa pana Komisarza rządowego z biskupem Passawskim, który miał powiedzieć, że duchowieństwu nic innego nie pozostanie, jak połączyć się z masami ludu, nie może zaiste posłużyć za inkryminacyę, a tem mniej za dowód związku zorganizowanego. (Bardzo dobrze! ze środka). Nawet sędzia

przesłuchujący świadka, musi go dokładnie pouczyć i powiedzieć mu, w jakim celu i w jakiej sprawie jest przesłuchiwanym, ale nie może prowadzić z świadkiem rozmowy przypadkowej. Ktoż wie, czy biskup nie brał rzeczy żartobliwie, aby może podlechać; do odpowiedzialności nie pociągnięto biskupa za tę rozmowę (śmiech), na seryo przeto nie musiał mówić.

Ów zwrot o dwóch rządach, państwa i kościoła, da się w ogóle zastosować do każdej opozycji. Każda opozycja bowiem, skoro tylko jest zorganizowaną, tworzy antytezę rządu; gdyby chciano pod względem kościelnym i politycznym cierpieć tylko jedno urzędowe usposobienie, należałoby porzucić system reprezentacyjny, wówczas wszyscy powinni by wdziać uniformy urzędowe. Wtedy, panowie, nie będziecie się na to użalali, że także duchowni naganne wypowiadają zdania o przepisach państwa, które przecież nie zawsze są nieomylnymi.

Jeżeli wykazano wielki wpływ duchowieństwa na lud, zapomniano o tem, że również wielki wpływ wywierają na masy właściciele wielkich posiadłości i właściciele fabryk (słusznie! ze środka). Szczególniej jednak największy wpływ wywiera na masy — kto? urzędnicy! — a ja sam panowie, miałem sposobność w Izbie pruskiej przedkładać niesłychane nadużycia urzędników. Nadużycia te udowodniłem. Lecz ze stanowiska wszechmocności państwa, nieomylności państwa i jego sług, nie pociągnięto tych urzędników za nadużycie władzy urzędowej do odpowiedzialności. (Słuchajcie! ze środka).

Tak panowie, cała ta kwestya streszcza się tylko w walce, którą sami dzisiaj objawiliście w tak wymownych słowach. Wszechmocność państwa ma być nacechowaną nieomylnością (prawda! ze środka). Nieomylność państwa i sług jego nie ma mieć nawet współzawodnika i przeciwwagi w nieomylności papieża. Kto jest za nieomylnością państwa, ten naturalnie musi być za nieomylnością papieża (śmiech), gdyż wtedy nie zbłądzi przeciw konsekwencji, — a zaiste powołanie się na dogmat nieomylności papieża nie może być wcale w związku z tem przedłożeniem ustawy. Panowie! wszystkie dowody dotychczas przytoczone za koniecznością tego wniosku, przywiodły mi mimo woli na myśl zdanie wielkiego polityka francuskiego, który powiedział: „*Il n'y a pas de plus grands spectacles que les embarras de la force aux prises avec la faiblesse*,” a ja rzeczywiście przekonałem się, że siła jest po stronie rządu, i że państwu żadne nie grozi niebezpieczeństwo ze strony duchowieństwa. Bo gdyby po stronie duchowieństwa rzeczywiście nie było bezsilnej słabości, to byłibyście Panowie przytoczyli teraz całkiem inne dowody za Waszą ustawą. Lecz nie niezbitego przytoczyć się nie da.

Panowie! rzecznicy ustawy chcą tylko wymusić, aby znieważano kościół, gdyby p. Treitschke domagał się bez ogródki — przeciw czemu protestował Dr. Löwe — aby duchowni uważali za swoje powołanie, tylko bezwarunkowo pochlebnie wyrażać się o sprawach państwa. Panowie! kto żąda, aby duchowni pochwały mówili z ambony, ten winien w duchownym uznać także człowieka wolnego i pozwolić mu, aby się także ganiąco wyraził; lecz zrobić z duchownego narzędzie ślepe władzy świeckiej, to z pewnością sprzeciwia się godności Kościoła. Żądanie podobne prowadzi do negacyi Kościoła. Pozwólcie mi wskazać kraj, w którym religia katolicka na ciągłe narażoną jest przesładowanie; mówię o Rosyi. Tam rozpoczęto od przesładowania pozornie wcale niewinnego, a teraz doszło już do tego, że księża mogą tylko głosić kazania, na które pozwoli cenzura rządu schyzmatycznego. (Słuchajcie! ze środka). Postąpiono

nawet dalej: Rząd schyzmatycki polecił przetłumaczyć urzędowo nie Pismo św. i ogłosić takowe jako wulgatę obowiązującą dla kościoła katolickiego. (Słuchajcie! Słuchajcie! ze środka).

Panowie, jeżeli i tutaj pójdziemy drogą żadaną dalej w traktowaniu namiętnem duchowieństwa, to w końcu dojdziemy do tego, że i tutaj postaramy się o urzędowe tłumaczenie i wydanie Pisma św., gdyż Pismo św. zawiera zdania z których tłumacząc je tak czy tak, zawsze wyprowadzić będzie można opozycję przeciw państwu — szczególnie, jeśli takowe chce być nieomylnem.

Lecz, panowie, ustawa ta jest jednym słowem ustawą prześladowania; gorszem jest bowiem zamierzone prześladowanie przez istnienie ustawy, niż rzeczywiste ukaranie duchownego na zasadzie tej ustawy. Duchowny będzie zawsze na ambonie pod policyjnym mieczem Damoklesa, a skoro wolno będzie denuncyować księdza każdej chwili za jakiegokolwiek źle zrozumiane słowo, natenczas nie będziecie mogli panowie przeszkodzić, aby denuncyacje i prześladowania księży nie stały się systemem. Dość znajdzie się indywidualów, którzy z powodów osobistych, nieusprawiedliwionych, nie zaniedbają sposobności zemszczenia się na duchownym przez demonstracje polityczne. Takie indywiduala otaczać odtąd będą ambone, nie mówiąc już o otoczeniu jej przez wysłańców policyi. Skutkiem tego ucierpi religia, będzie ona podkopaną, a nie mogę przypuścić, aby narażenie religii na zniewagę było w interesie członków tej izby. Zniewaga taka przygotowałaby tylko wnioski o zniesienie wszelkiej religii pozytywnej — wniosku takiego nie możnaby konsekwentnie pominąć. Szczególnie w czasach ruchliwych ambone otaczać będą bezustannie szpiegi, a już sama obecność takich indywidualów, o których się wie, że nie z nabożeństwa przyszli do kościoła, przeszkadza nabożeństwu pobożnych. Panowie! Nie przeszkadzajcież jednak nabożeństwu, dopóki nie dacie ludowi pryynajmniej czego innego, jak mu pobożność daje, przez co by powstrzymano namiętności, abyście go nie popchnęli do czynów, na które się oburzacie; przypominam wypadki w Paryżu. Z uwagi na spóźnioną porę, ograniczam się na krótkim złożeniu oświadczenia przeciw przyjęciu ustawy, która tylko w ogóle otwiera drogę najgorszym, najpodlejszym namiętnościom, — i dlatego my Polacy głosować będziemy przeciw ustawie.

* * *

Rachunek z Rachmistrzem. Pod koniec roku p. Kraszewski zwykł się rachować z swymi przeciwnikami. W bieżącym uprzedźmy go, ale zamiast obszernych jego tomów, króciutki i tylko z grubszego zrobimy z nim porachunek, czego w tym roku dokonał.

Najprzód podwoił wszystkie swe oszczerstwa i napaści przeciw soborowi, nie oszczędzając ani kościoła ani papieża, a wreszcie zamknął wydawnictwo swego *Tygodnia*, przedstawieniem rządów papieżkich w tak czarnym kolorze, że w porównaniu z niemi rządy moskiewskie byłyby błogosławieństwem. Właśnie w tej samej chwili, w której wszyscy prawdziwi katolicy, albo osobiście albo przez swych wysłańców składali Ojcu św. gorące życzenia, aby jak najdłużej przeżył lata Piotrowe, dziennikarz drezdeński śmiał w piśmie swem zamieścić szatański wykrzyk: „Oby się jak najprędzej skończyło to nieszczęsne panowanie Piusa IX.“

Zawichrzył całą Wielkopolskę intrygami swemi i naparciem się do krz-

sła poselskiego, a gdy jego kandydatura odpartą została, buntował duchowienstwo, i całe siły wyteżył, aby się pomścić na społeczeństwie, które go odepchnęło.

Do przewisk tak licznie a sromotnie miotanych na swe przeciwniki, dodał nowe na *Czas*: Stary rzezaniec.

Błagał publiczność, aby nie czytywała dzienników z nim walczących, błagał oddane sobie pisma, aby osobliwie o *Tygodniku katolickim* nigdy nie wspominały, a gdy to się nie udało i gdy sam pierwszy zawsze najgłówniej *Tygodnikiem* się zajmował, jął następnie przepowiadać, że *Tygodnik* pójdzie do lasu i tam z głodu umrze. Tymczasem *Tygodnikowi* coraz lepiej się powodziło, a *Tydzień* drezdeński, pomimo błagań i zaklęć, musiał ze wstydem z braku prenumeratorów upaść. Teraz p. K. usiłuje wmówić w swych czytelników, że *Tygodnik* już zmarł i pogrzebiony został. Na co mu tenże dowcipnie odpowiada znanym wierszem:

*Les gens, que vous tuez,
Parbleu! se portent bien.*

Przeszedł do *Kraju* i podjął współredaktorstwo z p. Gumplowiczem właśnie wtedy, gdy to pismo wywiesiło chorągiew moskiewską, namawiając emigrantów, aby wierzyli obietnicom carskim, wychwalając wyższość moralną i umysłową Rosyan nad Polakami, i wchodząc za pośrednictwem konsula francuzkiego w układy z Panslawizmem. Dezorganizator zada mu niezawodnie *coup de grace*, a sam pójdzie gdzie indziej oharować swe współpracownictwo, lub jaki nowy *Tydzień* założyć.*)

Z prac literackich wydał *Pałac i Fohwark*, powieść, której celem jest pokłócić proboszczów z wikaryuszami, gdyż autor tych ostatnich wystawia jako szpiegów i denuncyantów. Powtórę, zakończył 5-tomową powieść *Zagadki*, której jedynym zamiarem, jeśli co z niej wyluskać można, jest wskazanie, jakim sposobem Polska może się złąć z Moskwą. Bohaterka tego bowiem romansu, ideał Polki, nieugięta patriotka, taka, jaką p. K. stawia zawsze za

*) Właśnie dochodzi nas list z Poznania, z którego dowiadujemy się, że *Dziennik Poznański*, który miał od Nowego Roku zmienić drukarnię i przenieść się do oficyny p. Kraszewskiego, zerwał z nim układy i pozostaje u Merzbacha. Pan K. zaś ma wydawać codzienne pismo pod tytułem *Postęp*. Korespondent nasz mniema, że to będzie tygodnik, gdyż dwa pisma codzienne mniej więcej jednego koloru żadną miarą utrzymałyby się tam nie mogły. *Dziennik* musiałby upaść. Jeśli by ta pogłoska sprawdziła się, jedno tylko rozwiązanie tej zagadki byłoby możebnem, to jest, że pan K. uważając *Dziennik*, a raczej jego akcyonaryuszy i radę nadzorczą, za aglomerat zbyt jeszcze konserwatywny i katolicki, wcisnął p. Dobrowolskiego do redakcyi, jedynie na to, aby pismo to rozbić, a na jego gruzach wznieść organ własny. Plotki o założeniu w Poznaniańskim dziennika konserwatywno-katolickiego, tak skwapliwie zbierane i rozgłaszane przez pana K., są tylko fortelem dla zasłonięcia własnych manewrów. Począł on już nawet przedrwiwać nazwiska domyślnych redaktorów owego katolickiego organu. P. Lutrzykowski, którego niegodnie w ten sposób zaczepił, dał mu odprawę, twierdząc, że jego nazwisko jest bardziej szlacheckie, niż pana K., bo go nigdy nie splamił przez branie orderów od śmiertelnych wrogów wiary naszej.

(Przyp. Red.)

wzór innym, opuszcza w końcu przybraną matkę, której jest jedyną podporą, i ucieka z Moskalem.

Autor zaleca takie małżeństwa następującem domówieniem i zapewnie figurą przyszedłego stadła obu narodów: „W istocie oni byli szczęśliwi. Nigdy może dwa charaktery lepiej się i zgodniej nie dobrały, nigdy dwie natury szczęśliwiej do siebie nie przypadły. Małżeństwo ich nie potrzebowało tego sztucznego rusztowania, które przy budowie wielu pospolitych szczęść ludzkich długo stać musi i podierać je, nim się gmach o swej sile ostoł. Ani on, ani ona nie wywalczali sobie żadnego stanowiska, nie mieli do przewyciężenia nic, co by w przyszłości groziło, nigdy może więcej prawdy a mniej komedyi nie było w pożyciu młodego małżeństwa.“

Pojechał wreszcie do Włoch, aby się tam odświeżyć przy źródle bezbożności i radykalizmu, i aby nowe miotać pociski na katolików.

Za to wszystko ta sama ręka, która w tymże czasie, zniosła jedną z najdroższych w Rzymie pamiątek polskich, kaplicę św. Stanisława Kostki, gdzie od dwóch wieków narody przychodziły czcić św. Polaka, nadała p. Kraszewskiemu order korony włoskiej. A p. Kuleczycki, niezaprzeczoną w tej mierze powaga, dodaje, że nagrodę tę otrzymał ex-dziennikarz drezdeński za swą walkę przeciw ultramontanom polskim i ks. arcybiskupowi Ledóchowskiemu.

Ponawia się więc pod inną formą praktyka zeszłego wieku. Obce mocarstwa mieszają się w nasze zatargi domowe i kupują sobie stronników.

Pamiętną jest pochwała, jaką w mowie pogrzebowej kaznodzieja wydzielił jednemu z zaprzędanych obcym mocarstwom magnatów: „On aż od trzech potencji pensyę pobierał.“

I my się może doczekamy czasów, że zwolennicy p. Kraszewskiego będą stawiali to za dowód jego wielkości, że aż od trzech monarchów ordercy otrzymał.

Widocznie doszedł on już do tego kresu, w którym, według przypowieści Henryka Rzewuskiego, kąpiel, wprzód parząca, przyjemną być poczyna.

* * *

Na kongresie Antropologicznym w Bononii znajdowali się i dwaj także nasi rodacy p. Aleksander hr. Przeździecki i p. Kraszewski. — Polacy wszędzie być muszą. Obaj zajęli miejsca obok potomków Gorylla: p. Virchowa, Karola Vogta i innych. Pan Hrabia Przeździecki, mąż rozumny, uczony, a nadewszystko katolik bronił sponiewieranej przez tych panów godności ludzkiej. W tych warunkach może zawsze znajdować się katolik na tego rodzaju zgromadzeniach i nie tylko, że nie wyrządza przez to krzywdy swojej wierze, nie ubliża swej godności, ale im chwały dodaje. P. hr. Alex. Przeździecki takie tylko a nie inne zajmował sądzimy stanowisko. Co się tyczy pana Kraszewskiego, to podobno do głosu przypuszczonem nie został. *Indae irae*, które nam na dobre wychodzą, bo się nienajpochlebniej o tych materyalistach wyraża. Vogt nazwany został przez niego niedźwiedziem. Ot co o tym przedhistorycznym kongresie pisze wyborny dziennik *Unita Cattolica*:¹⁾

„Pomiędzy bardzo wielu kongresami, które w tym lub owym kraju odbyły się we Wrześniu i Październiku, wiele hałasu narobił kongres przedhisto-

¹⁾ Przekład „Tygodnika Katolickiego.“

ryczny w Bononii, na który z Włoch, Francyi i Niemiec przybyło wielu reprezentantów ateuszowskiej nauki, to jest takiej, jaka obecnie jest w modzie. Kongres został otwarty dnia 1. Października, a popołudniu dnia 8. już spełnione zostały jego *niesłychanie ważne prace*. W ciągu tych dni kilku przedhistoryczni uczeni zwiedzili Modenę, Rawennę i ich kościoły monumentalne, Certorę w Bononii; mieli dany obiad w Modenie przez municypium, w Rawennie posiłek, w Bononii obiad na przyjęcie i zapewne drugi na pożegnanie, wreszcie rozjechali się dumni ze *zdobyczy*, jakie na polu naukowem poczynili.

O przedmiotach traktowanych w tym krótkim czasie przeciągu mało dzienniki powiedziały, może tam o wielu rzeczach rozprawiano, i rozprawiano bardzo głęboko. Ale z tej odrobiny, jaką dostrzedz dotąd można, łatwo poznać, jaki duch kierował tymi uczonymi. Samo pojęcie przedhistoryczne jest pojęciem nieprzyjaznem Objawieniu, a zgromadzanie się po to, aby dowieść istnienia ludzi *przedhistorycznych*, już samo przez się jest protestacją przeciwko prawdziwości Biblii, opowiadającej nam historię pierwszego człowieka. Uczeni przedhistoryczni chcą, abyśmy przypuścili istnienie człowieka w czasie dość znacznie poprzedzającym Adama i Ewę, który wynosi od 20,000 do 30,000 lat, a który dzielą na różne wieki: kamienny, żelazny, miedziany i brązowy, i budową uczonych niedorzeczności zadają kłamstwo genealogii biblijnej rodu ludzkiego, a nawet stworzeniu człowieka, którego od małpy wyprowadzają, a który w tak krótkim peryodzie, jaki mu historia naznacza, nie mógłby odbyć powolnej przemiany.

Nie wiemy, jakie inne dokumenta nad czaszki ludzkie i broń zardzewiałą na jaw wyprowadzili nowi przedhistorycy dla potwierdzenia tez swoich, to tylko wiemy, że nauka już osądziła tych nieprzyjaciół Objawienia, którzy nawet nie mieli zasługi wynalazku tych bajecznych wieków geognostycznych. Izaak La Peyrère już w 1655 roku drukował w Lyonie dzieło, w którym usiłował wykazać, że przed Adamem jeszcze inni ludzie istnieli, a De Maillet w książce swej *De origine mundi*, utrzymuje, że u Egipcyan i Indyan była nauka, że ziemia wydawała ludzi, jak wydaje grzyby, i że, mianowicie w krajach północnych, ludzie wyrobili się z pewnej przemiany ryby: a ci autorowie nie byli pierwszymi w nauczaniu powyższych błędów naukowych, bo Von Irwing zostawił nam opis ich poprzedników, pomiędzy których nawet Kalwina zaliczył.

Prawdziwa nauka znalazła swoich obrońców prawdziwie uczonych i głębokich, jak *Cuvier, Buckland, Lorignet, Desduits, Bonald, Schrank, Baumgarten, Wiesseman, Corradi, Quatres/ages, O. Pianciani, O. Perrone i Reusch*. w swem niedawnem i uczonem dziele *Bibel und Natur*, drukowanem we Fryburgu 1866 r. Ci obrońcy prawdy naukowej i godności człowieczej, aż do widoczności wykazali, że to, co przedhistorycy chcą stawiać jako dowód wieku historycznego, i że wiele innych dokumentów, które wszyscy uznają za należące do późniejszych epok, przedstawiają te same charaktery, jak i te, które chcą odnosić do 20.000 lat w tył.

Pomiędzy przedhistorykami bolońskimi był Mantegazza, który ród człowieczy wyprowadza od małpy, i był tam na swoim miejscu, był tam także Vogt, który czytał rozprawę o ludożerstwie i znakomity nam zaszczyt wyświadczył, że wszystkich naszych przodków za ludożerców uznał.

Gozzadini, prezes kongresu, po tych nowych i chwalebnych odkryciach

mógł wyrzec do zgromadzonych: „Panowie, piąty kongres ukończył swoje prace. Powzięte nadzieje urzeczywistniły się. Narady i rozprawy miały tę ważność, jakiej należało oczekiwać.“ A skoro tak powiada hr. Gozzadini, tośmy mu winni wierzyć na słowo. To tylko radziłyśmy nadmienić, że gdy się zaprzeczy objawienia, trzeba pod ziemią zebrać o najważniejszą naukę początku człowieka dotyczącą, u strzał krzemienych i u czaszek zwierzęcych; i że skoro się nie chce przyjąć działania bożego w stworzeniu, to się o jakie kilka tysięcy lat świat cofa, i daje się człowiekowi naturę grybą, ryby, małpy, albo przez wielką łaskę straszego ludożercy. Co za piękna zdobycz bezbożnej nauki, Bądźmy więcej chrześcijanami, a będziemy więcej ludźmi.“

Otrzymałmśmy następujący list od p. Kazimierza Jarochońskiego z Poznania:

Poznań, 4 grudnia 1871 r.

Szanowny Księżu Redaktorze!

Nie pojmuję, z kąd rozprawka moja w ostatnim Roczniku Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego mogła dać autorowi zamieszczonej w piśmie Waszem recenzji, powód do owych gorączkowych uniesień przeciw wiekowej wybujałości mego republikanizmu szlacheckiego. Jest-to, wybaczysz szan. Księżu Redaktorze, mara, którą autor, uczepliwszy się z niezupełnie nieznanymi mi powodów osoby mojej, siebie i publiczność niezdolną własnego sądu, straszy. Będąc stanowczym nieprzyjacielem anarchii szlacheckiej, nie mogę być przecież dla tego nieprzyjacielem historycznej prawdy. Historyczna prawda wskazuje mi zaś na podstawie bardzo troskliwie odbytych poszukiwań fakt nieustannej konspiracji pierwszego Sasa na tronie naszym, już nie przeciw niewygodnym swobodom szlacheckim, lecz przeciw bezpieczeństwu i całości kraju. Mamże, wyniosłszy ze źródłowych badań to przekonanie dziejowe, dla miłości dzisiejszych formulek i doktryn społeczno-politycznych uczynić zeń poświęcenie, potępiać szlachtę błędzącą, ale pragnąc utrzymania całości kraju dla tego, że szlachta, a apoteozować króla dla tego że król? Takiej teorii w pojmowaniu i pisaniu historii naszej i znać nie chcę, a pod tym względem wołę już, jak mi Pański recenent zarzuca, pozostać „szlachcicem starej daty“, aniżeli kosztem przeinaczania prawdy dziejowej okupywać sobie obojętne mi zresztą uznanie aposteriorystycznych naszych wyznawców doktryny monarchicznej.

Dalej jeszcze jedna uwaga, na ten raz do samejże Redakcyi wystósowana. Nie mam prawa przyznawać się do zaszczytu zgody ze stanowiskiem i zapatrywaniami się *Przeglądu Lwowskiego*. Odmienne są widoki nasze, odmienne drogi i środki, różniące się cele, w dzisiejszych zwłaszcza sprawach kraju i narodu naszego. Bóg i przyszłość osądzą, czyje były lepsze, a tymczasem niechaj każdy z nas, idąc za głosem sumienia i przekonania, wstrzymuje się od grzesznej względem braci zarozumiałości i sięgania po berło jakiejś osobnej nieomyślności. W ocenieniu przeszłości jednakże naszej, o ile mi jej się dotknąć było wolno, nie przypominam sobie istotnie, abym był popełnił czy napisał kiedykolwiek coś takiego, coby było mogło wejść w sprzeczność z zasadniczą podstawą *Przeglądu Lwowskiego*. Znów nie co innego, jak prawda dziejowa z jednej, jak uznanie w Kościele polskim, katolickim, wielkiego warunku i wielkiego pierwiastku życia i bytu narodowego z drugiej strony, były powodem, iż w naukowych publi-

kacyach historycznej treści, z jakimi mi czas zajęty i okoliczności wystąpić dotąd pozwoliły, serce moje biło zawsze, zawsze a gorąco za sprawą katolicyzmu. Powołuje się w tej mierze na pracę moją „Wielkopolska w czasie pierwszej wojny szwedzkiej“; na ocenienie moje Sprawy Toruńskiej, wreszcie na Epilog jej, w Roczniku Tow. naszego Przyjaciół Nauk. Prawdy dziejowej nie poświęciłbym nigdy i dla niczego; w wspomnianych dopiero rzeczach mógłbym pozostać z nią w najściślejszej zgodzie, odpowiadając skłonnościom serca, a staczając zarazem walkę z ustalonym przez pewną szkołę historyczną naszą przesądem, jakoby protestantyzm polski, był ciągle tylko niewinnie prześladowaną ofiarą znęcającego się nad nim świeckiego i duchownego fanatyzmu. Czyż, zapytałbym teraz, tego rodzaju wystąpienie moje właśnie powinno było dostarczyć pismu zasad i kierunku *Przeglądu Lwowskiego*, sposobności do zamieszczenia przeciw osobie mojej filipiki, równie namiętnej jak bezpodstawnej, jaką zawiera wrzekome sprawozdanie z ostatniego tomu naszego Rocznika? Odpowiedź zda mi się nie trudna.

Przyjmij Szanowny Księżę Redaktorze wyraz prawdziwego szacunku, z jakim pozostaje uniżonym Twym sługą
Kazimierz Jarochowski.

Biorąc do wiadomości zapewnienie p. Jarochowskiego o szczerych i gorących Jego uczuciach katolickich, pozostawiamy sobie na później uwagi, któreby się nam pod tym względem nastreczyć mogły. Co zaś do zarzutów p. Jarochowskiego przeciw umieszczonej o Jego pracy recenzji, odpowiada na nie autor inkryminowanej krytyki, którego list tutaj podajemy.

— Ponieważ nie chcę i nie mogę nadużywać cierpliwości szanownej Redakcyi, niepodobna mi wdawać się tutaj w obszernie wywody, zbijające replikę p. K. Jarochowskiego; że jednak tendencye i zapatrywania Jego polityczno - naukowe są rzeczywiście takie, jakimi je przedstawiłem w mojej recenzji, o tem przekonać się może każdy, kto choć zada sobie trud odczytać wstęp Jego umieszczony na czele historii Augusta II. Gdybym wstęp ten miał pod ręką i gdybym mógł zajmować więcej miejsca szan. Redakcyi, przytoczyłbym liczne ustępy, stwierdzające sąd mój o p. Jarochowskim, naturalnie tylko sąd o Jego politycznych i naukowych zapatrywaniach, bo religijnych, jak wiadomo szan. Redakcyi i każdemu kto czytał moją recenzją, nigdy i nigdzie ani słowem nie dotknąłem.

Dajmy jednak, że rzeczywiście sprawa katolickich zapatrywań p. Jarochowskiego ma się tak, jak On powiada w swej replice, czyż ztąd miałby dla szan. Redakcyi wypływać obowiązek, że w recenzjach w piśmie jej drukowanych, chwalić się powinno wszystko, co p. Jarochowski napisze, choćby to na pochwały nie zasługiwało? W ocenianiu prac naukowych stawamy na stanowisku naukowem, nie pytając o inne względy, i z takiego stanowiska osądaliśmy pracę pana K. J., nie pisząc bynajmniej „filipiki“, jak się panu K. J. recenzję naszą nazwać podobalo, bobyśmy w takim razie nie byli chwalili ostatniej Jego pracy, cośmy jak najwyraźniej uczynili.

X.

Autor recenzji umieszczonej w zeszyt. z 15 list. i 1 grud. r. b

Cudowne uleczenie. Szesnastoletnia Marya S. w Krościenku zapadła była w listopadzie 1869 r. w dziwną a dla najbieglejszych lekarzy niezrozumiałą chorobę. Drżenie ciała, paroksyzmy nerwowe powtarzały się aż cztery razy dziennie, trwając za każdą razą więcej jak godzinę czasu — krom tego każdy najmniejszy łoskot, burza, zawsze silniejsze sprowadzały jeszcze ataki na biedną chorą. Z wielkiego osłabienia nie mogła ona żadnego już innego przyjmować pokarmu, oprócz jarzyn i nieco owoców. Wszystko to doprowadziło ją do takiego stanu, iż po kilku tygodniach choroby, na nogach utrzymać się nie mogła, tem więcej, że i kość krzyżowa, wedle sądu medyków, zaatakowaną była.

Od początku dziwnej tej słabości, najslawniejsi lekarze używali wszelkich środków, jakie przeciw cierpieniom nerwowym i chorobom w kolumnie pacierzowej tkwiącym posiada medycyna; środki te jednak nie uśmierzały, przeciwnie zwiększały chorobę.

Młoda Marya, dotknięta w samym kwiecie wieku krzyżem, niezwyklej, a niezmiernie dręczącej choroby, wsparta pomocą niebieską znosiła i cierpienia swoje i przerażającą w nogach bezwładność z rzadką rezygnacją. Ponieważ podczas paroksyzmów nigdy nie traciła przytomności, przeto w całym ciągu choroby, stawał się dla niej każdy, nową z całą świadomością wycierpianą męczarnią, nową z woli Bożej, kornie przyjmowanej, ofiarą. Nietylko nigdy na ciężką dolę swoją nie narzekała, lecz cicha, wytrwała, spokojna zawsze w chwilach wytchnienia modlitwą, robotą, lub czytaniem zajęta, niezwyklej w jej wieku okazywała moc duszy.

Srogie, niczem niepokonane we wiośnie życia cierpienia i to dziwne, nieodgadnione chorej przeznaczenie czyniły ją wszystkim droższą. Niepodobna opisać rozrzewnienia otaczających chorą, kiedy tę młodą, śliczną natury wdziękami, wyższemi umysłu i serca przymiotami obdarzoną męczennicę przenoszono cztery razy dziennie na łóżko przygotowane do paroksyzmów, jakby ofiarę na ołtarz boleści, a twarzyczka jej niemal dziecinna boleścią i powagą nad wiek nacechowana, uśmiechała się niewinnym, czystym i duszom Bogu zupełnie poddanym, właściwym uśmiechem.

Rodzice chorej przez ten cały, nieskończenie długi czas męczarni ukochanego dziecięcia, wytrwali w nieograniczonej, prawie bezprzykładnej uległości dla najświętszej woli Bożej. Z niewysłowioną boleścią patrzyli oni na owe ciężkie godziny męczeństwa drogiej córki, szukając i jedynie znajdując moc do jej zniesienia w kornej i ufnej modlitwie.

Osobliwie matka młodej Maryi nieodstępująca nigdy córki, paroksyzmem jej zawsze przytomna, modląc się tylko i ciche łzy roniąc prawdziwie nalludzkie prawie męki przechodziła. Niezachwiana wiara, prawdziwa pokora, a przystem nieustanne modlitwy i ćwiczenia duchowne podtrzymywać jedynie mogły ją w takim cierpieniu, i tej to pomocy niebieskiej wyłącznie zawdzięczać potrzeba, że jej serce macierzyńskie nie doznało w tak okropnych próbach, ani zwątpienia, ani zobojętnienia względem Boga.

O jakże Bóg hojnie wynagrodził tę wiarę i uległość wyrokom swym, jak wielce zapłacił choręj i jej rodzicom za modły i cierpienia z miłości ku Niemu podjęte, przez cudowne jej uleczenie i przez ożywienie wiary w duszach wielu.

Ponieważ środki allopatyczne chorobę widocznie pogorszały, wzięto się do homeopaty; lekarstwa homeopatyczne zaledwo w czternastym miesiącu choroby zwalczyły paroksyzmy. Młoda pacjentka za łaską bożą od męczeńskich paroksyzmów uwolniona, chorobą wszelako wyniszczona, przez trzy następne miesiące była zupełnie bezwładną, nie mogąc nietylko stanąć na nogi, ale choćby siedzieć bez oparcia.

Lekarz odwiedzający młodą Maryę, badał za każdą hytnością stan jej zdrowia, i za każdą razą konstatawał, że choroba tkwiąca w kolumnie pacierzowej, mimo uspokojenia się paroksyzmów trwa zawsze, tudzież, że osłabienie krzyżów, beczynność żołądka i niemoc nóg zgoła się nie zmniejszyły. Homeopata zamierzał jeszcze na główną złego przyczynę, to jest na chorobę kolumny pacierzowej uderzyć. Wszyscy lekarze zaś twierdzili, że korzystając z pory letniej należy chorą wywieźć do wód zagranicznych, gdzie prawdopodobnie po odbytej kuracji odzyska cokolwiek siły w nogach, lecz że to niełatwo nastąpi, gdyż nerwy i muszkuły skutkiem tak długiego położenia horyzontalnego do prostopadłej pozycyi bezsilne, wiele będą potrzebowały czasu, aby się rozkurczyć i do dzwignia korpusu wzmocnić.

Gdy tak obawa długiej niemocy, a może kalectwa dręczyła rodziców młodej Maryi, a ona sama smuciła się myślą, że jej najpiękniejsze lata schodzą na chorobie, która jej nie pozwala dalszej pobierać nauki, ani z rówieśnikami dzielić życia przyjemności, jedna z osób domowych odebrała listy od dwóch świątobliwych, w kościele Bożym wielce zasłużonych kapłanów, którzy daleko od siebie mieszkając i o sobie nie wiedząc, zalecali obydwaj dla młodej pacjentki cudowną wodę z Lourdes.

Jednaka dwóch przeznaczonych kapłanów rada głębokie zrobiła wrażenie, to też matka chorej Maryi ponysłła sobie, że głos sług kościoła może jest głosem Bożym, że Bóg ich użył za narzędzie swego zmiłowania i chce na tej drodze zesłać uzdrowienie. Rzekła tedy: kiedy ludzkie środki dotąd okazały się bezskuteczne, czemuż nie mamy się udać do niebieskich.

Zaczęto więc starać się o wodę z Lourdes, i ta znalazła się na szczęście u Dominikanek na Gródku w Krakowie. Przełożona ich Francuzka z okolicy Lourdes niedawno przybyła, dużo wiadomości o tem miejscu cudownem posiadająca i sama przez tę wodę na oko prawie ociemniałe uleczone, udzieliła tej wody i wskazała sposób jej użycia.

Chora i otaczający ją mieli przez dziewięć dni odmawiać rano i wieczór po siedm pacierzy, dodając: Najświętsza Panno z Lourdes módl się za nami.

Nowenna na uproszenie uzdrowienia młodej Maryi odprawiała się przed cudami słynącym obrazem N. M. P. w Starejwsi, a chora i otaczające ją osoby odmawiały ją w domu. Rozpoczęła się dnia 27. maja 1871 r. w sobotę.

Dzień ten przepędziła chora, jak tyle poprzedzających, leżąc bezwładna. W południe chcąc się przekonać w jakim, przed użyciem wody, krzyże i nogi stanie, usiłowała, co i pierwej wiele razy czyniła, siedzieć i stanąć o własnej mocy; ale jak dawniej, i teraz na chwilę oprzeć się na nogach, lub usiąść nie mogła. Dwie obecne osoby ujęły ją wtedy pod pachy i trzymając silnie podniosły z łoża, lecz stanąć było dla niej niepodobieństwem, bo nogi bezwładne natychmiast się uginały i zsuwały, a żadną ruszyć choćby parę cali naprzód nie mogła. Słabość krzyżów i nóg była zatem i w ten dzień tak wielka, że

chora za każdą próbą sił swoich upadając na swe łożo, powtarzała: „Nie, nie mogę, w żaden sposób nie mogę, takie mam drżące krzyże i bezwładne nogi.“ Ze zaś od paru tygodni mniej jeszcze przyjmowała posiłku, a od pięciu tygodni żadnego nie zażywała lekarstwa, nic więc mocniejszego, lub wcale na- głego na stan jej zdrowia wyrzecz wpływu nie mogło.

W sobotę 27. maja wieczór przenieśli chorą, jak zwykle na łożko. Uło- żywszy się młoda Marya odmówiła modlitwy nowenny, a kiedy klęcząca przy jej łożku matka powtarzała: „Święta Bożarodzicielko, któraś się przy źródle tej wody cudownie ludziom objawiła, wyproś u Syna Twego uzdrowienie mej córki“, inna obecna osoba połała jej plecy i krzyże cudowną wodą modląc się również i powtarzając: „Najświętsza Panno objawiona w Lourdes módl się za nami.“ — Stosownie do polecenia przełożonej Dominikanek, miało się tej wody przez dziewięć dni tak używać, z mocną ufnością, że po skończonej nowennie Bóg najmiłościwszy raczy młodą chorą od dotkliwej i groźnej nóg bezwła- dności uwolnić.

Nazajutrz w niedzielę 28. maja rano, w pierwszy dzień Zielonych Świą- tek młoda Marya, gdy ją, jak zawsze, ubrano w łożku, oczekiwała, aby ją przeniesiono jak zwykle na łożo do drugiego pokoju. W tem matka wydalila się, a służąca wyscierała w przyległym pokoju dzienne łożo. Ujrzawszy się samą młoda Marya zapragnęła doświadczyć sił swoich. Wysuwa się tedy z łożka. i staje o własnej mocy! a nie tylko staje, lecz jeszcze kilka kroków postępuje. Niewypowiedzianie wzruszona drży ze zadziwienia, wraca do łożka, odmawia modlitwy nowenny, prosi wchodzącą właśnie matkę, polewa sobie nią plecy i krzyże, a potem stanowczym mówi głosem: „Mamo! ja teraz wstanę.“ Wstaje i chodzi po pokoju bez zachwiania i silnie jak każdy zdrowy, a doświadczając w tej chwili najoczywistszego zmiłowania Bożego cudu, zaczy- na w głos płakać, i Bogu i Jego Rodzicielce dziękować. Jej matka zaś wi- dząc nadspodziewanie prędkie cudowne córki uleczenie, pada na kolana i rze- wnymi łzami oraz gorącemi słowy Bogu i Najświętszej Pannie najczulsze składa dzięki. Potem pełna radości przywołuje męża, który ujrzawszy córkę na środku pokoju stojącą, w przekonaniu, że jakieś nadzwyczajne czyni wy- silenie, biegnie jej na pomoc, lecz jakież ogarnia go zdumienie, gdy ta oświad- cza, iż nie ma potrzeby, aby ją kto trzymał, bo sama o własnej sile chodzić może, i istotnie chodzi, a miasto na łożo swoje dziennie idzie bez niczyjej po- mocy przez cztery pokoje na galeryę przed dom, na śniadanie.

W lot przebiega cały dwór wiadomość o cudownem uleczeniu chorej. obecne wówczas osoby z rodziny i wszyscy domownicy widząc ją śmiało, o wła- snych siłach chodzącą, kiedy jeszcze wczoraj ani chwili na nogach utrzymać się nie mogła, widząc, że pomimo półtora roku trwającej choroby nagle chodzi bez podpory i to nietylko po domu, lecz i po ogrodzie, drżeli ze wzruszenia, płakali, wynurzali swą radość uleczonej i jej rodzicom, i padali na kolana wielbiąc Majestat Boży, iż uwolnił od tyle przykrej bezwładności nóg wszyst- kim drogą męczennicę, a dom, rodzinę i parafię tak jawnym zaszczyć raczył cudem.

Żadne pióro nie opisze wzniesłego widoku, jaki przedstawiała wtedy niewysławionem nadziemskim szczęściem przejęta rodzina i to już tak ciężko doświadczona, a dzisiaj cudem łaski bożej opromienione młodzieuczne dziewczęce.

Oddalenie od wpływów światowych, samotność, w której z powodu niezwykłej a tak długiej choroby żyć musiała, ciągłe czytanie dzieł pobożnych a nade wszystko przeciągłe cierpienie nadały jej z natury nader szlachetnej twarzyczce, uroczą powagę, i nacechowały ją podwójną, bo i młodzieńczego wieku i męczeństwem oczyszczonej i uświęconej duszy niewinnością, gdy nadto cudowna łaska, która na nią spłynęła i tak nagły między ludźmi powrót, więcej jeszcze pobudzały wrodzoną, a niepospolitą jej skromność i nieśmiałość. O! nie już świątecznym, ale iście świętym był całego domu i parafii ten szczęśliwy, niezapomniany dzień, w którym liczni niezaprzeczonego cudu świadkowie ujrzeli wszechmocną, a ojcowską rękę Boga i doznali ją w potęgę im nieznaną dotąd uczuć.

Nowenna już dotąd dziękczynna odbyła się do końca wiernie, a wkrótce potem odprawiano uroczyste nabożeństwo najprzód w kościele parafialnym, a wnet przed tym samym cudownym obrazem Matki Boskiej w Starejwsi na podziękowanie najmiłościwшему Ojcu niebieskiemu i najlaskawszej Maryi Pannie za cudowne uzdrowienie młodej Maryi.

(Z Tyg. Kat.)

* * *

Pożary w Ameryce. Czytelnicy nasi przypominają sobie list O. Bakanowskiego, umieszczony w *Przeglądzie* z 15 listopada, opisujący pożar w Chicago. Był to tylko mały epizod strasznej klęski, która całą północną część Stanów Zjednoczonych dotknęła. Aby dać choć małe wyobrażenie o ogromie zniszczenia dokonanego przez ogień, dość powiedzieć, że 3000 blisko mil kwadrat, angielskich, po większej części lasów i łąk, wraz z licznymi miastami i osadami rozrzuconemi na tej przestrzeni, stało się prawie pustynią. Powód dotychczas nie jest zupełnie wyjaśniony, bo jakkolwiek śledztwa w Chicago wykryły tajemny spiszek *Internationala*, to jednak wielu naocznych świadków, przerażonych ogromem nieszczęścia, nie chce wierzyć, by ono mogło być dziełem ludzkim, i przypisuje je ognistym chmurom gnany w powietrzu, lub nawet szatanom. Na jedno wyjdzie; — wart Pac pałaca a pałac Paca, — nikt nie zaprzeczy *Internationalowi*, że jest doskonałą instytucją szatańską, opartą na buncie przeciw Bogu, posługującą się namiętnościami ludzkiemi i ogniem, aby męczyć, niszczyć i zabijać. Co jednak jeszcze więcej daje *Internationalowi* cechę szatańską, to ta hipokryzja, z jaką te wszystkie zbrodnie wykonuje dla dobra, jak mówi, ludzkości, litując się nad jej nieszczęśliwym losem.

*Wierz mi, gdy pazurami grzesznika obdzieram,
Nieraz ogonem, ach! ach! łzy sobie ocieram —*

mówi djabeł w „Dziadach“.

Dziś umieszczamy wyjątek innego listu, pisanego przez O. Wieczorka, będącego do niedawna na misji w Paryżu, małej osadzie, położonej wśród lasów w Michigan, założonej niegdyś i przeważnie zamieszkałej przez Polaków, a dziś zniszczonej pożarem.

Detroit, 18 listopada 1871 r.

„...Karteczkę pisaną ręką Ojca, odebrałem jeszcze w lecie na popiołach parazyckich. Odpowiedzieć natychmiast nie mogłem, gdyż sam, a nie braciszek mój, jak Ojciec myślał, byłem poraniony; dwa tygodnie leżałem słaby z poparzenia

i popalenia oczu, na które przez ośm dni nic widzieć nie mogłem, a do tego doktor straszył mnie, że oczy stracone. Ale inaczej się stało, i dzisiaj dzięki Bogu i sam zdrow jestem i oczy mam zdrowe jak przedtem. Nie podobna opisać tego strasznego pożaru, trzeba było być naocznym świadkiem, aby mieć dobre wyobrażenie tego co się tu działo z 9go na 10go października. Braciszek był słaby dnia tego, i w godzinę przed pożarem wysłałem go wraz z chłopcem i koniem na wielkie pola o cztery mile odemnie, i to tylko ich uratowało że zostali zdrowi. Sam jeden byłem w domu i przez piętnaście minut walczyłem jak mogłem z płomieniami, a gdy już nic poradzić nie można było a z góry od wieży zapalił się kościół, począłem wynosić rzeczy kosztowniejsze na drogę, do studni lub na inne bezpieczniejsze miejsca. Gdyby się było na domach i kościele skończyło, nie byłoby jeszcze nic tak okropnego, ale gdy się zaczęły palić lasy, a nawet ziemia, wtedy zdawało się, że się już świat kończy. Mnie samemu kapelusz zapalił się na głowie, potem surdut na lewym hoku, później spodnie na lewej nodze; — straszno było widzieć się tak za życia w piekle; — wszystko com wyniósł, spaliło się do szczytu, bo ogień był wszędzie; rzeczy metalowe rozpadały się w kawałki, lub topiły jak wosk, Monstrancę i Cyboryum z Najśw. Sakramentem całą noc nosiłem w rękach, i to pewno zasłaniało mnie, zem się cały nie spalił, bo inaczej nie mogę sobie tego wytłumaczyć, gdy bydło, kury, psy i inne stworzenia nie dalej jak o 40 stóp palily się na skwarki i węgiel. Słyszałem ciągły ryk, ciągle beczenie i jeczenie, co moje męki podwajało. Całą noc ani usiąść, ani położyć się, ani stać nawet spokojnie w jednym miejscu nie mogłem, tak ciągle gęste iskry zewsząd sypały się, a ogień przez 12 godzin pożerał wszystko, co znalazł na drodze. Ratunku nie było żadnego, a gdyby i był, nie uratować nie można było dla bardzo silnego wiatru. Już rano, 10, znalazłem miejsce, które mi się zdawało bezpieczniejsze, a będąc nadzwyczaj zmęczonym, położyłem święte naczynia na jakiejś desce, a sam upadłszy na tył, zasypiać począłem, gdy ogień i tam mię dosięgnął i tę resztę mi spalił, tak, jakby Pan Bóg chciał, by z kościoła i domu nie nic zostało, bo prócz konia, wózka i tego co mam na sobie, wszystko mi się do szczytu spaliło. Ale Bóg dał, Bóg wziął, niech będzie imię Jego błogosławione. Dziś cały Paryż leży w popiołach, większa część mieszkańców rozpierchła się nie wiem gdzie, nikogo tu prawie niema, a o kościele i o utrzymaniu księdza ani dziś ani za rok mowy być nie może.“

* * *

Z Rzymu odebraliśmy w tej chwili obszerną korespondencyę. Żałujemy że jej dla braku czasu dać już nie możemy. Czwartego tego miesiąca miał miejsce wypadek, o którym wszystkie dzienniki, krom katolickich z umysłu nie wspomniały. Żołnierz piemontcki trzymający wartę na jednym z watykańskich przez Piemontczyków zajętych dziedzińców, do stojącego w oknie na drugim piętrze papieżkiego Szwajcara wystrzelił, za to tylko, że ten od okna cofnąć się nie chciał. Szwajcar nie przypuszczał, aby z pałacu papieżkiego nie wolno mu było patrzeć na Wieczne Miasto. Kula wprawdzie chybiła i zaledwie w małym zdraśnięciu twarzy zostawił swe ślady — ale bądź co bądź, Ojciec św. nie ma bezpieczeństwa dla siebie i swego dworu w własnym swym pałacu. Żołnierz nie zrobił tego zresztą w chwili uniesienia się, ale z danego mu snąc z góry rozkazu, jak skoro wysłany przez Ojca św. jeden z prałatów, Arcyb. de Merode, dla sprawdzenia rzeczy, o mały włos nie został w podobny poczęstowany sposób, i tylko szybkiemu usunięciu się od okna

zawdzięcza swe życie. — Taką to wolnością uderzył świętokradzki najezdnik Ojca dwustu milionów katolików! Sam uważa Go już za swojego więźnia, jak skoro do stojących w oknie Jego dworzan strzelać nakazuje!

Wszystkie tedy mamy już dowody, że Ojciec święty! więźniem w Watykanie!

* * *

Z Genewy. Ojciec Kaysiewicz ze podróży swojej przez Szwajcaryę, donosi nam co następuje: „Czy uwierzysz że i w Genewie jesczczem się spotkał z pożarem? Dwa domy z dwóch stron fabryki naszego rodaka Patka spłonęły, fabryka została nietknięta. Wprawdzie ratowali go wszyscy bez różnicy wyznań i opinij politycznych. — Dobrze mu jeden protestant powiedział: że „nie trzeba było czekać na jego śmierć, aby wiedzieć, jakiego używał zachowania u swoich współobywateli.“ W czasie pożaru otrzymał nasz rodak telegram od bankiera Amerykanina osiadłego w Paryżu, który podczas oblężenia przebywał 5 miesięcy w Genewie i któremu Patek miał sposobność, oddać pewne przysługi. Otóż od niego otrzymał następujący telegram: „Dowiaduję się, że się w tej chwili palisz, wiedzę, że masz u mnie otwarty kredyt nieograniczony. Wystawiaj na mnie weksle wypłacalne po trzech dniach.“ W epoce wielkiego moralnego upadku, pocieszające są takie wypadki a zaszczyt dla naszego przynoszące rodaka, jawnego katolika a jak mówią ultramontańca. Pocieszył mnie także widok sześciorga dzieci p. Ludwika Cepiszewskiego (wygnańca 1831 r. osiadłego w Lousanne) wychowanych tak po katolicku, po polsku, iż życzyć trzeba, aby wiele spotkać było można w najswobodniejszej dziś dzielnicy ojczyzny naszej. Równą pociechę dała mi inna rodzina polska z Zabranego kraju, ale tej nie mianuje. Odwiedziłem też jedno z najstarożytniejszych opactw w świecie katolickim, opactwo św. Maurycego. Modliłem się przed szczątkami śś. Rycerzy Męczenników i przed relikwiami św. Zygmunta burgundzkiego, a oglądałem bogaty skarbiec kościelny, mianowicie rzeźbione naczynie z agatu, dar Karola W., za które Rotszylld daremnie ofiarował 300.000 fr. — Opat generalny, biskup betleemski *in partibus*, dziekan kapituły i proboszcz miejscowy (wszyscy kanonicy regularni) niemniej budują, jak miejscowość sama, uprzejmością swoją i prostotą prawdziwie ewangeliczną.“

* * *

Od Nowego Roku kilka nowych pism ma u nas wychodzić. — Czytaliśmy już prospekt *Kurjera Lwowskiego*, ma to być gazeta codzienna pod redakcją Dr. Malisza. Niektórzy mówią, że to braciszek śp. *Dziennika Lwowskiego*. — Dalej, mamy mieć *Promyk*, pod redakcją p. Belzy, piśmko dla dzieci, *Świt*, pismo młodzieży akademickiej i *Uczcionka*, pismo poświęcone pracom drukarskim. — Z książek kilkanaście nowych przeglądaliśmy w dniach ostatnich, między innemi zaleca się bogactwem poruszonych tutaj rzeczy, dzieło pana Władysława Łozińskiego: „Z Estetyki i z życia.“ Książka ta obszernego wymaga sprawozdania i dlatego w przyszłym dopiero numerze umieścić je będziemy mogli. *Tygodnik katolicki* ogłasza spis wydanych w Bibliotece kaznodziejskiej kazań. — Kalendarz *Chaty* sam się zaleca, formą, czystością typograficzną i artykułami.

Nakładem Księgarni

Seyfartha i Czajkowskiego

co tylko wyszło nowe dzieło

Władysława Łozińskiego
Z ESTETYKI I Z ŻYCIA

w dużej 8-ce, 250 str. z dwiema rycinami.

Cena złr. 2.50 cnt.

Od Redakcyi i Administracyi.

Z poszytem niniejszym kończymy pierwszy rok wydawnictwa naszego pisma — Niezadługo prześlemy czytelnikom naszym spis rzeczy i okładki do skończonych dwóch tomów Przeglądu. —

Mamy nadzieję że od Nowego Roku pismo nasze będzie mogło powiększyć jeszcze rubryki swoje zamieszczeniem rozpraw traktujących o kwestyach z nauk przyrodzonych i filozofii. Obok tego w każdym zeszyte najregularniej będziemy umieszczać powieści celniejszych naszych pisarzy. W przysłym poszycie znajdują czytelnicy piękny powieściowy obrazek p. Władysława Łozińskiego.

Przegląd Lwowski wychodzić będzie taksamo jak dotąd dnia 1 i 15 każdego miesiąca objętości $3\frac{1}{2}$ do 4 arkuszy druku.

Przedpłata wynosi: w Galicyi ćwierrocznie zlr. 2; półrocznie zlr. 4; rocznie zlr. 8.

W Prusach, Rzeszy Niemieckiej i Wielkopolsce: ćwierrocznie talarów $1\frac{1}{2}$; półrocznie tal. 3; rocznie tal. 6.

We Francyi, Belgii, Włoszech i Szwajcaryi: ćwierrocznie franków 7; półrocznie fr. 14; rocznie fr. 28.

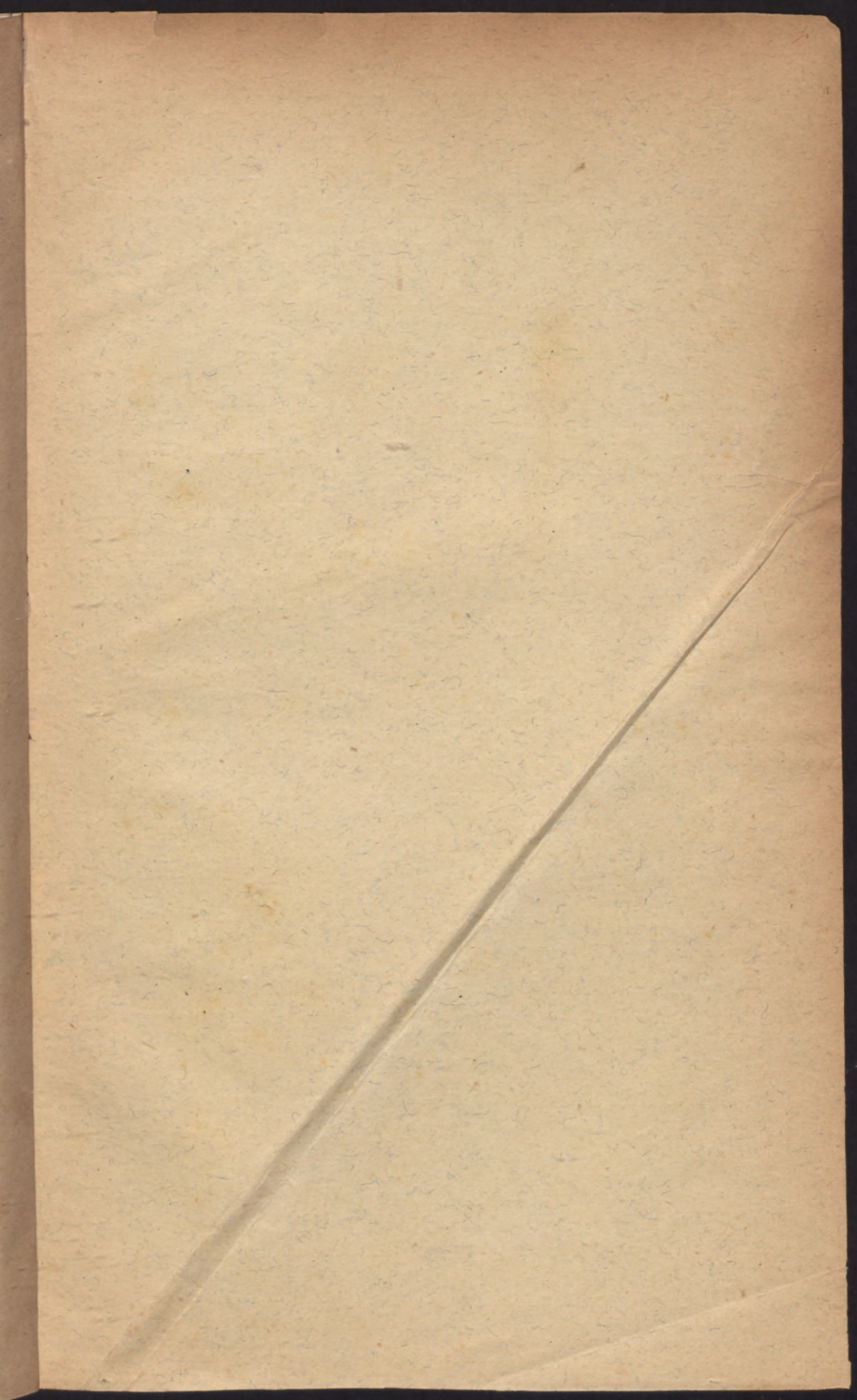
Uwaga: Dla uniknienia opóźnień w przesyłce prosimy prenumeratę najlepiej nadsyłać wprost do Administracyi Przeglądu Lwowskiego w kamienicy kapitulnej l. 24.

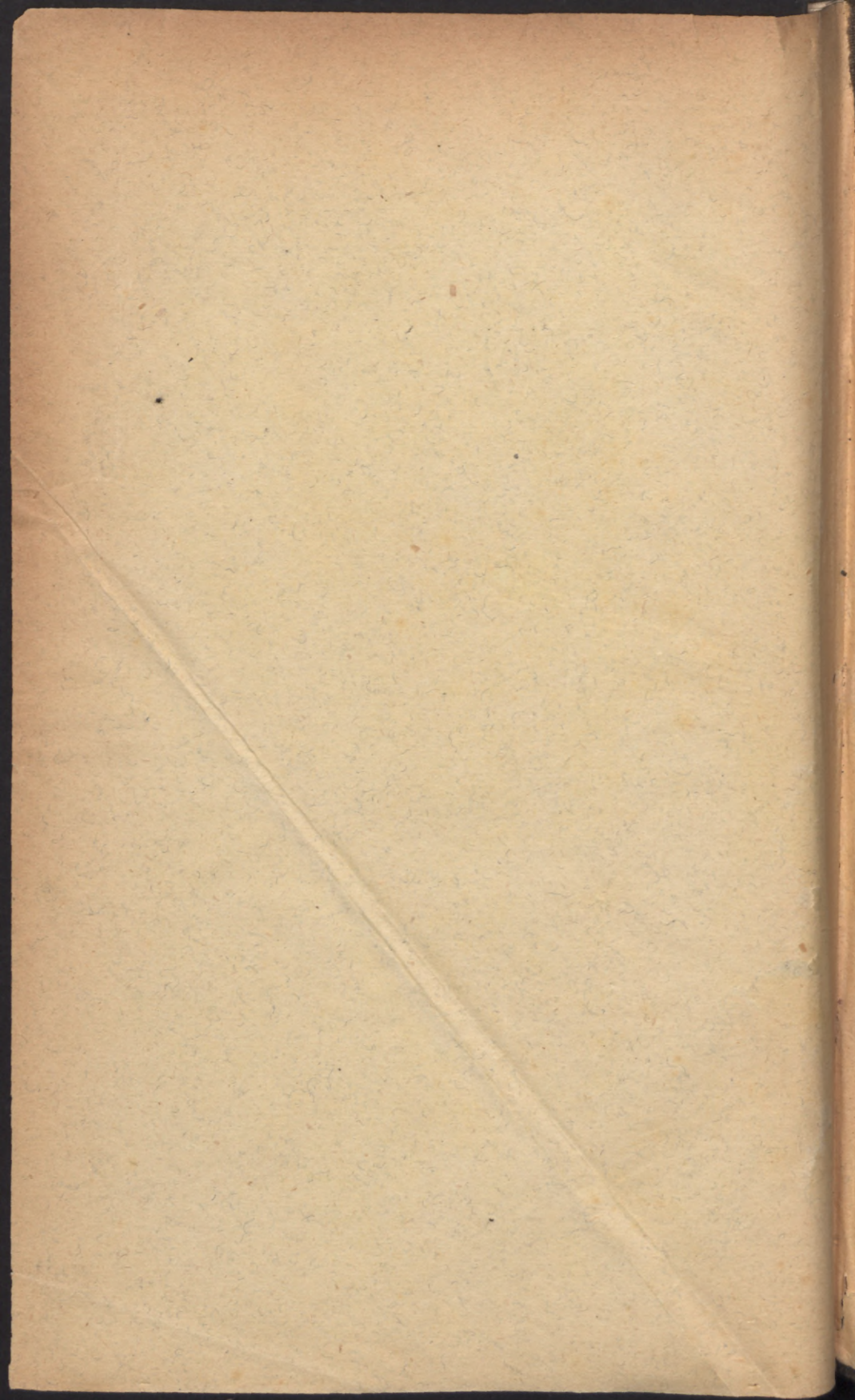
Prenumerować można we wszystkich księgarniach w Galicyi, Prusiech i Poznańskiem.

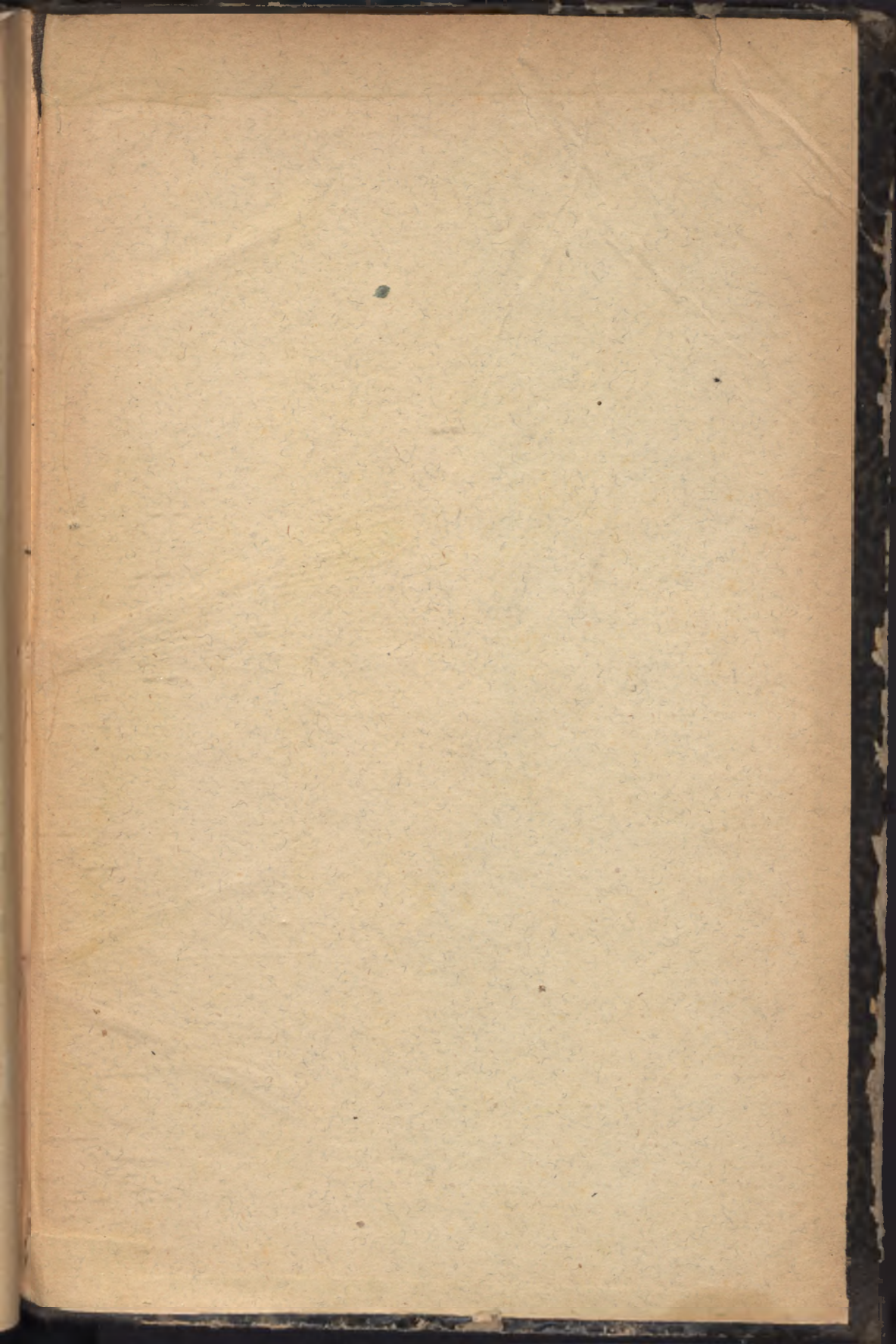
We Francyi: chez Mr. l'Abbé Léon Postawka, Paris, rue de la Trinité 3.

Miejscowi Prenumeratorowie zgłaszać się zechcą wprost do Administracyi i podać nam dokładny swój adres, dla większej ich bowiem dogodności, pismo nasze do mieszkania posyłać im będziemy.

PP. Księgarze i nadal liczbę zażądanych egzemplarzy otrzymywać będą, jeżeli po odtrąceniu należącego im się rabatu prenumeratę nie tak jak dotychczas, ale z góry nadsyłać nam zechcą.







Wojewódzka Biblioteka Publiczna
im. H. Łogacińskiego w Lublinie

5854 c

1871

13-24



4000007789